

# **Norman Hilary**

## **Sam Becket 03**

### **Przybysz**

*W łódce dryfującej nieopodal Miami Beach zostają znalezione okaleczone zwłoki mężczyzny. Ciało polano środkiem chemicznym, co utrudnia identyfikację. Śledztwo prowadzi detektyw Sam Becket. W dochodzeniu pomaga mu bezdomna staruszka, Mildred, która prawdopodobnie była świadkiem morderstwa...*

*Kiedy Sam zajmuje się śledztwem, w domu Becketów pojawia się siostra jego żony, Claudia. Przyznaje, że miała romans, ktoś zrobił jej zdjęcia i zaczął szantażować. Aby zakończyć sprawę szantażu, obie kobiety będą musiały stawić czoło przeszłości, do której nigdy nie chciały wracać...*

## EPISTOŁA CALA NIENAWISTNIKA

- Połóż się - powiedziała do mnie Jewel. A ja jej na to, że nie chcę się kłaść.

- Kładź się - powtórzyła naprawdę twardym tonem, tak twardym jak jej imię.

No więc się kładę.

Bo alternatywa jest gorsza.

Bo Jewel znajdzie inne sposoby, żeby mnie zranić.

I nie będzie mnie już kochała.

To trwa od tak dawna.

Z biegiem czasu sporo się nauczyłem. Przekonałem się, że mogę nie myśleć o tym, co złe, i że potrafię przetrwać bez względu na wszystko. Ale nauczyłem się również, że kiedy człowiek tłamsi w sobie to, co złe, dzieją się rzeczy, które są jeszcze gorsze. Ponieważ cały ból i poniżenie, i nienawiść, które zakopiesz i przywalisz kamieniem, zaczynają coraz bardziej doskwierać i zbierają się jak ropa przy korzeniu zęba albo nawet mnożą się jak robactwo na zwłokach. I czasami wydostają się po kropelce, po jednym robaczku, ale kiedy indziej po prostu zbierają się i pęcznią, aż człowiek wybucha.

Przyczyna i skutek, czytałem o tym. Logiczne. Ale ten skutek jest naprawdę zły, a ja to wiem. Na tyle zły, że zaczynam sam siebie nienawidzić. Co może być, myślę, gorsze niż wszystko inne.

Cal lubił pisać właściwie od zawsze. I czytać. Wybrał słowo „epistoła” jako określenie swojej pisaniny, mimo że wcześniej sprawdził je w słowniku i wiedział, że znaczy tyle co „list”, a jego zapiski nie były listem, bo nie pisał właściwie do nikogo, ale z drugiej strony, nie pisał też dziennika. Była to po prostu pisanina. Według jednego z wyróżnionych w słowniku znaczeń, „epistoła” oznaczała część mszy, podczas której odczytuje się list apostolski: „epistołę apostoła” - Calowi spodobało się brzmienie tej zbitki i nawet dużo później regularnie trzeszczała mu w myślach i wypowiadał ją na głos niczym łamaniec językowy...

- Epistoła apostoła, epistoła apostoła, epistoła apostoła...

Czasami nawet wyśpiewywał te słowa i tańczył, stepując przy tym, co zresztą kiedyś go niepokoiło, bo myślał, że może bluźni, gdyż naprawdę szanował Biblię i chodził do kościoła, ale z drugiej strony, teraz już wiedział, że nie ma sensu przejmować się zabawami słownymi, skoro Bóg wie, że zgrzeszył znacznie bardziej uczynkiem.

„Jestem bluźniercą - napisał wcześniej w swojej Epistole -i to wiem, i strasznie się boję, bo wiem, że to znaczy, że u kresu czeka na mnie piekło, ale nie wiem, jak mógłbym to zmienić, i właściwie myślę, że to tak naprawdę nie moja wina, prawda? Żadna z tych rzeczy”.

1

*6 czerwca*

South Beach, jak tysiące innych plaż o brzasku, wyglądała niemal jak nowo narodzona, jakby z mroku wyłonił się zupełnie nowy świat, odległy o całe lata świetlne od jej hałaśliwego, na poły pogańskiego wieczornego oblicza.

Nawet po umilknięciu muzyki Ocean Drive nie było ciche i zdawało się, że nigdy nie panuje tam spokój. Restauracje i bary

zamknięto, ostatni imprezowicze z nocy z czwartku na piątek leżeli już pijani w łóżkach, kasy zostały rozliczone, kelnerki i barmani wymoczyli obolałe stopy i pozasypiali. Ale nawet teraz ulicą jechali powoli poranni kierowcy, samotny amator joggingu truchtał po plaży wzdłuż brzegu, a jego długie włosy kołysały się przy każdym kroku. Dwóch łyżworolkarzy sunęło promenadą, kobieta w średnim wieku spacerowała po trawniku z psem, a nieopodal poruszył się drzemiący człowiek, zbudzony warkotem wozu służb oczyszczania, który zbierał śmieci z rynsztoków, posuwając się powoli naprzód.

Poranek był ciepły i wilgotny, pozbawiony świeżości. Gdzieś na wschodzie na szarawym fioletowo-różowym niebie słychać było ostatnie pomruki burzy, która przeszła tędy nocą, ale sama plaża była spokojna i radosna w całej swojej pierwotnej niewinności. Płytkie wody Atlantyku kołysały się łagodnie, drobny piasek, podeptany w nocy przez ptaki, wysmagany wiatrem, deszczem i innymi niewidocznymi siłami, zdawał się niemal pozować w delikatnych beżach i pastelowych kolorach jak do fotografii, odpoczywając na moment, zanim ludzie wrócą, by znowu deptać go, kalać i poniewierać.

Jak na wszystkich plażach w hrabstwie Miami-Dade, na South Beach obowiązywały przepisy, a wzdłuż promenady stały tablice z listą zakazów. Zabrania się wnoszenia alkoholu i szklanych pojemników, nie wolno chodzić po wydmach. Żadnych zwierząt, broni palnej i fajerwerków, i nie koniec na tym.

Żadnych „zachowań agresywnych i przemocy”.

Ostatni zakaz tylko w niewielkim stopniu obejmował to, na co natknął się Joe Myerson podczas swojej piątkowej kąpieli o brzasku.

Joe regularnie pływał o świcie i bardzo sobie tę przyjemność cenił.

- Jeśli kiedyś utonę, dostanę zawału albo pożre mnie jakaś cholerna ryba - powiedział raz bratu - przynajmniej będziesz wiedział, że odszedłem szczęśliwy.

Ale teraz już po nich, koniec tych cudownych, samotnych poranków w morskim raju. Już nigdy więcej.

Na pierwszy rzut oka wyglądało to niespecjalnie interesująco: zagubiona łódka, pomalowana na różowo, ale stara i podniszczona, która kołysała się na spokojnych porannych wodach.

Joe zauważył ją z odległości jakichś stu metrów i natychmiast obudziła w nim ciekawość nie tylko dlatego, że zdawała się nie pasować do South Beach, ale przede wszystkim dlatego, że nawet rozpadające się stare łodzie zwykle cumowano albo wynoszono na plażę, a z jakiegoś powodu przyszło mu na myśl, że ta może wcale nie jest pusta, że ktoś może być w środku, ktoś, kogo on nie widzi, na przykład ktoś, komu zrobiło się niedobrze i się położył.

W łódce rzeczywiście ktoś leżał, ale nie czuł się już ani dobrze, ani źle. Joe z kolei poczuł, że robi mu się bardzo niedobrze.

Nigdy w życiu nie widział nic gorszego.

Miał nadzieję, że już nigdy niczego takiego nie zobaczy.

- Pan Myerson samodzielnie wyciągnął ją na brzeg - powiedział detektywom Samowi Becketowi i Alejandrowi Martine-zowi Neal Peterson z Departamentu Policji w Miami Beach, jeden z członków patrolu, który dotarł na miejsce pierwszy, gdy ci przybyli parę minut po ósmej rano na plażę, tuż przy Ocean Drive i Dziesiątej Ulicy, zaledwie kilka przecznic od ich własnego biura przy Washington Avenue.

Owoce zła czekały tuż za rogiem.

Ekipa techniczna dotarła na miejsce przed nimi i już krzątała się wokół łódki na oddzielnym kordonem fragmencie plaży.

Peterson znał obu detektywów od dawna i wiedział, jak silna więź łączy Becketa, wysokiego, postawnego Afroamerykanina, i Martineza, niższego, znacznie szczuplejszego, lecz niekiedy twardszego, Kubańczyka z pochodzenia.

- Do dziobu był przywiązany kawałek linki cumowniczej, która wygląda, jakby została odcięta - ciągnął policjant. - Pan Myerson powiedział, że jak tylko zobaczył ofiarę, chciał uciec, gdzie pieprz rośnie, ale wiedział, że nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby łódkę zniosło na pełne morze albo gdyby się przewróciła do góry dnem.

- Biedny facet. - Sam spojrzał w stronę łódki, a potem na ocean.

- Ma więcej ikry niż większość - powiedział Peterson.

- Prawdziwy księżę - rzucił Martinez, który rzadko brał cokolwiek za dobrą monetę. - Gdzie on jest?

Peterson odwrócił się i skinął w stronę swojego partnera, który stał jakieś trzydzieści metrów dalej nad zgarbioną postacią siedzącą na piasku.

- Ma trochę zadrapań na ramionach, bo musiał ciągnąć łódkę.

- Jesteś pewien, że właśnie od tego je ma? - zapytał Sam.

- Doktor Sanders tak myśli - odrzekł funkcjonariusz. - Pobrał wymaz i opatrzył rany. Obyło się bez zszywania. - Zawiesił glos. - Zupełnie nie wyglądają na ślady po bijatyce, nic z tych rzeczy.

- Facet wie, że będzie musiał z nami porozmawiać? - upewnił się Sam.

Komu przypadnie rola prowadzącego dochodzenie, zawsze było w wydziale przestępstw kryminalnych swego rodzaju loterią, a to śledztwo sierżant Alvarez przydzielił akurat Samowi, co w praktyce oznaczało tylko tyle, że po powrocie do biura to on zostanie obciążony obowiązkiem napisania raportu i lwią częścią papierkowej roboty. Po tylu latach partnerskich układów ani Sam, ani Martinez podczas pracy w terenie nic sobie nie robili z tego, komu należy się dowodzenie.

- Tak jest - odpowiedział Peterson na pytanie Sama. - Powiedział, że może poczekać, bo nie wyobraża sobie, żeby w najbliższym czasie nadawał się do pracy.

Następna postać bez marynarki, znajoma, z nadwagą, ale nie ocieżała, ruszyła po piasku w kierunku detektywów i schyliła się, żeby przejść pod żółtą taśmą policyjną. Lekarz sądowy, doktor Elliot Sanders, zbliżając się do nich, zsunął z twarzy maseczkę i zapalił papierosa.

Nikotyna - i dobra whisky po pracy - zawsze była dla Sandersa priorytetem.

- Zły przypadek - powiedział od razu z wyrazem ponurego niesmaku na okrągłej, pełnej wyrazu twarzy o przenikliwych oczach.

- A są jakieś inne? - spytał Sam. Lekarz wzruszył ramionami.

- Azjata - powiedział. - Może Hindus. Dwadzieścia parę lat, chociaż trudno być wielu rzeczy pewnym. - Zerknął na Sama, który na ogół dobrze się z tym krył, ale na widok ofiar gwałtownej śmierci zdarzało mu się reagować nudnościami. - Facet został uduszony, ale nie wygląda dobrze. - Sięgnął do kieszeni, wyciągnął dwie maseczki i podał je detektywom. - Na wszelki wypadek.

- Na wypadek czego? - zapytał Sam.

- Użyto jakiejś substancji chemicznej. - Sanders zaciągnął się papierosem, zgasił go w piasku, po czym podniósł peta i wrzucił do kieszeni spodni. - Włoki prawie na pewno zostały wymyte, może wodą ze szlauchu, albo zanurzone w oceanie, ale i tak pozostał odór, więc jak mówię, na wszelki wypadek.

Założyli rękawiczki i ochraniacze na buty i poszli razem z lekarzem.

Wszyscy ostrożnie stawiali kroki, chociaż wiedzieli już, że ten fragment plaży prawdopodobnie nie był miejscem, gdzie dokonano zabójstwa.

- Ja pierdziele - oświadczył Martinez na widok ofiary.

- Co mu się, do cholery, stało? - Sam z trudem stłumił odruch, żeby odwrócić wzrok.

Ofiara była naga, całą skórę od twarzy do stóp pokrywały krzyżujące się gdzieś krwawe szramy, niektóre ukośne, inne pionowe. Wszystko, co mogłoby pomóc w ustaleniu tożsamości, zniknęło: zmarły nie miał zegarka, żadnych

sygnetów czy innej biżuterii. Pas jaśniejszej skóry wokół nadgarstka wskazywał, że nosił średniej wielkości zegarek o okrągłej tarczy, lecz nie miał podobnych znaków ani na palcu serdecznym, ani żadnym innym, więc przypuszczalnie mężczyzna nie był żonaty, a chociaż jego dłonie, tak jak reszta ciała, były poranione, paznokcie wyglądały na wypiełgnowane.

Detektywi też poczuli odór. Niezbyt intensywny, ale jednak wyraźny, jak mieszanina słonej wody i substancji chemicznej, o której wspomniał Sanders.

- Śmierdzi chloroksem - powiedział Martinez.

- Możliwe - zgodził się Sanders. - Ale mogło to być coś bardziej żrącego. Sam przykucnął z maską zasłaniającą nos i usta i wpatrywał się w dziwne szramy. Zauważył, że podczas gdy niektóre wyglądają na proste i równe, inne są poszarpane, jakby zadano je byle jak, mniej starannie.

- Sprawca użył jakiegoś rodzaju grabi? - spytał.

- Możliwe - powiedział lekarz sądowy. - Chociaż stawiałbym raczej na coś w rodzaju szczotki o twardym włosiu, może nawet drucianej. Później będę wiedział więcej.

- Ale nie zrobiono tego tutaj - powiedział Sam.

- Z pewnością nie tutaj - potwierdził Sanders - i moim zdaniem nie w tej łódce.

- I jak przypuszczam, nie potrafisz stwierdzić kiedy - zamknął sprawę Sam.

Pewnych rzeczy wolałby się nigdy nie dowiedzieć. Na przykład o licznych komplikacjach, związanych z ustalaniem momentu zgonu, o zmiennych, które wpływają na stężenie pośmiertne i spadek ciepłoty ciała; z żalem jednak uświadamiał sobie, że nie musi się dopytywać, by wiedzieć, że lekarz sądowy nie użyje termometru, dopóki nie zbada ofiary w poszukiwaniu śladów stosunku płciowego, a tak czy inaczej ciepłota ciała może się okazać myląca w sprawie takiej jak ta, gdzie zwłoki przeniesiono po śmierci i przypuszczalnie wrzucono do oceanu, zanim umieszczono je w nowym miejscu - czyli



w łódce - i pozostawiono na nie wiadomo jak długo na łaskę i niełaskę żywiołów.

- Twoje przypuszczenie jest trafne - powiedział Sanders.

- Musicie poczekać.

- Wierzysz w wersję Myersona? - zapytał Martinez.

- Na moje oko, przypadkowy świadek - odrzekł Sanders.

- Wstrząśnięty, podekscytowany. Nie podejrzany.

Sam i Martinez uważali, że lekarz sądowy ma dobre oko.

Wnętrze łódki było brudne, bez widocznych śladów krwi ani wybielacza czy innej substancji chemicznej, co - z jednej strony - stanowiło zły znak, bo świadczyło o braku materiału dowodowego, ale z drugiej, oznaczało brak skażenia chemicznego - przynajmniej tutaj, na South Beach, a więc także brak wyraźnego powodu do zamknięcia plaży, gdy techniczni zakończą pracę.

Sam przyglądał się szyi denata.

- Jakiś sznur?

- E-he - potwierdził Sanders. - Zostało parę włókien, wyglądają na bawełnę. Zabójca prawdopodobnie zaszedł ofiarę od tyłu.

- A to wszystko... - Sam obrzucił wzrokiem pozostałe rany na ciele mężczyzny. - Powiedziałbyś, że przed czy po śmierci?

- Po - odrzekł Sanders. - Prawie na pewno.

- Marna pociecha - skwitował Al Martinez.

2

Oprócz Joshuy, jej dziewięciomiesięcznego synka, i Woody'ego - szorstkowłosego mieszańca jamnika i mini-sznaucera, którego ona i Sam uratowali niecałe cztery lata temu - Grace Lucca Becket była sama w domu na West Island, jednej z dwóch wysp tworzących miasto Bay Harbor Islands, kiedy tuż po dziewiątej rano rozległ się dzwonek do drzwi.

Grace wyszła z pokoiku dziecięcego, gdy pies zaczął szczekać, i zbliżyła się do okna w korytarzu, skąd miała najlepszy widok na schodki przed frontowymi drzwiami.

Claudia Brownley, która stała na ścieżce w dole, w niebieskich dżinsach, z kurtką do kompletu przewieszoną przez ramię i dwiema torbami podróżnymi, leżącymi za nią na ziemi, podniosła wzrok i pomachała do niej.

- Nie wierzę własnym oczom!

Z okrzykiem radosnego zaskoczenia Grace zbiegła po schodach i otworzyła drzwi, rozkładając szeroko ramiona. Siostra wpadła w jej objęcia i wtuliła się w nią, podczas gdy Woody starał się wspiąć Claudii po nogach.

- Woody, spokój! - Grace cofnęła się i popatrzyła na torby leżące na ścieżce, które były o wiele za duże jak na weekendową wizytę, nawet gdyby ta miała się przeciągnąć o parę dni. - Co się dzieje, siostrzyczko? Claudia mieszkała z mężem, Danielem Brownleyem, i dwoma synami, Mikiem i Robbiem, tysiące kilometrów dalej, na wyspie Bainsbridge w stanie Waszyngton, na którą płynęło się promem z Seattle. Nie miała w zwyczaju, co zresztą byłoby niepraktyczne, zjawiać się niespodziewanie w progu domu siostry i szwagra.

- Nie wpuścisz mnie najpierw do środka? - spytała Claudia.

- Och, Boże, oczywiście! Wchodź. - Grace wzięła ją znów w objęcia, po czym podniosła jedną z toreb, podczas gdy siostra dźwignęła drugą i obie weszły razem do domu. Zostawiły bagaże w wąskim korytarzu i ruszyły prosto do kuchni.

Kuchnia była sercem tego małego domku praktycznie od zawsze, jeszcze zanim w życiu Grace zjawił się Sam, zanim wzięli ślub i adoptowali Cathy, i na długo zanim urodził się ich synek.

-No dobra - powiedziała Claudia, zatrzymując się w drzwiach - gdzie mój siostrzeniec?

- Śpi - odparła Grace. - Mam nadzieję.

W idealnym świecie, przypuszczała, jej synek wcale nie powinien teraz nie spać, ale przez kilka ostatnich nocy budził

się o najdziwniejszych porach, a jego trzydziestoosmioletnia mama i czterdziestoletni tata odczuwali tego skutki.

- Mogę po prostu na niego popatrzeć? - poprosiła błagalnie Claudia.

- Najpierw sama chcę ci się przyjrzeć - powiedziała Grace.

- Lepiej nie - odparła Claudia. - Wyglądam okropnie. - Jesteś piękna - oświadczyła Grace zgodnie z prawdą,

choć natychmiast spostrzegła, że siostra schudła o parę kilogramów, a pod jej brązowymi oczami pojawiły się nowe zmarszczki. - Za to ja jestem w rozsypce - dodała i skinęła na parę pośpiesznie włożonych drelichowych spodni i białą bluzkę na ramiączkach.

Z wyglądu siostry nie były do siebie zbyt podobne. Grace odziedziczyła jasną skandynawską karnację po ich zmarłej matce, Ellen, a Claudia miała ciemne włosy i oczy oraz oliwkową cerę Franka Lukki - na szczęście te czysto zewnętrzne cechy, jak dawno się zgodziły, były jedynym genetycznym dziedzictwem po ojcu.

- No to chodź. - Grace uległa prośbie, wzięła Claudię za rękę i poprowadziła po schodach do uroczego pokoiku dziecięcego o błękitnych ścianach, pełnego pluszowych zabawek.

- Och, Grace - szepnęła Claudia. - Mały robi się coraz ładniejszy.

Była to bezsprzecznie prawda: Joshua Jude Becket miał policzki koloru cappuccino, w których pojawiały się dołeczki, ilekroć się uśmiechał, a choć urodził się w środku zamętu

i tragedii, teraz na szczęście był tryskającym radością okazem zdrowia.

Ciocia pogłaskała go delikatnie po ciemnych włoskach.

- Nie obudzę go.

- Niech sobie jeszcze trochę pośpi - odszepnęła Grace z wdzięcznością. - Dzięki temu będziemy miały chwilę tylko dla siebie. - Położyła ramię na wąskich barkach siostry. - Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś.

Gdyby miała wyznać prawdę, powitała nagłe przybycie Claudii z mieszanymi uczuciami. Oczywiście, cieszyła się,

że ma siostrę znowu przy sobie - ale zdawała sobie także sprawę z tego, że gdyby Claudia zapowiedziała swoją wizytę, zawahałaby się na moment, czy się zgodzić, ponieważ była w trakcie nerwowych przygotowań do powrotu do pracy, ze wszystkimi związanymi z tym komplikacjami, i to po lekkiej depresji poporodowej.

„Plus mały stres pourazowy”, według postawionej kilka miesięcy wcześniej diagnozy teścia.

Doktor David Becket był przybranym ojcem Sama, sześćdziesięcioletnim europejskim Żydem, który mierzył ostatnimi czasy nie więcej niż metr sześćdziesiąt pięć wzrostu („kurczę się z dnia na dzień”), ale jego prawie dwumetrowy syn wciąż darzył go najwyższym szacunkiem i zaufaniem. Był to człowiek wielkiej mądrości i dobroci, obdarzony wspaniałym poczuciem humoru, i stał się dla Grace kimś o wiele ważniejszym niż jej własny ojciec. A chociaż był pediatrą, a nie psychiatrą, i szykował się do przejścia na pełną emeryturę, David Becket nadal był tym lekarzem, którego Grace słuchała najbardziej, mimo że mogła się w każdej chwili poradzić ordynatorów zarówno szpitala Mount Sinai, jak i Jackson Memoriał.

- Masz do tego prawo - powiedział jej, gdy po raz pierwszy wyznała mu, że czuje się zagubiona. - Nie jesteś w tym odosobniona - dodał. - Trudno tryskać radością czy choćby z optymizmem patrzeć w przyszłość, gdy dwoje młodych ludzi w rodzinie przeżyło niedawno nieszczęście.

Ale i tak się wstydziła, że czuła się nieszczęśliwa i nie do końca panowała nad sobą akurat wtedy, gdy powinna była być poukładana i pełna wdzięczności. I to mimo że sama, jako psycholog - choć ze specjalizacją w psychologii dziecięcej - wiedziała lepiej niż większość kobiet, że nie powinna. A w każdym razie powinna była wiedzieć.

Wyglądało to jednak inaczej, gdy depresja dopadła samą panią psycholog.

Teraz też miała mieszane uczucia, ale z zupełnie innego powodu. Już od miesięcy martwiła się o Claudię, bo wiedziała, że nie wszystko jest u siostry tak, jak powinno. Kilkakrotnie

postanawiała nawet, że najwyższa pora, żeby wzięła Joshuę i poleciała z nim do Seattle - a Sam poparłby jej decyzję, bez dwóch zdań, ale za każdym razem, gdy Grace o tym myślała, wynajdywała powody, żeby jednak nie jechać. A teraz Claudia zjawiała się tu bez zapowiedzi z dwiema dużymi torbami. A co ważniejsze, jej mąż i dwaj synowie byli nadal w domu. Stało się coś niedobrego.

3

Dochodzenie się rozpoczęło.

Po sfotografowaniu łódki i ofiary i obejrzeniu ich na miejscu tak dokładnie, jak tylko możliwe, zwłoki - wciąż w łódce - zakryto i zawieszono do laboratorium lekarza sądowego, gdzie każdy ułamek centymetra kwadratowego małej łodzi wiosłowej miał zostać zbadany w poszukiwaniu śladów - po czym Sanders rozpocznie drobiazgową pracę nad ciałem samego zamordowanego:

Becket i Martinez zdawali sobie sprawę, że właściwie jedyną nadzieję na szybkie rozwiązanie sprawy dają umiejętności lekarza sądowego i jego zespołu, ponieważ nie znali nawet rzeczywistego miejsca przestępstwa. Każdy dowód rzeczowy, znaleziony przez funkcjonariuszy i ekipę techniczną na plaży, prawie na pewno okaże się albo zupełnie niezwiązany ze zbrodnią, albo powiązany raczej z Joem Myersonem, człowiekiem, bez którego - jak Sam powiedział mu wcześniej - przestępstwa może w ogóle by nie wykryto.

- Pewnie wypłynąłby gdzieś na brzeg - powiedział My-erson.

- Niekoniecznie - odparł Sam. - Zwłaszcza przy nadchodzącym sztormie. Na chwilę Myersonowi poprawił się humor. A potem przypomniało mu się, co widział.

Minie sporo czasu, zanim zdoła zapomnieć.

4

Niełatwo było z Claudii cokolwiek wyciągnąć. Wkrótce po przybyciu zapytała, czy może się zatrzymać na jakiś czas.

- Jasne, że tak - zapewniła Grace. - Przecież wiesz.

I z wysiłkiem powstrzymała się od zapytania dlaczego.

- Dan będzie pracował w domu - powiedziała Claudia. - Zajmie się chłopcami.

- Poradzi sobie? Chyba będzie miał na głowie całe biuro - zdziwiła się Grace, bo od jakiegoś czasu Claudia pracowała na część etatu w biurze projektowym męża.

- Uważasz, że nie należy mi się urlop?

To zupełnie do Claudii nie pasowało, tego rodzaju gorzka odzywka, i Grace uznała, że najwyższy czas pociągnąć ją za język, ale właśnie wtedy Joshua obudził się z głośnym płaczem, co znaczyło, że następną godzinę trzeba będzie poświęcić wyłącznie jemu. A gdy zobaczyła, jak Claudia tuli siostrzeńca, gdy ujrzała jej tkliwość i reakcje uszczęśliwionego malca, po raz kolejny poczuła przemożną i bezsprzeczną radość z przyjazdu siostry.

To była ta sama siostra, która często szukała u niej pocieszenia, gdy Frank Lucca, ich ojciec, ją molestował, a potem podążyła za nią, gdy Grace, młodsza siostra, odkryła w sobie wewnętrzną siłę i zaplanowała ucieczkę z Chicago na Florydę. Siostra, która zawsze była blisko, kochająca i absolutnie niezbędna.

Teraz Grace trudno było sobie wyobrazić, co mogło się popsuć w domu Brownleyów, ponieważ póki Claudia, Daniel i chłopcy mieszkali na Florida Keys, wszystko wydawało się układać w rodzinie jak najlepiej. Ale potem Daniel podjął decyzję o przeprowadzce na północny zachód aż do stanu Waszyngton, założył nowe biuro architektoniczne w Seattle i znalazł rodzinie wspaniały dom z widokiem na ocean na wyspie Bainsbridge, trzydzieści pięć minut promem od miasta

(w miejscu, które CNN i „Money Magazine” uznały raz za jedno z dwóch najlepszych miejsc do zamieszkania w Stanach Zjednoczonych).

Widok na wodę miał sprawić, że poczują się u siebie, a Grace wydawało się, że Daniel i chłopcy się tam zadomowili. Ale Claudia radziła sobie gorzej, co Grace podejrzewała od dłuższego czasu.

I nic w związku z tym nie zrobiła. Nie mogła jednak wiele zdziałać oprócz tego, że regularnie dzwoniła do siostry i pytała ją o samopoczucie, i oczywiście martwiła się o nią.

Teraz ogarnęła ją nowa fala wyrzutów sumienia. Była zbyt zajęta własnym życiem, żeby dogłębnie zastanowić się nad sytuacją Claudii, zbyt zajęta własną rodziną i pacjentami - i całym piekłem, które los zgotował im prawie rok temu; później z kolei zostali obdarowani Joshuą i od tej pory próbowała przede wszystkim poradzić sobie z macierzyństwem i nową, nieznaną wcześniej niepewnością.

Wymówki.

- Możesz zostać tak długo, jak tylko zechcesz - zapewniła siostrę.

Nie mogła uwierzyć, że nie powiedziała tego już przy powitaniu.

- Pomyślałam po prostu - wyjaśniła Claudia - że skoro Cathy nie ma, znajdzie się wolne miejsce.

Cathy, ich nękana kłopotami córka, która doznała w swoim młodym życiu więcej bólu i cierpienia niż większość ludzi aż do sędziwego wieku i która nieco ponad trzy miesiące temu oznajmiła Grace i Samowi, że zamierza wyjechać na jakiś czas, bo ma za dużo złych wspomnień, związanych z kampusem Uniwersytetu Trent, domem, plażą i praktycznie każdym miejscem w Miami i okolicy.

- Wiem, że to wszystko będzie mi towarzyszyć, dokądkolwiek się udam - powiedziała rodzicom - ale i tak czuję, że wyjazd na jakiś czas dobrze mi zrobi.

Sam sprzeciwiał się dłużej niż Grace: gorąco pragnął, żeby córka została w domu i przyjęła ich pomoc w leczeniu

ran, ale żona przypomniała mu, że może tu być za ciasno dla dwudziestojednolatki, która potrzebuje przestrzeni, żeby wykrzyczeć swój ból.

- Ze nie wspomnę o tacie, paranoicznym gliniarzu - dodał David Becket - który chce wszcząć inwigilację za każdym razem, gdy Cathy zbliży się na odległość kilometra do kogoś, kto może napisać jej kłopotów w którymś momencie w ciągu następnych trzech dziesięcioleci.

- Naprawdę jestem taki straszny? - spytał Sam ojca.

- Po prostu chcesz, żeby była bezpieczna - odrzekł David. - Jak my wszyscy, synu.

A zaplanowana przez Cathy podróż wydawała się bezpieczna i dobrze przemyślana. Zresztą wiedzieli, że nawet gdyby potrzebowała ich zgody, i tak musieliby ją puścić, bo bez względu na to, czy wyszłoby jej to na zdrowie, czy nie, mogli mieć nadzieję, że znów ją zobaczą, dopiero gdy uzna, że jest gotowa do powrotu.

Tak więc na razie Cathy była na Zachodnim Wybrzeżu i pracowała jako asystentka trenera w college'u w Sacramento, po czym zamierzała robić to samo na kilku letnich obozach sportowych w różnych miejscach Kalifornii.

A za każdym razem, gdy Grace otwierała jedną z szafek w kuchni, widziała pudełko Honey Graham Life, ulubionych płatków śniadaniowych córki, i tęskniła za nią jeszcze bardziej.

Ale pokój Cathy był wolny i mogła w nim spać Claudia.

## 5

Działania wywiadowcze w terenie były już w toku: nieduży zespół detektywów sprawdzał wszystkie hotele, budynki mieszkalne, usługowe i hotele z widokiem na Ocean Drive między ulicami Piątą a Piętnastą, a także na promenadę, wydmy i samą plażę, szukając nagrań z każdej kamery przemysłowej, starając się porozmawiać z każdym



mieszkańcem, pracownikiem, właścicielem lokalu i przyjezdnym w okolicy.

- Spróbujmy najpierw w Strandzie - zdecydował Sam na początku, bo ten właśnie hotel miał widok na plażę między ulicami Dziesiątą i Jedenastą i był zarazem jednym z kilku budynków w tej części dzielnicy Art Deco, które miały balkony - oraz dach znany jako jedno z najlepszych miejsc w South Beach do oglądania pokazów sztucznych ogni.

I może również zabójstw.

Niczego się tam nie dowiedzieli, podobnie jak w Victorze; na razie nikt nie uznał niczego za dość istotne, by warto z nimi o tym porozmawiać, chociaż w tych okolicznościach ani Sam, ani Martinez nie spodziewali się, że pójdzie im łatwo.

- Mildred chce z tobą pogadać, Sam - poinformowała go detektyw Beth Riley około jedenastej, gdy razem z Mary Cutter, drobną, atrakcyjną panią detektyw, z którą parę lat wcześniej Al Martinez miał krótkotrwały, lecz przyjemny romans, weszła do dużej sali biurowej, gdzie pracowali detektywi wydziału przestępstw kryminalnych.

Sam natychmiast nadstawił uszu.

- Gdzie i kiedy?

- O zwykłej porze, tam gdzie zawsze - odparła Cutter. Co oznaczało: około południa w parku Lummus, na ławce w cieniu palmy.

- Myślisz, że coś ma? - spytał Martinez.

Między nim i Cutter nie było animozji, choć właśnie ta obawa skłoniła oboje do zakończenia romansu, zanim zabrnęli za daleko. Ostatnio w życiu Martineza nie było żadnej wyjątkowej kobiety; twierdził, że ten stan mu odpowiada: nikogo, o kogo trzeba by się martwić dniami i nocami - mawiał - nikogo, kto by się bał o niego.

- Nie powiedziała - odrzekła Cutter.

Kloszardzi często znajdowali się wysoko na liście śledczych - rzadko jako podejrzani, już raczej jako najbardziej prawdopodobni świadkowie, którzy przypadkiem mogli natrafić na jakiś dowód albo usłyszeć ważną informację.

Mildred Bleeker była bezdomną kobietą w trudnym do określenia wieku, która cieszyła się odwzajemnionym szacunkiem niektórych gliniarzy i detektywów z Departamentu Policji w Miami Beach. W zamian za dobre słowo - i butelkę wina Manischewitz Concord Grapę od czasu do czasu - Mildred nigdy nie wahała się pomóc policji, udzielając informacji o przestępstwach z użyciem przemocy, zwłaszcza tych, które wiązały się z narkotykami.

Miała jednak swoje sympatie i antypatie i przez jakiś czas jej ulubieńcem był młody policjant patrolowy Pete Valdez, który jednak opuścił wydział kilka miesięcy temu. Odtąd Mildred przeniosła swoje preferencje na Sama.

- Słyszałam o pańskich kłopotach, detektywie Becket -oznajmiła pewnego ranka w marcu, gdy spotkała go na rogu Lincoln i Washingtona i przyjęła poczęstunek z torebki Krispy Kremes, którą niósł na zebranie wydziału. - Mam nadzieję, że nie urażę pana, jeśli zapytam, jak wiedzie się pańskiej rodzinie teraz?

- Wcale nie poczuję się urażony. - Sam był zaskoczony, ale zarazem wzruszony, i powiedział, że rodzina ma się całkiem dobrze, po czym pokazał kilka zdjęć Joshuy, w zamian za co Mildred wydobyła złoty medalion spod warstw czarnego w większości ubrania - zawsze nosiła się na czarno z kilkoma kolorowymi akcentami - i otworzyła go, ukazując dwie maleńkie czarno-białe fotografie - młodego mężczyzny i kobiety.

- Mój narzeczony - wyjaśniła. - I pani - zauważył Sam.

- Z tysiąc lat temu - powiedziała.

- Nadal widzę podobieństwo - odparł Sam. - Stanowiliście ładną parę.

- Donny był jedyny w swoim rodzaju - oświadczyła Mildred. - Zupełnie wyjątkowy, wie pan?

- Tak samo jak moja żona - powiedział Sam. - Grace. Wówczas na tym poprzestali, szanując nawzajem swoją prywatność, ale od tamtej pory odbyli sporo rozmów, a podczas jednej z nich Mildred zwierzyła się, że Donny zginął jako

niewinny przechodzień w strzelaninie wywołanej narkotykami. Sam kilkakrotnie próbował przekonać ją, żeby poszła z nim coś zjeść w restauracji albo kawiarni, albo nawet, za namową Grace, do ich domu - gdzie tylko miałyby ochotę - ale zawsze dziękowała mu i odmawiała. O ile Sam się orientował, Mildred Bleeker żyła tak z własnego wyboru, i najbardziej zbliżyli się do wspólnego lunchu w przyzwoitych warunkach, gdy na jej ławce zjedli parę tamales ze ślimakami.

Sam zdał sobie teraz sprawę, że nie ma powodu sądzić, by wiadomość od Mildred w jakikolwiek sposób wiązała się ze sprawą zabójstwa.

- Może chodzić o cokolwiek - powiedział, gdy Cutter postawiła na swoim biurku kubek z kawą, a Riley zajęła się przeglądaniem korespondencji.

- Mildred wie o łódce? - spytał Martinez.

- Nie powiedziała - odparła Riley, przeczesując dłonią czuprynę krótkich rudych włosów. Myślami była już przy czymś innym. .

- No tak, pewnie nie chciała - zauważył Martinez. - Bo nie jesteś Samem Becketem.

Sam wiedział tylko, że oddałby o wiele więcej niż tuzin tamales za choćby drobną wskazówkę na temat miejsca, gdzie popełniono zabójstwo. Mino braku nowych informacji, za to z dużym prawdopodobieństwem, że do zbrodni doszło w jakimś pomieszczeniu - może w pokoju hotelowym lub motelowym, w burdelu, garażu czy w prywatnym mieszkaniu - mogli się o tym dowiedzieć w niedalekiej przyszłości, zwłaszcza jeśli było to takie miejsce, gdzie - powiedzmy -jakiś pracownik wszedł dziś rano i zobaczył więcej, niż się spodziewał. Jak dotąd, nie dotarło żadne zgłoszenie o plamach krwi, kałużach chemikaliów czy choćby o śladach bójki.

Sam nie mógł się wprost doczekać spotkania z Mildred.

Grace bała się czasami, że Cathy może nigdy nie wrócić. Zdawało się, że od urodzenia Joshuy bała się zbyt wielu rzeczy.

- Co właściwie nie jest w moim stylu - wyznała Magdzie Shrike parę miesięcy wcześniej. Magda, kiedyś jej mentorka, psycholog i dobra koleżanka, przeniosła się na jakiś czas do San Francisco, ale rok temu wróciła. - Albo nie było.

- Wydarzenia pozostawiają swoje piętno - zauważyła Magda. - Na każdym.

- Tylko że całe zło poprzedniego roku nie wydarzyło się mnie, prawda?

- Wydarzyło się ludziom, których kochasz, więc oczywiście dotknęło także ciebie, Grace.

Co stanowiło jeden z powodów, dla których Grace postanowiła jakiś czas temu, że najwyższa pora wrócić do tego, co robi najlepiej. Mianowicie do myślenia o innych, w szczególności o swoich pacjentach. O dzieciach, którym mogła pomóc.

„W Miami Beach jest mnóstwo innych psychologów”.

Prawda, ale przecież po to Grace przez wiele lat się uczyła, a potem kolejne lata praktykowała w zawodzie. I była w nim dobra, musiała szczerze przyznać.

Tylko że musiała również pogodzić się z faktem, że powrót do pracy oznacza konieczność znalezienia kogoś do pomocy - nie tyle kogoś, kto zastąpiłby Lucię Busseto, poprzednią sekretarkę - ponieważ w gruncie rzeczy nie wyobrażała sobie, by kiedykolwiek zdołała powierzyć poufne akta swoich młodych pacjentów innej osobie.

„Powierzyłabym innej osobie Joshuę”.

Teraz ta myśl znów wywołała w niej obawy, jak zawsze, gdy z Samem rozmawiała o zatrudnieniu kogoś do pomocy w domu.

„Co samo w sobie jest - pomyślała - nie całkiem zdrowe”.

- Buba - z doskonałym wyczuciem chwili powiedział Joshua z podwyższonego krzeselka w kuchni.

- Właśnie - odparła Grace.

David i Saul - dwudziestodwuletni przybrany brat Sama

- obaj wielokrotnie proponowali, że zaopiekują się Joshuą, a Bóg jeden wiedział, że ona i Sam mieli do każdego z nich bezgraniczne zaufanie.

Ale chodziło nie tyle o chwilową opiekę nad dzieckiem, ile raczej o poważną decyzję, dotyczącą stylu życia, decyzję, z którą będzie musiała się zmierzyć równie stanowczo jak każda pracująca matka.

Ale teraz, w tej chwili, była tu Claudia, która przeleciała tysiące kilometrów, ponieważ najwyraźniej potrzebowała siostry, i bez względu na to, czy chodziło o schronienie, ramię, na którym można by się wyplakać, czy o coś zupełnie innego, Grace wiedziała, że natychmiast musi dać sobie solidnego kopa w tyłek i zaopiekować się siostrą.

O wpół do dwunastej zadzwonił Sam i powiedział Grace, że prowadzi nowe dochodzenie w sprawie zabójstwa.

Co, jak wiedziała, znaczyło, że nie ma zielonego pojęcia, kiedy wróci do domu.

- Mamy gościa - poinformowała go.

Claudia była na górze i rozpakowywała swoje rzeczy w pokoju Cathy.

Grace pół godziny wcześniej zadzwoniła do córki do Sacramento, a ta zapewniła, że nie ma nic przeciwko temu.

- Podoba mi się myśl, że ktoś będzie korzystał z mojego pokoju - powiedziała.

- Chcesz, żebyśmy poszukali sublokatora? - spytała Grace celowo lekkim tonem.

- Tak daleko bym się nie posunęła - odparła Cathy wesołym głosem, po czym poprosiła, żeby wszystkich od niej uściskać i ucałować, zwłaszcza Joshuę, za którym - wyznała

- tęskni jak szalona i nie może się wprost doczekać, kiedy go znów zobaczy. Dzięki temu wszystkiemu Grace poczuła się znacznie lepiej.

Teraz powiedziała Samowi, jak - jej zdaniem - wygląda sytuacja Claudii.

- Coś stanowczo jest u niej nie tak.

- Wiedziałaś to od jakiegoś czasu - zauważył Sam . -1 dobrze, że do ciebie przyjechała.

- Nawet jeśli oznaczałoby to, że zostawiła Daniela i chłopców?

- Zwłaszcza wtedy - odparł Sam. - Nikt inny nie pomoże jej lepiej.

- Tak myślisz? - zakpiła Grace.

- Ja to wiem - odrzekł swoim głębokim, dźwięcznym głosem.

Miło mieć męża, który tak w ciebie wierzy.

Grace żałowała, że sama nie jest siebie równie pewna.

7

Nie było dnia, żeby Sam nie przypominał sobie, jaki z niego szczęściarz, że ma rodzinę, że żyje, jest wolny i nadal pracuje jako detektyw w Miami Beach.

Wszystko mogło się być potoczyć zupełnie inaczej. Mógł stracić pracę albo i więcej, ale w dochodzeniu w sprawie koszmaru z ostatniego roku przyjęto, że życie Cathy było zagrożone, i nałożoną przez komisję dyscyplinarną majorów i kapitanów karą za działanie poza jurysdykcją i inne, poważniejsze występki, okazało się zawieszenie Sama w czynnościach służbowych na osiemdziesiąt godzin, mimo że groziła mu degradacja, a nawet wydalenie z Biura Detektywistycznego. A zatem nadal robił to, co uwielbiał.

Chociaż czasami - w takich dniach jak dzisiejszy - ta miłość zdawała się trochę dziwna.

- No więc... - zaczął Martinez tuż po południu, gdy szli Jedenastą Ulicą ku Ocean Drive; Sam niósł torbę zawierającą dwie kubańskie kanapki i butelkę manischewitza dla Mildred, a w drugiej dłoni trzymał kubek mrożonej herba-

ty ze Starbucksa. - ...czy twój nos już podpowiada ci coś konkretnego?

- Ni cholery - odparł Sam.

- Mnie też nie - przyznał Martinez.

Z laboratorium Sandersa dotarło na razie tylko potwierdzenie, że drobne kawałki włókna, znalezione w przędze na szyi ofiary, to biała bawełna, taka sama, z jakiej masowo produkuje się liny cumownicze.

- Zwyczajne jak gówno - zauważył wtedy Martinez.

I właśnie dlatego musieli się skupić na własnych instynktach. Na gorących i parnych ulicach South Beach zadawali sobie te same pytania co zwykle.

- No dobra - zaczął Sam, gdy przeszli przez Collins - co, twoim zdaniem, przydarzyło się naszemu niezidentyfikowanemu mężczyźnie?

- Raczej nie przemoc domowa - rzekł Martinez. - A przynajmniej nie małżeńska.

- Rabunek, który źle się skończył? - zasugerował Sam, bo jak wiedzieli. z doświadczenia, do wściekłego wybuchu przemocy może doprowadzić cokolwiek, a niewykluczone, że zabity był bogatym facetem z grubym plikiem banknotów w portfelu i wysadzonym brylantami roleksem na ręce.

Oczywiście, zanim nieznany sprawca zadusił go, brutalnie rozorał ciało, a później oblał rany wciąż niezidentyfikowanym środkiem chemicznym.

- Narkotyki albo seks, albo jedno i drugie - rzucił Sam.

- Seks - wybrał Martinez. - Spotkanie gejów, które poszło nie tak.

Uszkodzenia ciała i twarzy świadczyły o głębokiej, zażartej nienawiści, a detektywi wiedzieli z doświadczenia, że morderstwa z elementem homoseksualnym bywają czasem nadzwyczaj brutalne.

- Jeśli pominąć samo uduszenie - ciągnął Sam, gdy skręcili na prawo w Ocean Drive - to był atak na jego skórę.

Z restauracji już huczała muzyka, ładniutkie kelnerki stały na chodniku, próbując przekonać klientów do oferty, wręczając jadłospisy i zachwalając obiady po obniżonej cenie.

- Ale dopiero po śmierci - uściślił Martinez. - Co wyklucza skłonności sadystyczne.

- Może chodziło o rasę - poddał Sam. Przeszłości na tle rasowym wywoływały w nim obrzydzenie.

- Rasa i seks - rzekł jego partner. - Kto to, kurna, wie?

- My powinniśmy wiedzieć - podsumował Sam.

Mildred nie była głodna.

Krążąca po ulicach wiadomość o zamordowanym w potworny sposób mężczyźnie odebrała jej apetyt.

- Przepraszam - powiedziała, gdy Sam zaproponował jej kanapkę.

Byli tylko we dwoje, bo Martinez wrócił do biura. Ze względu na bezpieczeństwo i zdrowy rozsądek detektywi rzadko wybierali się dokądkolwiek osobno, ale od tej reguły bywały wyjątki, a jeden z nich stanowiły spotkania z Mildred. Po pierwsze, ufali jej, a po drugie, wiedzieli, że jeśli ma jakąś ważną informację, to prawdopodobieństwo, że przekaże ją bez wahań, jest mniejsze, jeżeli Samowi będzie ktoś towarzyszył.

- To nic osobistego - powiedziała kiedyś Martinezowi, gdy przyszedł razem z Samem. - Po prostu między mną a detektywem Becketem jest... coś takiego. Rozumie pan? - Potem z błyskiem w niebieskich oczach mrugnęła do niego porozumiewawczo, a jej pomarszczona, ogorzała twarz wykrzywiła się w uśmiechu. Martinez zachował się jak należy i ucałował jej poznaczoną starczymi plamami dłoń, a Mildred roześmiała się i zdawała się zadowolona, ale później i tak poczekała, aż detektyw sobie pójdzie.

W tej kobiecie jest coś nobliwego, pomyślał Sam, zbliżając się do ich zwykłego miejsca spotkań, gdy zobaczył ją, gospodynię czekającą na gościa, siedzącą w otoczeniu swych dóbr doczesnych na ocienionej palmowymi liśćmi, pomalowanej na turkusowo ławce w pobliżu placu zabaw i niedaleko od Ocean Drive i Szóstej Ulicy. To był jej skrawek parku, miejsce, gdzie sypiała i przyjmowała nielicznych wybrańców



na audyencji, ale choć Sam widywał ją niekiedy na Washington Avenue i na samej plaży, nie miał pojęcia, gdzie spędzała resztę czasu.

Zaproponowała, żeby usiadł, podziękowała za kanapkę, ale przyjęła wino. Sam znał ją na tyle, że nawet nie zasugerował, by wzięła kanapkę i zachowała ją na później, bo był czerwiec, a bez lodówki ser, szynka i masło zepsułyby się praktycznie od razu.

- Zechcesz poczęstować się winem, Samuelu?

Odkąd jego przybrana matka, Judy Becket, odeszła, nikt inny tak się do niego nie zwracał, ale Mildred wierzyła, że przy imionach biblijnych nigdy nie należy majstrować, i przypomniała mu, że zmarli rodzice nadali mu to imię nie bez powodu.

Teraz uniosła butelkę, pokazując mu etykietkę, prawie jak kelner w eleganckiej restauracji. Był to rytuał, który zdawał się sprawiać jej przyjemność, mimo że doskonale wiedziała, że Sam odmówi, bo jest na służbie.

Podziękował jej jak zawsze i uniósł papierowy kubek z herbatą.

Były czasy, gdy Sam Becket uwielbiał kawę i był w istocie uzależniony od dobrego espresso, ale wskutek wstrząsających przeżyć zeszłego roku wątpił, by kiedykolwiek zdołał przełknąć choć łyk kawy.

- No więc - zaczął teraz spokojnym głosem - czy to wyłącznie towarzyska okazja?

- Przecież wiesz, Samuelu, że nie marnowałabym twojego czasu - odparła Mildred. - Zwłaszcza kiedy masz taką poważną pracę do wykonania.

- Wolałbym, żeby było inaczej. - W gruncie rzeczy, gdyby odłożyć sprawę morderstwa na bok, Sam mógł sobie wyobrazić wiele gorszych sposobów na spędzenie godziny na mieście niż rozmowa ze starszą panią.

- I, zanim zapomnę, Grace przesyła pozdrowienia.

- Wzajemnie - powiedziała Mildred. Sam napił się herbaty, odczekał chwilę.

- A więc co jest grane?

- Chodzi o tego biednego człowieka, oczywiście - odrzekła.  
- Widziałaś coś, Mildred? - Sam przeszedł od razu do sedna.  
- Nie jestem świadkiem przestępstwa, Bogu dzięki. - Wokół byli ludzie: odpoczywali na trawie za nimi, spacerowali promenadą i opalali się na plaży, lecz nikt nie znajdował się na tyle blisko, by ją usłyszeć, a mimo to Mildred zniżyła głos. - A to, co zobaczyłam... kogo zobaczyłam... najprawdopodobniej nie ma z tą sprawą nic wspólnego.  
- Mimo wszystko opowiedz - poprosił łagodnie Sam.  
- Widziałam obcego - odparła. - Kogoś nowego. Mówiła powoli, z namysłem, chociaż wcześniej długo się nad tym zastanawiała. Ale było wbrew jej zasadom, by pakować komuś na barki kłopoty, gdy na to nie zasługuje.  
- Wiem równie dobrze jak ty, że okolica jest pełna obcych, i dlatego staram się tego słowa nie nadużywać, detektywie, ale ten młody człowiek budził we mnie złe przeczucia. - Zrobiła skrzywioną minę, marszcząc nos tak, że przez chwilę wyglądała jak mops. - I mam nadzieję, że to nie tylko przez jego wygląd, bo staram się nie przywiązywać do czegoś takiego wagi.  
- Wiem - zapewnił Sam.  
Mildred pokręciła głową. Jej szpakowate włosy były długie, ale starannie uczesane i upięte - a Sam, który nigdy nie widział, by wyglądały inaczej, często podziwiał zarówno je same, jak i fakt, że mimo wybranej egzystencji starszej pani zawsze udawało się zachować czystość.  
- Był właściwie prawie chłopcem i może należał do tych biedaków, którzy sprzedają swoje ciało, byle tylko nie dołączyć do takich jak ja na ulicy. Ale miał w sobie coś takiego, że ciarki przebiegły mi po plecach, i chodziło o coś więcej niż to, jak się wystroił.  
- Czyli właściwie jak? - zainteresował się Sam.  
- Był... - Wzruszyła lekko ramionami. - Był srebrny, caluteńki. Ale nie tak, żeby to uderzało po oczach, delikatniej. W takim odcieniu jak masa perłowa albo rybie łuski. - Mildred pokiwała głową. - Właśnie tak sobie z początku pomyślałam:

że wygląda jak jakaś wielka, wspaniała martwa ryba o srebrzystych łuskach, która leży na lodzie w supermarkecie.

Sam odczekał, aż mężczyzna, który ich minął, pchając wózek załadowany do połowy orzechami kokosowymi, wreszcie się oddalił.

- Jego ubranie było całe srebrne?

- Wszystko było srebrne - powiedziała. - Od włosów na głowie aż po stopy. Nosił takie okropne buty, w których ludzie wyglądają, jakby chodzili na wysokości półpiętra zamiast parteru. Wiesz, o co mi chodzi?

- Jasne, że wiem. - Sam się uśmiechnął, bo słuchanie Mildred Bleeker często było samo w sobie przyjemnością, i chętnie by się dowiedział, czy zdobyła wykształcenie w jakiejś dobrej szkole, czy jest samoukiem, ale ponieważ niewiele mówiła na swój temat, wątpił, by kiedykolwiek jego ciekawość w tej sprawie została zaspokojona.

Znowu pokręciła głową.

- Ale potem zdałam sobie sprawę, że ani odrobinę nie przypomina martwej ryby, bo ten chłopak był pełen życia, cały w ruchu. Przypominał raczej jakąś piękną ważkę, migoczącą w mroku, i omal się nie uśmiechnęłam, bo wyglądał tak wspaniale, prawie jak chudy anioł bez skrzydeł, ale zamiast tego serce zaczęło mi walić i dostałam gęziej skórki.

- Widziałaś twarz? - spytał Sam.

- Owszem - odpowiedziała - też była srebrna, ale poza tym nie byłabym w stanie powiedzieć nic, co pozwoliłoby go odróżnić od innych chudych młodych mężczyzn, chociaż...

Sam czekał przez chwilę.

- Co? Spojrzał na ciebie? Zobaczył cię, Mildred?

- Wcale na mnie nie patrzył, detektywie. Był za bardzo skupiony na sobie, żeby to zrobić, pomyślałam. - Uśmiechnęła się. - Zdawało mi się, że tak właśnie powinien wyglądać młody mężczyzna w środku miłosnych igraszek.

- W środku - zapytał Sam - czy u szczytu? - Był to najłagodniejszy sposób, jaki przychodził mu na myśl, by ustalić, co nieznajomy niedawno robił, albo co miał

zamiar zrobić za chwilę niezidentyfikowanemu martwemu mężczyźnie.

- Chodzi ci o to, czy przeżywał orgazm? - Mildred uśmiechnęła się szeroko. - Nie, jeszcze nie. Ale z całą pewnością świetnie się bawił.

- Był na haju? Oczywiście, o ile mogłaś to stwierdzić?

- Nie wiem - odparła. - Powiedziałałabym, że nie, ale pewności mieć nie mogę.

- A gdzie to było? I kiedy? Znow zmięzał prosto do sedna.

- Nie ostatniej nocy - powiedziała. - To było przedwczoraj nad ranem, około drugiej. - Mildred nosiła dwa zegarki, jeden z błękitnym paskiem na prawej ręce i drugi, który wyglądał na złoty, ale stary i zaśnieżony, na wąskiej bransoletce i z małym cyferblatem, na lewym nadgarstku. W przeszłości powiedziała Samowi, że ceni sobie punktualność. Była, jak zdążył się przekonać, wiarygodnym świadkiem.

A więc w czwartek nad ranem. Czyli było mało prawdopodobne, by wyraz rozkoszy na twarzy mężczyzny miał bezpośredni związek ze sprawą zabójstwa. Chyba że młodzieniec już zaplanował zbrodnię i napawał się samą myślą o jej popełnieniu.

Prawdopodobnie był to tylko zwyczajny przyjezdny.

- A gdzie go widziałaś? - spytał Sam.

- Na promenadzie - odparła Mildred. - Niedaleko stąd, w pobliżu Siódmej Ulicy.

Trzy przecznice od miejsca, gdzie wyciągnięto na brzeg łódkę.

Mogło to nic nie znaczyć - prawie na pewno nic nie znaczyło - i oboje zdawali sobie z tego sprawę, tylko że Mildred Bleeker nie miała w zwyczaju dopatrywać się psychopatów za każdym rogiem.

Tego popołudnia, przy South Beach tętniącej życiem, tłumach ludzi, którzy wyszli z domów i cieszyli się upalną, parną pogodą, ignorując zbierające się chmury i zapowiedzi następnej burzy z piorunami, trudno było wyobrazić sobie

srebrnych dziwaków, podekscytowanych przypuszczalnymi rojeniami o morderstwie.

Ale Mildred nie była w ciemną bita.

- Zastanawiałam się wczoraj - powiedziała - a później dziś rano, bo pytanie uporczywie wracało: dlaczego właściwie tak się go przestraszyłam?

- Znalazłaś odpowiedź? - zapytał Sam.

- Owszem - odrzekła z pełnym przekonaniem. - Budził we mnie lęk, ponieważ zdałam sobie sprawę, że przywodził mi na myśl nie zwyczajnego chudego anioła, ze skrzydłami czy bez.

Sam domyślił się, jakie będą jej następne słowa.

- Przywodził mi na myśl - dopowiedziała Mildred - anioła śmierci.

Sam spuścił na nią wzrok i ogarnął go przyływ opiekuńczych uczuć.

Była drobną kobietą, miała nie więcej niż metr pięćdziesiąt pięć wzrostu i najprawdopodobniej - zgadywał - delikatną budowę ciała, co maskowały liczne warstwy ubrania.

- Zwiększyrny liczbę patroli w okolicy - oznajmił - co najmniej na kilka najbliższych nocy, ale chyba wolałbym, żebyś nie była tu sama.

Mildred podniosła na niego wzrok.

- Zamierzasz mnie aresztować, panie detektywie?

- Skądże znowu, szanowna pani - zapewnił.

- To jest mój dom. - Skinęła ręką dookoła, na trawniki i drzewa, na piaszczystą promenadę, wydmy i plażę. - To moja wolność.

- Wiem - odparł Sam.

- Nie znoszę murów - wyjaśniła Mildred. - Odkąd nie mam Donny'ego.

Mówiła mu to już wcześniej, chociaż nigdy nie rozwinęła tematu, a Sam nie miał powodu, by jej nie wierzyć, i w żadnym wypadku nie chciał się wtrącać ani tym bardziej jej denerwować.

- Zrobisz coś dla mnie? - zapytał.

- Jeśli mogę.

- Czy jeśli dam ci komórkę z zapisanymi w pamięci numerami telefonu do mnie, obiecasz, że z niej skorzystasz?
- Wtedy, gdy go znowu zobaczę? - spytała. - I kiedy znowu się przestraszysz - dodał. Uśmiechnęła się.
- A gdzie niby miałabym doładować baterię? Nie w ciemną bita, o nie.
- Mogłbym ją łądować u siebie w pracy - powiedział.
- Przypuszczam, że nie używałabym jej zbyt często - zauważyła.
- Moglibyśmy się umówić, że będę po nią przychodził co kilka dni.
- To by oznaczało, że musiałbyś wiedzieć, gdzie jestem.
- Owszem - przyznał Sam. - Czasami. Mildred zastanawiała się przez chwilę.
- Myślę - powiedziała - że mogłabym na to przystać, Samuelu.

8

- Chciałabym - zagadnęła Grace siostrę pod wieczór - żebyś powiedziała mi, co się stało.
  - Przecież mówiłam - odparła Claudia. - Potrzebuję urlopu.
  - I?
  - I chciałam zobaczyć się ze swoją siostrą i jej rodziną.
  - I cieszymy się, że cię widzimy - powiedziała Grace. -W każdym razie Sam też cieszyłby się, gdyby tu był.
- Dziecko spało w swoim pokoju na piętrze, a one siedziały w kuchni. Na dworze burza, na którą zbierało się przez całe popołudnie, przyginała palmy i łodygi kwiatów, zalewając ziemię deszczem, ale tu, w środku, na kuchence podgrzewała się pachnąca potrawka z ryby, a siostry siedziały przy dużym dębowym stole, popijając dobre czerwone chianti i jedząc oliwki. Oprócz kojca w kącie i zabawek rozsypa-

nych po całym pomieszczeniu - a także drzwiczek dla psa zainstalowanych w zeszłym roku, gdy Woody zaczął mieć kłopoty z pęcherzem - od ostatniej wizyty Claudii niewiele się zmieniło. Wciąż było to przytulne, rustykalne wnętrze, któremu nadawały ciepła drewniane meble i miedziane patelnie, miękkie, bogato haftowane poduszki na krzesłach i rodzinne zdjęcia na ścianach.

Dziś wieczorem były tylko we dwie, bo Sam pracował nad nową sprawą, a Grace zastanawiała się, czy zaprosić Davida i Saula - piątkowe wieczory u Becketów często spędzano w rodzinnym gronie przy zapalonych szabasowych świecach: zwyczaj, który Sam uwielbiał od czasów, gdy David i Judy Becketowie wyrwali go jako siedmiolatka z nieszczęścia i adoptowali. Ostatecznie jednak Grace uznała, że wtedy dałaby Claudii idealną wymówkę, żeby się nie otwierać, a jeśli Grace była czegoś pewna, to właśnie tego, że siostra powinna się otworzyć.

Obie wzięły prysznic i przebrały się już jakiś czas temu, Grace w długą błękitną bawełnianą koszulkę, a Claudia w wygodną beżową sukienkę z lnu; bose stopy o wypielegnowanych i pomalowanych jasnym lakierem paznokciach, dokładnie takim samym jak na paznokciach u rąk (Grace nie pamiętała, kiedy ostatnim razem choćby pomyślała o zrobieniu sobie pedikiuru), wsunęła pod siebie na krzesło.

- Kiedyś zwierzałyśmy się sobie - przypomniała Grace. - Z tego, co dobre i złe.

- Wciąż tak jest - odrzekła Claudia. - Tylko nie ze wszystkim.

- Oczywiście - zgodziła się Grace. Claudia upiła spory łyk wina.

- Nie mogę ci pomóc - dodała Grace - jeśli nie będziesz ze mną rozmawiać.

- Nie mogę z tobą porozmawiać - odparła Claudia - póki nie będę gotowa.

- Okej - ustąpiła Grace. - Mamy czas.

Claudia odstawiła kieliszek na stół, wysunęła stopy spod siedzenia, postawiła je na podłodze i usiadła prosto.

- Nawaliłam - oznajmiła. -1 to bardzo. Grace milczała.
- Moje życie zmieniło się w bajzel i sama do tego doprowadziłam - podjęła Claudia. - Wiem, że mogę ci powiedzieć prawie wszystko, i wiem, że nie mam prawa niczego przed tobą kryć, skoro właśnie zjawiłam się w twoich progach bez żadnego uprzedzenia...
- Masz absolutne prawo do prywatności - zastrzegła Grace.
- Wypowiedź godna psychoterapeuty - zauważyła ironicznie Claudia.
- Przepraszam.
- Może psychoterapeuty właśnie mi potrzeba.
- Mnie też - rzekła Grace i została nagrodzona bladym cieniem uśmiechu.
- Ale nie dziś wieczorem - powiedziała Claudia.

9

*7 czerwca*

W sobotę o trzeciej nad ranem, kiedy burza minęła, pozostawiwszy świecące punkciki gwiazd na nocnym niebie, Cal siedział zaszyty w swoim pokoju.

To wszystko, na co go było w tej chwili stać, te parę parszywych metrów kwadratowych w obskurnym hoteliku.

Nawet nie prawdziwy pokój, ale meta wynajmowana bez żadnych pytań w zamian za gotówkę i brak wymagań od faceta, który pracował w pensjonacie przy Jedenastej Ulicy. Tylko że ten „pokój”, ta nędzna dziura na tyłach odrapanego budynku przy brudnej bezimiennej uliczce za Collins, bez ciepłej wody i ze spłuczką klozetową, która



działała tylko raz na cztery próby, ze względu na warunki sanitarne nie nadawałaby się nawet na legowisko dla pieprzonego szczura i Cal jej nie cierpiał, ale nie mógł zanadto się czepiać dopóty, dopóki facet dotrzymywał słowa i zostawiał go w spokoju.

Na razie było dobrze, a Cal wiedział, że sukinsyn nie może się skarżyć, bo Cal lubił czystość, dbał o siebie, ciężko znosił brud i smród wokół siebie i mógłby się założyć, że ta syfiasta klitka w całej swojej żalosnej historii nigdy nie zbliżyła się do standardów higienicznych bardziej niż teraz.

Ale i tak jej nie cierpiał. Pragnął być na swojej łodzi, lecz nie mógł podjąć takiego ryzyka, przynajmniej na razie. „Dziecina”, jego jachcik baja, był stary i bezsprzecznie obskurny, ale silnik działał bez zarzutu. Zresztą Cala nie było stać na nic lepszego, a ta łajba przynajmniej należała do niego i czuł się super, napalony jak diabli, kiedy sunął na niej przez fale, uwielbiał także ją pucować - i aż go skręcało w środku, że nie może na nią wrócić w tej chwili i zetrzeć resztek śladów po tym, co wydarzyło się na pokładzie wczoraj nad ranem. Ale wody wokół Miami Beach nawet w najlepszych czasach były w nocy patrolowane ze względu na przemytników narkotyków i nielegalnych emigrantów, a teraz stanowczo czasy nie były najlepsze.

Wiedział, że dobrze zrobił, zaszywając się tutaj, w tej anonimowej dziurze, a za dzień lub dwa będzie mógł sprawdzić, jak tam „Dziecina”, może za pierwszym razem tylko z daleka, ale przynajmniej postara się wycząć, kiedy będzie można bezpiecznie wrócić. W zatoce albo na otwartym oceanie byłby za bardzo odsłonięty, a w małej marinie, gdzie zacumował, czułby się osaczony, gdyby po niego przyszli. Przynajmniej na lądzie mógł uciec, gdyby było trzeba - mógł wtopić się w tłum, stać się niewidzialny.

Niewidzialność była wbrew jego naturze, ale teraz akurat jej potrzebował. W tej konkretnej chwili najbardziej chciałby jednak być na zewnątrz i robić swoje. To, co robi najlepiej. Mianowicie

złović coś fajnego, a potem popieprzyć się z nim albo z nią, zanim odbierze zapłatę za wykonanie dobrej roboty. A wykonywał ją naprawdę dobrze i ci, którzy spróbowali, doskonale to wiedzieli, bo Cal nie był zwyczajną męską dziwką, Cal był prawdziwym chłoptasiem-kochasiem. Więc teraz marnował dobrą noc, bo nawet gdyby się nie pieprzył, mógłby się przynajmniej poprzehadzać swoim krokiem. Krokiem, dzięki któremu czuł się tak dobrze. Dzięki któremu go zauważali.

Nocny look wymagał sporo pracy, czasami przygotowania zajmowały mu godziny, ale czas i wysiłek były warte choćby tego, jak na niego patrzyli. Jego potencjalni klienci. Jego frajerzy.

Więcej niż zwyczajni frajerzy czasami. A potem, o Jezu, ten dreszczyk. Czy robili to jemu, czy na odwrót, ten szum w uszach, pieczenie i mrowienie, zupełnie się w tym wszystkim zatracił.

Wolał jednak, kiedy było na odwrót. Nie był żadnym zboczeńcem, wolał robić krzywdę tamtym. Zadawać ból.

Napisał kilka razy w swojej Epistole, że się nienawidzi, ale wiedział, że to tak naprawdę bujda, bo lubił kłamać podczas pisania, lubił zmieniać styl i głos i mieszać prawdę ze zręcznym zmyśleniem, tak że czasami, kiedy potem to czytał, sam nie do końca pamiętał, co jest prawdą, a co nie.

To całe poczucie winy było czymś, co wbijała mu do głowy Jewel, stanem, w który potrafił się wprawić, i sprawiało mu to niemal frajdę: chlał dżin i dołował się tak bardzo, że myślał, że jest na najlepszej drodze do wiecznego potępienia.

Cal zawsze lubił seks. We wszelkich postaciach. Wiele czasu zajęło mu odkrycie, że istnieje coś jeszcze lepszego.

Ale teraz już to wiedział.

Było za dwadzieścia czwarta, kiedy Sam dotarł do domu.

Zaraz po tym, jak Woody się z nim przywitał, poszedł na górę, żeby zobaczyć, co u Joshuy. Jediną zaletą tego, że Sam padał z nóg ze zmęczenia, było to, że nie musiał walczyć z pokusą, żeby wziąć synka na ręce, bo czuł się tak zmordowany, że bał się go upuścić.

Niezbyt wielu ojców, na ich szczęście, miało tak dojmującą świadomość fatalnych skutków przelotnej beztroski przy małych dzieciach.

Pierwszego syna, Sampsona Becketa, on i jego pierwsza żona, Althea, stracili, gdy dwulatek został zabity przez pijanego kierowcę w bezsensownym wypadku, który wydarzył się szesnaście lat temu, ale miał prześladować Sama do końca życia.

Spojrzał teraz na ten przepiękny nowy cud, darowany jemu i Grace, i ogarnęła go fala czystej miłości.

- Tatuś wrócił, synku - szepnął, schylając się i muskając dwoma palcami delikatne ciemne włosy na główce Joshuy. - Słodkich snów.

Odwrócił się i poszedł do pokoju obok, gdzie druga wielka miłość jego życia też spała. Zamknął pistolet i kaburę w szafeczce, powiesił marynarkę na oparciu fotela w kącie, resztę ubrania rzucił na siedzisko, przeszedł na bosaka do łazienki, żeby umyć zęby, i ledwie powstrzymał się od westchnienia ulgi, gdy wreszcie wgramolił się pod kołdrę.

Grace i tak się poruszyła i wyciągnęła ku niemu rękę, a Sam podźwignął głowę z poduszki, żeby żonę pocałować.

- Przepraszam - szepnął. - Wracaj do snu.

- Widziałeś się z Claudią? - spytała.

- Gracie, jest prawie czwarta w nocy.

- Próbowałam nakłonić ją do zwierzeń.

- i nic? - rzekł z wysiłkiem, ale już zapadał w sen.

- Na razie nic - przyznała. - Jakieś postępy w nowym dochodzeniu?

- Jeśli tak, to niewidoczne - odparł.
- No to śpij - powiedziała. Zasnął jeszcze przed nią.

11

Cał nie mógł zasnąć.

Nie mógł przeboleć, że nie ma go tam, na ulicy, że nie wyglupia się, jakby grał jedną z ról w nocnym przedstawieniu dziwadeł. Nie przeszkadzało mu, że inni biorą go za jednego z dziwolągów - chyba że był to ktoś taki jak bezdomna starucha, którą widział na promenadzie parę dni temu.

Czuł, jak lustrowała go wścibskimi starczymi oczami, czym grała mu na nerwach, bo była nikim, tylko starą bezdomną pijaczką, i nie miała prawa się na niego gapić i go osądzać. Ale tak się właśnie zachowywali ludzie na samym dnie: patrzyli na innych, jakby mieli się za lepszych, jakby dostali specjalną dispensę, specjalne prawa...

Starucha prawdopodobnie znów tam teraz była, wolna jak śmierzący, parszywy ptak, podczas gdy Cał tkwił zamknięty w tym cholernym przypominającym celę pokoiku.

Ale to i tak o niebo lepsze od prawdziwej więziennej celi.

Mało jest rzeczy równie złych jak ciupa albo nawet poprawczak.

Więzienie dało mu wytchnienie od Jewel, ale na tym dobrodziejstwa się kończyły. Cała ta nikczemność, która czaiła się za rogami, podpełzała do niego w nocy, wyciągała się i drgała niby wężowe języki za kratami innych cel, i czasami ta świadomość podniecała Cała, ale najczęściej siedzenie w mamrze z bandziorami, gwałcicielami dzieci i *tamtymi* przejmowało go strachem.

W więzieniu kazał sobie zrobić tatuaż. Napisał o nim później w Epistole.

Okazało się, że to jedna z rzeczy, która uczyniła ze mnie ich cel. Tamtych. Tych, których Jewel nauczyła mnie nienawidzić. Porąbana ironia tatuazu polega na tym, że wybuliłem kasę i dałem go sobie wydziergać tylko dlatego, że myślałem, że spodoba jej się taki prezent. Biały krzyż w czerwonym kółku z kroplą krwi pośrodku, cud-miód, tuż nad moim sercem. Ale Jewel strasznie się wkurzyła, kiedy go jej pokazałem, i powiedziała, że ten symbol na mojej białej skórze znaczy nie tylko, że jestem rasistą, ale też dupą wołową, bo teraz pcham im się na celownik.

- Równie dobrze mógłbyś trzymać dla nich zaproszenie nad tym durnym łbem - powiedziała. - Poprosić smoluchów, żeby przyszli i przetrzepali ci tę pustą makówkę.

Jewel ma czasem bardzo cięty język, umie sprawić, że człowiek poczuje się naprawdę super.

Pewnego dnia, przypuszczam, któryś z nich może zrobić mi to, co powiedziała.

Trudno się domyślić, jak bardzo się przejmę.

Może nawet powitam to z radością.

W końcu moje życie nie jest takie znowu super, co nie?

Od tego, co zrobił trochę ponad dwadzieścia cztery godziny temu, wciąż szumiała mu krew.

Gdyby podzielił się tym wrażeniem z kimkolwiek, prawdopodobnie zostałby uznany za jakiegoś nałogowca, co nie było prawdą.

Chociaż zrobił to już raz wcześniej.

Wywołał śmierć.

Wtedy nie miał takiego zamiaru, bynajmniej. Ale poderwała go jedna kobieta w Wilmingtonie w Karolinie Północnej - niedaleko od miejsca, gdzie kupił „Dziecinę”, skoro już o tym mowa, i swoją drugą towarzyszkę, „Daisy”, słodki rower tandem i absolutnie najlepszą maszynę na podryw - no i pieprzyli się, a kobieta tak się podnieciła, że serce jej, kurna, stanęło. I to go

z lekka wytrąciło z równowagi, bo jasne, że była starsza, ale przecież była kobietą, a gdyby się pieprzył z jakimś starym facetem, wiedziałby, że istnieje takie ryzyko, ale to akurat stanowiło szkopuł, z którym się w ogóle nie liczył.

To się stało w jej miejskim domu i na szczęście dla niego przed seksem nie doszło do wymiany żadnych uprzejmości. Nie zaproponowała mu nawet drinka, tylko przez eleganckie frontowe drzwi zaprowadziła go prosto do szycownej sypialni, więc Cal dotknął - oprócz niej samej - tylko kołdry, prześcieradła i poduszek. A kiedy to się już stało, poszedł do kuchni, znalazł parę gumowych rękawiczek i zmienił pościel - „Pratesi” przeczytał na metce i zapamiętał nazwę, bo pościel była przyjemna w dotyku i musiała kosztować furę zielonych, bez dwóch zdań, chociaż Bóg jeden wie, że ostatecznie właścicielce to nie pomogło, prawda? Uważał jak diabli, kiedy usuwał prezerwatywę, a potem wytarł dokładnie ciało wilgotnym ręcznikiem i nadal czuł wdzięczność, jeszcze długo później, że nie chciała go całować i odmówiła wszelkiego seksu oralnego.

Zapłaciła mu hojnie na wstępie, więc nie musiał ryzykować i wyciągać gotówki z jej portmonetki Louisa Vuittona - mógłby ją, oczywiście, okraść, ale nie był żadnym pospolitym złodziejem i jedyną rzeczą, jaką zabrał z tamtego domu, był słoiczek tabletek restezee, który znalazł w głębi szafeczki w łazience, bo miał problemy ze snem, a kobitka nie potrzebowała już teraz żadnych proszków, to na pewno.

Dopiero kiedy opuścił Wilmington, zaczął się denerwować, że na pewno zostawił jakieś mikroskopijne ślady, bo wtedy to uświadomił sobie, że gliniarze prawdopodobnie mają w archiwach jego DNA, więc chociaż kobieta zmarła nie z jego winy, jeszcze długo panicznie się bał. Ale nikt nie szukał go ani na „Dziecinie”, ani w żadnym miejscu, gdzie cumował, więc po jakimś czasie przestał się martwić i uznał, że może miała męża, który nie chciał, żeby inni wiedzieli, że żona wyrywała na ulicy żigolaków.

Poza tym Cal uznał, że przynajmniej dzięki niemu umarła szczęśliwa.

Ale to przeżycie go odmieniło.

Cal doszedł do przekonania, że ludzie, którzy nigdy faktycznie nie przeżydowali przy śmierci innej ludzkiej istoty, nie są w stanie pojąć, jakie to uczucie. A tak właśnie się wtedy czuł -jakby przewodniczył temu całemu zdarzeniu - bo chociaż to była wina jej ciała, a nie jego, to przecież był w niej akurat, kiedy to się stało, więc w pewnym sensie za to odpowiadał, co ostatecznie wywarło na nim cholernie duże wrażenie.

Ale nie tak duże, jak to, co się wydarzyło w piątek nad ranem.

Serce tamtego nie stanęło, dopóki sznur nie odciął mu tchu. Ale kiedy to się już stało, Cala ogarnęło zupełnie inne uczucie. Wściekłość, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczył, zwrócona częściowo przeciw martwemu mężczyźnie za to, że był tym, kim był - jednym z *tamtých* - a częściowo przeciw samemu Calowi za to, że w ogóle go pragnął, że pozwolił sobie na kontakt cielesny z taką osobą, na cielesną *rozkosz*, do kurwy nędzy.

Głównie jednak - Cal nie miał wątpliwości - złościł się na Jewel, która tak dobrze wyuczyła go rasizmu, nienawiści i wściekłości. Była to wszeteczna wściekłość, przypuszczał, a wydawało mu się, że zapamiętał słowo „wszeteczny” z Biblii, i spodobało mu się na tyle, że użył go raz w Epistole.

Nie zaplanował tego jednak, ani zabójstwa, ani destrukcji, która nastąpiła później, ale wtedy zdawało mu się, że nie ma wyboru, że po prostu musi to zrobić.

A później, po ataku wściekłości, kiedy zaczął znów myśleć racjonalnie, był zaskoczony, jak rozsądnie i planowo działał w tym szale.

Ale teraz gliniarze krążyli po okolicy i go szukali - a przynajmniej szukali kogoś, szukali nieznanego zabójcy - on zaś siedział zaszyty w tej dziurze i wiedział, że będzie musiał być cholernie ostrożny przez jakiś czas, że zadekuje się tu na tak długo, jak będzie w stanie wytrzymać, zanim zaryzykuje wyjście na miasto.

Zanim stanie się znowu chłoptasiem-kochasiem.

Kiedy Sam zszedł rano do kuchni, zastał tam szwa-gierkę.

Dwie i pół godziny snu przed powrotem do pracy w weekendowy poranek - a i tę krótką drzemkę zakłócił koło czwartej trzydzieści płacz Joshuy, choć Sam tylko przez mgłę pamiętał, jak Grace natychmiast się obudziła i powiedziała, że się tym zajmie. Teraz jego żona i synek wciąż spali - i dobrze - a Sam wziął prysznic, ogolił się i czuł przynajmniej w połowie jak człowiek, choć podobnie jak większości kolegów zdarzało mu się iść do roboty po jeszcze krótszym odpoczynku.

- Ależ stanowisz widok dla zmęczonych oczu - powiedział, gdy wszedł do kuchni i zobaczył Claudię w czarnym atlasowym szlafroku, która stała, czekając, aż zagotuje się woda w czajniku.

- Ty też - odparła.

Objęli się ciepło. Ich serdeczność była prawdziwa, chociaż w ciągu siedmiu lat znajomości rzadko udawało im się spędzić wspólnie więcej niż parę dni. Ale Claudia była ukochaną siostrą Grace i tylko to się dla Sama liczyło, a odsuwając się teraz, przyjrzał się szwagierce dokładniej i zrozumiał, co miała wczoraj na myśli żona.

Claudia wyglądała na przemęczoną i chętnie zostałaby w domu, dowiedział się, co u niej słyhać, spędził trochę czasu z rodziną, ale trzeba było schwytać brutalnego mordercę i uporać się z górą zaległej papierkowej roboty. Sam obudził się zaniepokojony o Mildred Bleeker, mimo że dał jednemu ze znajomych policjantów z nocnego patrolu telefon komórkowy z przykazaniem, żeby go jej przekazał. Razem z Martinezem uznali, że wydadzą też instrukcję, żeby funkcjonariusze uważali na jej srebrnego nieznajomego, a chociaż prawdopodobnie facet nie miał z zabójstwem nic wspólnego, Sama i tak trapiło, że mógł zauważyć, że Mildred go obserwowała.



- Herbaty? - zaproponowała Claudia, świadoma jego wstrętu do kawy.  
- Nie, dzięki. - Sam otworzył lodówkę, wyjął dzbanek soku ze świeżych pomarańczy, nalał sobie szklankę i podszedł do wieszaka, żeby zdjąć z haczyka smycz Woody'ego, czym wywołał istny festiwal radosnego machania ogonem i niecierpliwego poszczekiwania, rozbrzmiewającego na całym parterze.

- Wiem, że późno wróciłeś - powiedziała Claudia, zalewając wrzątkiem torebkę herbaty. - Mogę wyprowadzić Woody'ego na spacer, jeśli chcesz.

- Jeszcze jak. - Sam powiesił smycz z powrotem, a pies zmarkotniał. - Jesteś pewna?

- Chętnie się przespaceruję.

Wychylił duszkiem sok, przepłukał szklankę i pocałował szwagierkę w czoło.

- Dziś wieczorem - powiedział - będziemy mieli więcej czasu. Obiecuję.

- Nie składaj obietnic, których nie możesz dotrzymać - upomniała go.

- Mogę obiecać, że spróbuję - odrzekł.

Okoliczne przedmieścia były bogate i wygodne. Urocze domy, bujne palmy, gęste trawniki, kolorowe kwiaty i krzewy, zadbane chodniki.

Droga, na której ludzie mogli się czuć bezpiecznie.

A mimo to Claudia, piętnaście minut później przebrana w džinsy, T-shirt i adidas, żeby wyjść z Woodym na spacer, wcale nie czuła się bezpiecznie.

Miała to uczucie już wcześniej.

Jakby ktoś ją obserwował.

Nie tutaj, oczywiście, tylko na wyspie Bainsbridge, całkiem niedawno, i na stałym lądzie też, jeden raz, w Seattle.

Tam aż nazbyt dobrze zdawała sobie sprawę, że uczucie jest uzasadnione, ale tutaj nikt jej nie obserwował, z tego też zdawała sobie doskonale sprawę, no, chyba że ktoś z sąsiadów

wyjrzał przez okno na nieznaną kobietę z psem. Ale było to na tyle niepokojące, że przypomniało jej, dlaczego porzuciła męża i synów, żeby tu przyjechać.

Wiedziała, że wkrótce będzie musiała powiedzieć o tym Grace, nie dlatego, że siostra nie da jej spokoju pytaniami, ale dlatego, że kocha Claudię, a zarazem jest psychologiem przyzwyczajonym do penetrowania wrażliwych obszarów, aż natrafi na złoża emocji.

- Dobra, Woody - zwróciła się do psa. - Pora, żebym się zmierzyła z sytuacją.

Woody zajrzał za palmę, a potem znieruchomiał i zawarczał.

- Co? - zapytała i ciarki przeszły jej po plecach.

I wtedy zobaczyła rudego kocura, który siedział na ścieżce domu tuż przed nimi i wpatrywał się w Woody'ego.

- Idiotka - powiedziała do siebie i ruszyła dalej.

13

Na razie żadnych świadców ani tropów.

Ani jednej wskazówki, gdzie niezidentyfikowany mężczyzna został zabity.

Żadnego zgłoszenia w wydziale osób zaginionych, które pasowałyby do jego rysopisu.

I żadnego cudownego odkrycia w laboratorium lekarza sądowego.

Sam otrzymał za to niedawno esemesa od Mildred. DROGI SAMUELU, DZIĘKUJĘ ZA TELEFON. PROSZĘ, NIE MARTW SIĘ O MNIE. TWOJA MILDRED.

- Esemesuje lepiej ode mnie - rzekł z uznaniem, pokazując wiadomość Martinezowi.

- Może ktoś jej pomagał.

- Nie byłbym taki pewien - odparł Sam. - Mildred to zagadka.

- Ale to jeszcze nie znaczy, że jej srebrny koleś jest naszym sprawcą - przypomniał Martinez.
- Ale znaczy, że chciałbym, żebyśmy ucieli sobie z nim pogawędkę - rzekł Sam.
- Ja też - przytaknął jego partner.

14

- Miałam romans - powiedziała Claudia do Grace, a potem szybko, gorączkowo dodała: - Proszę, nie znienawidź mnie za to. Grace popatrzyła na nią.
- Nigdy nie mogłabym cię znienawidzić. Przecież wiesz.
- Wiem - przyznała Claudia. - Ale mimo wszystko. Dochodziła jedenasta i siedzieli w „norze”, pokoju, który Grace często wykorzystywała w przeszłości - i miała nadzieję, w przyszłości - do przyjmowania swoich młodych pacjentów. Ściany były pokryte ich własnymi kolorowymi obrazkami, chociaż na razie i tutaj znalazł się stos zabawek i kojec - gdzie Joshua, ubrany w wygodne białe-niebieskie śpioszki, wypoczywał właśnie po satysfakcjonującej grze w „znajdź grzechotkę” z ciotką Claudią.
- Opowiesz mi o tym? - spytała Grace. Była dość mocno zaskoczona i zła na siebie, że to czuje, bo jako psycholog nie powinna. Tylko że, oczywiście, chodziło nie o pacjentkę, tylko o siostrę, więc przypuszczała, że ma prawo czuć się wstrząśnięta, bo Claudia powinna była pomyśleć o swoich synach, a o ile Grace wiedziała, z ewentualnym wyjątkiem wywierania na żonę nadmiernej presji przy przeprowadzce do Seattle, Daniel zawsze był porządnym człowiekiem, dobrym mężem i ojcem.
- „Ludzie się zmieniają” - przypomniała sobie.
- Jest już po wszystkim - odparła Claudia. - To się skończyło, prawie zanim się zaczęło.

Historia, tak jak ją opowiedziała, brzmiała szalenie prosto. Claudia czuła się bardzo zdołowana, aż tak, że siedziała w parku na wyspie i płakała, kiedy ten mężczyzna przystanął i zapytał, czy potrzebuje pomocy. Był miły i przystojny.

- Więc nawiązałaś z nim romans? - Grace nie była w stanie ukryć zdumienia. - Dlatego że poderwał cię w parku?

- Chcesz, żebym ci o tym opowiedziała, czy nie? - spytała cicho Claudia. - Bo jest mi bardzo trudno i wątpię, żeby twoja dezaprobata równała się mojej.

- Wcale cię nie potępiam - zapewniła Grace nie do końca zgodnie z prawdą. - Jestem raczej zaskoczona. I oczywiście chcę, żebyś mi opowiedziała.

- Właściwie nie ma o czym opowiadać - podjęła Claudia. - To był bardzo krótki, ale zarazem bardzo słodki romans. I pod pewnymi względami dobrze mi zrobił.

- Okej - powiedziała Grace, czekając na dalszą część opowieści.

- Czułam w sobie taki chłód - powiedziała Claudia - jakby już nic nigdy nie było w stanie mnie ogrzać, a potem nagle pojawił się on i między nami zaiskrzyło... Wiem, że to brzmi strasznie banalnie, ale...

- I co dalej? - zapytała po chwili Grace.

- Od razu wiedziałam... i mu to powiedziałam, że to nigdy nie będzie nic więcej, tylko te chwile, nic innego. - Claudia pokręciła głową. - Ale naprawdę, siostrzyczko, dzięki niemu chłód mijał na jakiś czas, a chociaż on w pewnym sensie mnie wykorzystywał, moja wina była znacznie większa. On to też wiedział, ale nie robił z tego problemu, był dla mnie bardzo miły i wyrozumiały.

- Powiesz mi, jak miał na imię? - Pierwszy szok ustąpił i Grace była teraz dziwnie zaintrygowana.

- Kevin - powiedziała Claudia. - Jest z Australii. - Popatrzyła w błękitne oczy siostry, ale nie mogła wytrzymać jej spojrzenia i po chwili odwróciła wzrok. - Miałabyś coś przeciwko, gdybym nie mówiła ci o nim nic więcej?

Grace miała coś przeciwko, bo zdawało się to podkreślać, jak bardzo oddaliły się od siebie w ostatnim czasie.

- Sama decydujesz, jak dużo chcesz mi powiedzieć. Drzwi rozchyliły się i do pokoju wszedł Woody, po czym

z cichym sapnięciem zadowolenia położył się na dywanie obok kojca.

- Przede wszystkim chciałabym zrzucić z serca ciężar winy - wyznała Claudia.

- Ja zaś - rzekła Grace - wolałabym, żebyś opowiedziała, dlaczego w ogóle czułaś w sobie ten chłód.

- Przez samotność - odrzekła Claudia. - Taka ze mnie głupia gęś, że mimo dobrego męża i dwójki wspaniałych dzieci nadal czułam się samotna.

Odizolowana, wiesz?

- Jasne - zapewniła Grace. - A przynajmniej mogę sobie wyobrazić.

I po raz tysięczny wyraźnie uświadomiła sobie, jak wielkie sama ma szczęście.

15

Cał wy dostał się na zewnątrz z ulgą, mimo że był dzień, nie jego pora, ale jak mówi przysłowie, żebracy nie mają wyboru - co nie do końca wydawało mu się prawdą, bo wyglądało na to, że żebracy i bezdomni mają na tej wspaniałej ziemi niemal nieograniczoną wolność, czyli na pewno więcej niż on w tej chwili.

Już samo wyjście na dwór było dość ryzykowne, ale potrzebował czegoś do jedzenia, więc kupił „Heralda” i bajgla z serem topionym, pół litra Seagram's, czterolitrowy baniak wody i tylko pół litra mleka ze względu na upał, a do tego jeszcze trochę jabłek, dwa batoniki Hersheya, dużą torbę cheetos i worki na śmieci. Było cholernie gorąco i nie podobało mu się, że musi wyjść na zewnątrz akurat o tej porze, bo nadmiar słońca często przyprawiał go o zawroty głowy.

Mimo to postanowił wybrać się na krótki spacer wzdłuż plaży, skoro już wyrwał się ze swojej nory, i wcale nie było tak

źle, gdy dreptał sobie po piasku niby jakiś zabłąkany turysta, z tenisówkami dyndającymi z jednej dłoni, a zakupami w drugiej, ale teraz właśnie mijał kawałek plaży, gdzie - jak dowiedział się z serwisu informacyjnego Channel 7 - pływak wyciągnął na brzeg łódkę. Cal miał cholerną nadzieję, że gliniarze nadal nie zbliżyli się do odkrycia rzeczywistego miejsca zbrodni.

Naokoło roilo się od ludzi, łódka, oczywiście, dawno zniknęła razem z taśmą policyjną i glinami. I Cal przypuszczał, że powinien czuć ulgę, iż z taką podziwu godną szybkością usunięto wszelkie ślady ludzkiej tragedii, a mimo to poczuł się zawiedziony, jakby został oszukany.

Spodziewał się czegoś... więcej.

Nikt też nawet na niego nie zerknął, co właściwie go nie zdziwiło, bo przecież wyglądał dzisiaj jak normalny facet, idący po plaży: bez makijażu, bez połysku, a poza tym to nie była jego pora, a ci ludzie należeli do innego gatunku, nie stanowili dla niego ani partnerów, ani potencjalnych ofiar.

Zauważył parę mundurowych na horyzoncie.

Gliny.

Pora wracać do nory.

16

- Jak dużo Dan o tym wie? - zapytała Grace.

- Nic - powiedziała Claudia.

- Okej. - Grace kręciło się w głowie, z całych sił starała się uspokoić i przede wszystkim powstrzymać od ferowania wyroków. - Ale tu przyjechałaś.

- Bo jestem tchórzem.

- Nie, nie jesteś - zaprotestowała Grace. - A w każdym razie nigdy nie byłaś.

- To jeszcze nie wszystko. Jest gorzej. Grace czekała.

- Jestem szantażowana.

- Mój Boże. - Teraz Grace naprawdę się przeraziła.

Joshua wciąż leżał w kojcu, zajęty teraz piłeczką. Jeśli nie liczyć tych kilku zakłóconych nocy, był dobrym, niegrymaśnym chłopczykiem, za którego Grace była nieskończenie i namiętnie wdzięczna losowi. Tak samo jak za Sama.

I do tej pory wierzyła, że Claudia jest równie wdzięczna za Daniela i chłopców.

- Ktoś zobaczył nas w parku - ciągnęła siostra - i zrobił zdjęcia. Jak całuję się z Kevinem.

- Kto? - Grace nie posiadała się ze zdumienia, bo takie rzeczy zdarzały się tylko osobom publicznym albo gwiazdom kina, a nie żonom z przedmieść. I kto zrobiłby coś takiego Claudii... albo Danielowi, skoro już o tym mowa?

- Jest jeszcze gorzej - powiedziała Claudia - w każdym razie z pewnego punktu widzenia.

Grace czekała.

- Szantażystą był Jerome Cooper.

Grace wpatrywała się w nią skonfundowana.

- Syn Roxanne?

Claudia przytaknęła i zarumieniła się jeszcze bardziej.

- Nasz przyszywany brat.

Grace poczuła nagle, jakby jej procesy myślowe utknęły w wewnętrznej kotłowni, jak gdyby umysłowi dostarczono o jeden dziwaczny składnik za dużo. Nigdy nie myślała o Jeromie Cooperze jako o bracie - właściwie w ogóle o nim nie myślała.

Jerome Cooper. Syn Roxanne Cooper, która wyszła za ich ojca w 2000 roku, dwa lata po śmierci ich matki.

Ona i Claudia z ulgą przyjęły wtedy brak zaproszenia

i dowiedziały się o ślubie tylko dlatego, że ktoś (nigdy nie odkryły kto i nic ich to nie obchodziło) anonimowo wysłał im obu kserówki notatki w „Melrose Park Journal” i zdjęcia ślubnego, które ukazywało kobietę w średnim wieku wbitą w obcisły biały kostium - jedynym podobieństwem do ich zmarłej matki były blond włosy, choć jak sądziła niepochlebnie Grace, te były farbowane - która stała między nowym mężem, Frankiem Luccą, a uśmiechniętym chłopcem w wieku

około szesnastu lat. Później było jeszcze jedno wspólne Boże Narodzenie i pocztówka z wiadomością o zmianie adresu -państwo Lucca wciąż mieszkali w Melrose Park, przy ulicy, która, o ile Grace pamiętała, znajdowała się niecałe półtora kilometra od ich dawnego domu - podpisana „Roxy, Frank i Jerome”, na którą Claudia odpowiedziała, ale Grace nie. Potem kontakty się urwały.

Minęło ponad siedem lat, odkąd ostatni raz widziały Franka.

Grace zresztą wcale tego nie żałowała.

- Jakim sposobem - zapytała teraz - Jerome dowiedział się o tobie i tym mężczyźnie?

O ile się orientowała, pasierb Franka Lukki wciąż mieszkał w okolicach Chicago, ponad pięć tysięcy kilometrów od Seattle.

- Musiał mnie śledzić. - Claudia umilkła na moment. - Był na Bainsbridge już wcześniej.

-Tak?

- Ni stąd, ni zowąd zjawił się przed naszymi drzwiami ostatniej jesieni w poszukiwaniu jałmużny. - Claudia potrząsnęła głową, przypominając to sobie. - Powiedział: „Jestem Jeny. Syn Roxy”. Ma taki paskudny nieszczerzy uśmiech.

- Nigdy mi o tym nie wspomniałaś. - Grace osłupiała.

- To było tuż po tym, jak wróciłam z wizyty u was. - Claudia przyleciała do Miami po narodzinach Joshuy i została na pewien czas, żeby pomóc w domu. - Wszyscy tyle wtedy przeżyliście, nie chciałam cię obciążać jeszcze tym.

- A później? - zapytała Grace. - Dlaczego nie powiedziałaś mi później? Zajrzała do kojca i poczuła wielką ochotę, żeby wziąć synka na ręce, ale Joshua był i tak zadowolony, a na razie to siostra potrzebowała jej pełnej uwagi, więc Grace nie ruszyła się z sofy.

- Bo wiedziałam, że się wkurzysz - odparła Claudia. -I chyba sama chciałam o tym zapomnieć. Dan widział, jak się zdenerwowałam, i powiedział, że jeżeli chłopak znalazł



się w tarapatach, możemy mu dać pięćset dolarów, skoro formalnie rzecz biorąc, należy do rodziny, ale poprosił Jerome'a o podpisanie pokwitowania, a on nie protestował, tylko powiedział, że jest wdzięczny i nigdy nie poprosi o nic więcej.

- Dlaczego potrzebował pieniędzy? - spytała Grace.

- Twierdził, że jego mama i Frank przechodzą trudny okres. - Claudia zawiesiła głos. - Powiedział, że uznał, że jesteście mu to winne. Ty i ja.

- Jak to „uznał”? - zapytała ostro Grace.

- Daniel i ja odnieśliśmy wrażenie, że miało to wynikać z tego, że gdybyśmy były lepszymi córkami i gdybyśmy nie uciekły, tata nie byłby zmuszony do zamknięcia sklepu i sprzedaży starego domu, kiedy ożenił się z Roxanne, no i potem byłoby im źlej.

- A my mogłyśmy zostać w domu i kroić salami. - W głosie Grace wciąż pobrzmiwała gorycz. Do tej pory nie wiedziała i nie dbała o to, czy państwo Lucca przeprowadzili się do lepszego czy gorszego domu. - Mogłyśmy uczynić życie ojca łżejszym, ponieważ tak wiele mu zawdzięczamy!

17

Sam i Martinez siedzieli w biurze i przeglądali wszystkie zgłoszenia z całego obszaru Miami-Dade, które mogłyby być związane z zabójstwem - w przedziale czasowym, ustalonym teraz przez Elliota Sandersa na między północą a czwartą nad ranem w piątek.

Było sporo telefonów ze skargami na zakłócenie spokoju, ale tylko dwie warte bliższego zbadania: oba zgłoszenia mówiły o straszliwych krzykach, w obu przypadkach zgłaszający uważali, że krzyczy mężczyzna. Jedno zgłoszenie przyszło z okolic Hallandale, a drugie z Coconut Grove.

- Jeśli zabójca odcumował łódkę w pobliżu miejsca przestępstwa... - Sam sprawdzał statystyczny rozkład prądów,

wiatrów i pływów - to fakt, że trafiła na South Beach, wskazywałby raczej na Grove.

- Mógł zabić faceta w Hallandale - powiedział Martinez - a potem znalazł łódkę dalej na południu.

- Sporo jeżdżenia ze zwłokami w samochodzie - zauważył Sam.

- Albo żeglowania - dodał Martinez. Na razie były to tylko domysły.

Ale pojechali najpierw do Grove. Gdzie niczego nie znaleźli. W Hallandale podobnie.

18

- Przyszedł do domu w ostatni poniedziałek rano, kiedy Dana nie było, pokazał moje zdjęcie z Kevinem i powiedział, że chce dziesięć tysięcy dolarów. Odparłam, że to nie ja jestem na tym zdjęciu i żeby się wynosił.

- Claudia sięgnęła do torebki, wyciągnęła białą kopertę i wyjęła fotografię. - Ale nawet jeśli to nie najlepsza fotka, to oczywiście ja.

Trzęsącą się ręką podała zdjęcie siostrze. - Na pewno chcesz, żebym to zobaczyła? - spytała Grace.

- Oczywiście, że nie chcę - odparła Claudia. - Wolałabym, żeby to wszystko w ogóle się nie wydarzyło, ale jestem tutaj, ponieważ potrzebuję twojej pomocy, więc chyba lepiej, żebyś wiedziała, jak głupia potrafi być twoja siostra.

Grace wzięła fotografię, zobaczyła parę w czułych objęciach, pomyślała o Danielu, wysokim, kanciastym mężczyźnie

o łagodnych, zielonych, krótkowidzących oczach, który garbił się trochę z powodu lat pochylania się nad deską kreślarską

i planami, ale pozostał atrakcyjny i - jak Grace sądziła - zawsze był dobrym człowiekiem, a potem z wysiłkiem odepchnęła ten obraz.

- Chyba - powiedziała - mogłaś się nie przyznać, że to ty.

- Może i tak - odparta Claudia. - Gdyby to było jedyne zdjęcie.
- Mów dalej - zachęciła Grace, obawiając się, czego się jeszcze dowie.
- Jerome powiedział, że ma mnóstwo innych zdjęć i każdy głupi zorientowałby się, że to ja, i gdyby był na moim miejscu, zastanowiłby się nad tym naprawdę poważnie, bo zdaje mu się, że mam bardzo dużo do stracenia, ale ponieważ jesteśmy „rodziną”, da mi jeszcze czas do namysłu, przy czym zagroził, że jeśli nie dam mu pieniędzy, to naprawdę gorzko pożałuję.
- I co się stało potem?
- Jerome sobie poszedł - powiedziała Claudia. - A ja przez ostatnich pięć dni odchodziłam od zmysłów, czekając, aż wróci, i raz byłam prawie gotowa powiedzieć o wszystkim Danowi i błagać go o wybaczenie, a kiedy indziej wmawiałam sobie, że to by było egoistyczne, bo może sama poczułabym się lepiej, ale on?... I oczywiście wiem, że to głupie, jednak...
- Jerome już się później nie odezwał? - spytała Grace.
- To jeszcze jedno, co sobie wmawiałam: że Jerome zmienił zdanie, zorientował się, że nie zarobi tak łatwo, jak się spodziewał, że może powiem Danowi, a nawet zadzwonię na policję.
- To dlaczego wyjechałaś? - zapytała Grace. - Jak mogłaś tak zaryzykować, skoro Jerome może się zjawić lada chwila?
- Nie potrafiłam się z tym zmierzyć - wyznała Claudia. - Nie umiałam spojrzeć Danowi w twarz. - Jej brązowe oczy zaszklily się nagle od łez. - Nie mogłam znieść, że ciągle go okłamuję.
- To jak wytłumaczyłaś mu swój wyjazd?
- Powiedziałam, że nadal nie możesz wyjść z dołka po porodzie i chciałabym cię zobaczyć, pomóc ci przez jakiś czas.
- Po raz pierwszy Grace poczuła prawdziwą złość na siostrę.
- Depresja już mi przeszła, Claudie, sama doskonale o tym wiesz i przypuszczam, że wspomniałaś o tym przedtem Danie-

lowi. Właściwie przygotowuję się do tego, żeby zacząć znowu przyjmować pacjentów.

- Musiałam mu coś powiedzieć - odparła Claudia. - Przepraszam.

Grace zobaczyła rozpacz w jej oczach i nie mogła się dłużej złościć.

- Nadal nie rozumiem, jak możesz ryzykować, że Jerome zjawi się, kiedy ciebie tam nie będzie. Nie kapuję, siostrzyczko.

- Ja też - rzekła Claudia zgnębiona. - Ale z drugiej strony, nie rozumiem tak naprawdę, co się stało wcześniej, z Kevinem.

- To chyba nie do końca prawda - rzekła z powątpiewaniem Grace. - Powiedziałaś, że byłaś zdołowana, że czułaś wewnętrzny chłód, że...

- Proszę cię - powiedziała prędko Claudia - tylko bez szyderstwa. Wątpię, żebym mogła sobie z nim poradzić.

- A jak, twoim zdaniem, poradzi sobie Daniel - zapytała Grace - jeśli zobaczy zdjęcia? Kiedy uświadomi sobie, że okłamałaś go, gdy wyjeżdżałaś, że tak naprawdę uciekłaś, zwiłaś.

- Mówisz to tak, jakbym chciała go zranić.

- Nie o to mi chodziło - zaprotestowała Grace. - Wiem, że nie chcesz nikogo skrzywdzić, a już na pewno nie kogoś, kogo kochasz tak bardzo jak Daniela. - Umilkła na moment. - To znaczy przy założeniu, że wciąż go kochasz.

- Och Boże, tak - zapewniła Claudia. - Dlatego wyjechałam, nie rozumiesz? Gdybym została, nie miałabym wyboru: musiałabym mu powiedzieć całą prawdę, a nie mogłam znieść myśli o tym, jaką miałby mnie, kiedy bym mu powiedziała... i jasne, wiem, że nie będzie wcale lepiej, jeśli usłyszy o tym od tego oślizgłego padalca, będzie wręcz gorzej, ale przynajmniej mnie przy tym nie będzie. - Wzruszyła ramionami. - Mówiłam ci, że jestem tchórzem. Teraz już wiesz.

Joshua zaczął ni stąd, ni zowąd płakać i Grace szybko wstała, żeby wziąć go z kojca. Woody zamachał ogonem, kiedy

się zbliżyła, a potem znów ułożył się na dywanie, z rezygnacją przyjmując jej lekceważenie.

- Chyba miałam nadzieję - ciągnęła Claudia - że Jerome me zgłosi się do Daniela, bo w końcu po co? Gdy tylko Dan dowie się prawdy, znikną wszelkie widoki na zapłatę.

Dziecko już przestało płakać, ale Grace, wdzięczna za pokrzepiające ciepło jego ciała w swoich ramionach, zaczęła przechadzać się z nim po pokoiku w tę i z powrotem.

- To co teraz? - Zatrzymała się i spojrzała na siostrę.

- Nie wiem - powiedziała Claudia.

- Myślisz - zapytała z wahaniem Grace, czując odrazę na samą myśl - że powinnam zadzwonić do Franka?

- Boże, nie - odparła Claudia. - Po co?

- Zeby interweniował? - podsunęła Grace.

- Jest na pewno ostatnią osobą na świecie, z którą chciałybyśmy rozmawiać - oświadczyła Claudia. - i nie sądzę, żeby w ogóle zechciał nam pomóc.

- Pewnie nie - przyznała Grace. - A Roxanne? Może gdyby wiedziała, co jej synalek wyrabia...

- Musiałybyśmy jej opowiedzieć, co zrobiłam - odparła Claudia przerażona.

- Może już wie - rzekła Grace, a potem pokręciła głową. - Zgoda, to nie był najlepszy pomysł. - Umilkła. - Sprawdźmy co o tym myśli Sam.

- Musimy mówić Samowi?

- Tak - powiedziała Grace. - Przecież dlatego do nas przyjechałaś. - Zobaczyła nowy przyływ rozpacz na twarzy siostry. - To znaczy, wiem, że to twoja osobista sprawa, ale teraz zwierzyłaś mi się... a ja ostatnimi czasy niczego przed Samem nie ukrywam.

- No dobrze - zgodziła się Claudia.

- Powiedziałaś, że potrzebujesz mojej pomocy, siostrzyczko. - Grace usiadła znów na sofie, położyła sobie Joshuę na kolanach, dała mu grzechotkę. - Tylko nie jestem pewna, jak właściwie mogę pomóc, oprócz tego, że jestem przy tobie.

- Też nie wiem. - Claudia zawiesiła głos. - Może po prostu potrzebuję pomocy, żeby zrozumieć, dlaczego to się wydarzyło. Dlaczego zachowuję się tak destrukcyjnie, dlaczego w ogóle spojrzałam na Kevina. Joshua znowu był zadowolony, ssał swoją grzechotkę, wtulając się w matkę.

Z Grace spłynęły ostatnie ślady wzburzenia.

- Naprawdę byłaś tak strasznie nieszczęśliwa? - spytała.

- Tak - powiedziała Claudia. - Byłam.

19

*8 czerwca*

Eksplozja wyrzuciła łódkę wysoko w atramentowe niebo, w tysiącu lub więcej płonących kawałków, które po chwili zaczęły opadać niczym rozszarpane płatki śniegu z powrotem na wzburzone czarne wody.

Ludzie w promieniu jakichś siedmiuset metrów odczuli wybuch jako niemal fizyczny cios, lecz wstrząsy przetoczyły się dalej przez Miami Beach i dotarły do części samego Miami, budząc i niepokojąc niektórych mieszkańców, płosząc ptaki i zwierzęta, sprawiając, że ludzie sięgnęli po piloty telewizorów.

Siedząc w bujanym fotelu o czwartej nad ranem, już obudzona, bo syn zaczął płakać dwadzieścia minut wcześniej, Grace korzystała właśnie z pierwszych chwil spokoju, odkąd Joshua się uciszył, snuła w myślach rozważania o powodach, dla których obie, ona i Claudia, wiodą życie na wyspach, i zastanawiała się, czy może to mieć związek z jakąś podświadomą fiksacją, potrzebą fosy, która odciąłaby je, odgrodziła od ich wspólnej wyklętej przeszłości...

Huk eksplozji przerwał rozmyślenia, Woody zaczął szczekać, a dziecko znowu się rozplakało.

- Co to, do cholery, było? - Claudia stanęła w drzwiach,

ubrana w piżamę z kremowego atlasu, bez najmniejszego śladu senności na twarzy.

- Nikomu nic się nie stało? - Teraz zjawił się Sam w pośpiesznie wciągniętych szortach, a za nim przybiegł Woody, który zdążył już zapomnieć o hałasie i teraz się cieszył, że zastał wszystkich w komplecie.

- Nic nam nie jest - zapewniła Grace. - Już dobrze, Jo-shuo, kochanie.

- Huk brzmiał, jakby coś wybuchło bardzo blisko - powiedziała Claudia.

- Prawdopodobnie nie tak blisko, jak się wydawało. - Sam wszedł do pokoju, przykucnął przy bujanym fotelu, pocałował Grace w policzek i pogłaskał synka po główce. - Już dobrze, słodziutki, wszystko w porządku.

Płacz Joshuy znowu zaczął przycichać i zmienił się w zmęczone marudzenie rozdrażnionego brakiem snu malca, który wciąż wytrzeszczał niespokojnie oczy. Grace podała go Samowi, bo nierzadko to jemu udawało się uspić synka szybciej. Sam czasem śpiewał mu dźwięcznym barytonem, dzięki któremu wygrywał główne role w S-BOP - Operze South Beach - Joshua zaś wyraźnie uwielbiał głos taty.

- Myślisz, że to była bomba? - zapytała Claudia.

- Prawdopodobnie wybuch gazu - odparł Sam.

Grace zerknęła na niego, wyczuła, że nie do końca w to wierzy, ale nic nie powiedziała. Może wolała tego nie wiedzieć, przynajmniej na razie, bo mieli teraz małego synka, którego chcieli wychować w bezpiecznej atmosferze, a wybuchy wszelkiego rodzaju bomb oznaczałyby horror nie do przyjęcia.

- Magiczny dotyk - powiedziała Claudia, patrząc na Jo-shuę, który już zasypiał w ramionach ojca. - Nasi chłopcy też tak zawsze zasypiali Danielowi na rękach.

- Pamiętam. - Grace zobaczyła w oczach siostry smutek, naprawdę jej współczuła.

Sam ostrożnie położył malca w kołysce i w pobliżu umieścili jego ulubionego pluszowego miśka.

- Ktoś ma ochotę na filiżankę herbaty?
- Tylko jeśli to będzie rumianek - powiedziała Grace. Claudia skrzywiła się.
- Nienawidzę ziółek. Idę włączyć wiadomości.
- Może spróbujesz znowu zasnąć? - zasugerowała Grace.
- Po tym? - zdziwiła się Claudia. - Nie ma mowy.

20

Cal siedział skulony i nagi na swoim cienkim, nierównym materacu, jadł cheetos, starając się nie rozsypywać okruchów, i oglądał telewizję na małym czarno-białym odbiorniku, który ten dureń i kanalia „gospodarz” postawił na podłodze, bo chyba myślał, że dzięki temu zmieni obskurną norę w metę *de luxe*.

Słyszając, jak ludzie mówią, że jakaś łódź wyleciała w powietrze, i obserwując przesuwający się u dołu ekranu pasek z wiadomościami, który to potwierdzał, ale bez dalszych szczegółów, Cal zaczął się denerwować bardziej niż przy dziwnym hałasie, co to wyrwał go z płytkiego snu, i nawet bardziej niż przed dwiema godzinami, gdy doznał lekkiego szoku na dźwięk przenikliwego, przypominającego ptasi świergot dzwonnka komórki: to Jewel postanowiła odezwać się po sześciu tygodniach milczenia akurat tej nocy.

Wiedzma.

- Nie wyobrażaj sobie, że możesz wrócić, kiedy chcesz -oznajmiła mu - skoro przez cały ten czas się wałkonieś.

Jakby w ogóle za nią tęsknił.

Pierwsze reportaże na żywo - wciąż zdominowane przez nerwowych mieszkańców, którzy mimo to starali się maksymalnie wykorzystać chwile sławy - co chwila zmieniały doniesienia na temat miejsca i przyczyn eksplozji. Raz była to bomba na przystani w Miami Beach, kiedy indziej butla gazowa, która wybuchła na pokładzie żaglówki w zatoce Biscayne, to znowu wypadek związany z nielegalnymi imigrantami



na Miami River, a później zamach terrorystyczny na statku wycieczkowym w porcie.

Cal lubił dreszczyk domysłów nie mniej niż inni, ale w tej chwili chciał się tylko przekonać, czy „Dziecina” nie ucierpiała i nadal jest cała, bo, na litość boską, bulił niezłą kasę, na którą ledwo go było stać, byle łódź była bezpiecznie i legalnie zacumowana, co wciąż zdawało mu się najlepszym sposobem na uniknięcie zainteresowania ze strony celników, gliniarzy czy nawet złodziei. Nie żeby łajba należała do takich, do których ustawiałyby się kolejki potencjalnych złodziei.

Jeżeli „Dziecina” wyleciała w powietrze, to przynajmniej razem z nią obrócił się wniwecz cały zestaw potencjalnych problemów, związanych z miejscem przestępstwa.

Sięgnął po notatnik i ołówek i zapisał to słowo - „wniwecz” - z myślą o Epistole.

Fajne słówko.

Też poczuł, kiedy łódź wybuchła - a tylko tej jednej jedynej rzeczy reporterzy wydawali się pewni: że była to łódź, więc na zdrowy rozum ktoś musiał wiedzieć gdzie. On sam wtedy spał, więc może tylko mu się to przyśniło, ale miał wrażenie, że stare ramy okienne w jego klitce zagrzechotały, a nawet że syfiaste łóżko, a on w nim, zatrzęsło się, przez co parę sekund później pomyślał o seksie.

W sumie nie było to przykre doznanie.

Prawdopodobnie byłoby znacznie gorsze, gdyby znalazł się w samym środku wybuchu.

A może to właśnie jest najlepsza możliwa śmierć.

Ale jeszcze nie.

W tej chwili Cal pragnął dwóch rzeczy. Zobaczyć „Dziecinę” i zacząć wychodzić na miasto o właściwej porze, w najlepszych godzinach nocy, żeby znowu zobaczyć ludzi takich jak on. Znowu robić swoje, może zarobić trochę grosza.

Pod względem finansowym przydałaby się teraz taka fucha, jak z kobietą w Wilmingtonie, z kimś z kasą, kto żyłby jed-

nak po wybuleniu forszy i oszczędziłby mu całej tej nerwowej krzątaniny, całej bojaźni i drżenia.

„Bojaźń”, następne dobre słowo.

Słowo dobrze mu znane.

21

Za dziesięć piąta w domu na wyspie zadzwonił telefon. Sam wrócił już z tarasu, gdzie stał z Woodym i wsłuchiwał się w niezbyt odległe jęki syren, starając się określić miejsce eksplozji i zastanawiając się, które z doniesień telewizyjnych okaże się prawdziwe. Zdawał sobie sprawę, że mógłby po prostu wykonać telefon albo posłuchać komunikatów dyspozytora, żeby dowiedzieć się więcej, ale na razie był zadowolony, że nie jest bezpośrednio zaangażowany w sprawę.

Kiedy telefon się rozdzwonił, Grace i Claudia siedziały przy kuchennym stole, prawie gotowe, by wrócić do łóżek.

- Czyli jednak bomba - powiedziała Grace, gdy Sam poszedł odebrać.

Nie poczuła nic więcej, żadnego strachu, tylko tę ponurą pewność.

- Ojej - westchnęła Claudia, myśląc o swoich chłopcach.

- Cholerna łódź wyleciała w powietrze - wyjaśnił Samowi Martinez. - Alvarez chce ściągnąć nas wszystkich na miejsce.

- Gdzie? - spytał Sam.

- W zatoce Biscayne, na południowy wschód od Wyspy Skarbów.

Za blisko, cholera.

- Podjedziesz po mnie? - zapytał Sam.

- Za piętnaście minut - odparł Martinez.

Kiedy ubierał się do pracy - garnitur, kabura, glock, czyli to co zwykle, bo po tej wczesniej niedzielnej zmianie czekała go całodzienna służba - Sam zastanawiał się, z czym właściwie

mogą mieć do czynienia. Było za wcześnie, by ktokolwiek znał przyczynę eksplozji, chyba że dysponowano potwierdzeniem z analiz wywiadowczych czy może zaszyfrowaną pogrózką, a w takim razie dochodzeniem będzie zawiadywać Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, przy czym na miejscu rządu obejmie Terenowe Biuro FBI w Miami, a tuż za nim ATF, czyli Biuro do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej i Materiałów Wybuchowych.

- Czy to nie robota dla Straży Przybrzeżnej? - spytała Grace, podając mu krawat.

Sam pokiwał głową. - i dla strażaków.

- To dlaczego cię wzywają?

- Jeszcze nie wiem - powiedział, wychodząc z sypialni i zbiegając schodami w dół. - Jeśli to nie był wypadek, to jeszcze nie znaczy, że mamy do czynienia z aktem terrorystycznym. Możliwe, że to staroświeckie przestępstwo.

- Wspaniale - skomentowała Grace, idąc za nim.

- A może po prostu Alvarez albo kapitan uznali, że jeśli ktoś w Miami odpala bomby, ludziom może trochę odbić.

Grace pocałowała go przy drzwiach wyjściowych.

- W każdym razie, proszę cię, bądź ostrożny.

- Zawsze jestem - zapewnił Sam. Miała wielką nadzieję, że to prawda.

- Słucham? - Daniel sprawiał wrażenie rozkojarzonego, o tak wczesnej porze miał do tego prawo.

- Musiałam zadzwonić - powiedziała Claudia na górze, w sypialni Cathy - z powodu tej bomby.

-Jakiej bomby? - Natychmiast się rozbudził. - Gdzie? Nic ci nie jest?

- Nie, nic. - Jego głos ją pokrzepił, a bardziej jeszcze pocieszył, ponieważ Daniel zdawał się zaniepokojony i ponieważ najwyraźniej Jerome nie złożył mu wizyty, przynajmniej na razie. - Przepraszam, że cię obudziłam, Dan, ale wszyscy

tutaj jesteśmy tak wstrząśnięci, że po prostu musiałam usłyszeć twój głos.

- Co to za bomba, Claudio? - nie ustępował Daniel. - Pierwsze słyszę.

Opowiedziała mu tyle, ile wiedziała.

- Musi chodzić o coś ważnego, skoro Sama wezwali tak wcześnie rano.

- Tak to już jest z policjantami, prawda? - zauważył. Wyraźnie chciał znowu zasnąć.

- Przepraszam - powiedziała. - To chyba przez szok. Nagle zapragnęłam sprawdzić, czy mój mąż i synowie są cali i zdrowi.

- Jesteśmy tysiące kilometrów od Miami - odrzekł Daniel - więc oczywiście nic nam się nie stało.

- To dobrze.

Znów poczuła narastające zdenerwowanie, wolałaby, żeby powiedział więcej, bardziej się ucieszył, że z nią rozmawia, bez względu na porę, ale potem przypomniała sobie, że sama ponosi całkowitą winę za ich rozstanie.

Tylko że Daniel o tym nie wie, a nie wspomniał nawet o Grace.

- Śpij dalej - powiedziała. - I przekaz chłopcom, że ich kocham.

- A jak ma się Grace? - zapytał. Sumienie znowu zaczęło ją gryźć.

- Trochę lepiej - odrzekła.

- To świetnie - ucieszył się. - Jak myślisz, kiedy wrócisz do domu?

- Nie jestem pewna - odparła. - Kiedy tylko będę mogła.

- Dobra - powiedział Daniel. - Więc jeśli nie masz nic przeciwko temu, spróbuję się jeszcze trochę zdrzemnąć, zanim będę musiał wstać i zacząć dzień na dobre.

- Jasne. Naprawdę przepraszam.

- Nic nie szkodzi - zapewnił ją i odłożył słuchawkę.

Wciąż było za wcześnie, żeby stwierdzić przyczyny eksplozji ale pojawiło się pierwsze światło: w szczątkach unoszących się na falach w zatoce Biscayne znaleziono fragment kadłuba z nazwą i numerem rejestracyjnym zniszczonej łodzi. Sunseeker 75 była najskromniejszą z jednostek w małej flocie należącej do niejakiego Adriana Leehy'ego, szczyty w przemyśle muzycznym, który przez część roku mieszkał w domu na wyspie La Gorce.

Leehy wraz z rodziną znajdowali się, cali i zdrowi, w Nowym Jorku. Jacht - o nazwie „Darryl” na cześć pani Leehy - został najwyraźniej skradziony z przystani między godziną jedenastą w sobotę w nocy, kiedy to zarządca posiadłości widział go ostatni raz przed udaniem się na spoczynek, a mniej więcej trzecią trzydzieści, pół godziny przed wybuchem.

Bez naocznych świadków kradzieży, chociaż przestępstwo popełniono na wyspie bogaczy uczulonych na punkcie ochrony mienia, było jeszcze za wcześnie, by stwierdzić, czy zdarzenie zostało nagrane przez którąś z kamer bezpieczeństwa.

Podano trzy powody, dla których na miejsce wezwano cały dostępny personel wydziału przestępstw kryminalnych. Po pierwsze: miejsce eksplozji. Po drugie: Adrian Leehy był nie tylko bogaty, ale też, według Mike'a Alvareza, z wielką hojnością wspierał organizację charytatywną, działającą na rzecz chorych z porażeniem mózgowym, która była szczególnie bliska sercu komendanta Hernandeza. Oprócz tego, że zarówno szef policji, jak i miliarder mieli dziecko z tą chorobą, łączył ich najwyraźniej wielki wzajemny szacunek.

Istniał jeszcze jeden, znacznie ważniejszy powód do wezwania wszystkich detektywów.

Wśród szczątków jachtu znaleziono coś jeszcze. Ludzkie zwłoki.

Claudia chciała się wybrać na zakupy.

- Potrzebuję starej dobrej terapii zakupowej w towarzystwie siostry i siostrzeńca.

Obie udały się na spoczynek, kiedy Sam wyszedł do pracy, a teraz wiedziały równie dużo, a zarazem równie mało co reszta okolicznych mieszkańców, a mianowicie że eksplozja miała miejsce tylko na jednej łodzi, a ponieważ wiadomo, że takie rzeczy zdarzają się przypadkowo od czasu do czasu, incydent budził pewien niepokój, lecz o ile nikt nie ucierpiał, życie mogło toczyć się dalej.

A tak się składało, że Grace i Sam mieli wspaniałe centrum handlowe praktycznie za progiem, i nagle godzina albo dwie spędzone na buszowaniu po sklepach firm Nieman Marcus i Saks, a także oglądanie witryn z cackami Jimmy'ego Choosa i Tiffany'ego wydało się Claudii właśnie tym, czego potrzebuje.

- Możemy wsadzić Joshuę do spacerówki i wybrać się na zakupy - powiedziała.

- Do czasu, gdy będziemy gotowe wrócić, na dworze zrobi się o wiele za gorąco - zauważyła Grace.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

- Spodziewasz się kogoś? - spytała Claudia.

Grace pokręciła głową i poszła otworzyć. Woody nie odstępował jej na krok, od jego przenikliwego szczekania zaczynało łupać jej w skroniach.

- Nie otwieraj - powiedziała Claudia. Za późno.

- Tak? - zagadnęła Grace mężczyznę w progu.

Był młody, dwudziestokilkuletni, miał kasztanowe włosy, wąskie wargi i paciorkowate piwne oczy.

- No nie, nie wierzę - powiedziała Claudia z korytarza.

- Jestem Jerome Cooper - zwrócił się mężczyzna do Grace. - Twój brat.

- Co ty tu, do cholery, robisz? - Claudia stanęła za plecami siostry.

Woody przestał szczekać i zaczął warczeć.

- Nie lubię psów - powiedział Jerome Cooper.
- A ja owszem - odparła Grace.
- Nie zaprosisz mnie do domu? - spytał. Grace ani drgnęła.
- W czym mogę ci pomóc, Jerome?
- Zamknij drzwi, Grace - powiedziała Claudia.
- Nie zamyka się drzwi przed krewnymi - oznajmił Jerome.
- Nie jesteś naszym krewnym - odparła Claudia, wciąż tuz za plecami Grace.
- Claudio, idź zadzwonić do Sama - poleciła jej Grace.
- Po prostu zamknij te drzwi! - nalegała Claudia.
- No cóż - rzekł pojednawczo Jerome Cooper - nie będę się wpychał. - Kiedy się uśmiechnął, jego usta rozciągnęły się i jeszcze bardziej zwęziły, lecz oczy nadal miały ten sam nieprzyjemny wyraz. - Ale też sobie nie pójdę.
- Claudio, idź po telefon - powiedziała Grace. - Już. Zamknęła drzwi. Sam pędził swoim saabem aż do końca Collins, ale gdy dotarł na West Island, po Cooperze nie było już śladu. Radiowóz mógłby dotrzeć na miejsce pięć razy szybciej ale Grace uparła się, żeby uniknąć oficjalnego zaangażowania policji, bo nie znalazły się w żadnym niebezpieczeństwie Cooper nie posunął się do żadnych pogroźek, a interwencja patrolu oznaczałaby konieczność spisania raportu, czego nie chciała ani ona, ani Claudia.
- Powiedział tylko, że nie odejdzie - stwierdziła teraz Grace.
- Ale odszedł - dodała Claudia.
- Na to wygląda - zgodził się Sam. Przedtem kilkakrotnie objechał nieduże osiedle na wyspie ale póki nie zajrzał do każdego garażu i na każde tylne podwórko, a także do każdego pomieszczenia w każdym domu w dzielnicy, wiedział, że nie powinien czuć się zupełnie pewien, że drań rzeczywiście się wyniósł.

- A więc co jest grane? - zapytał.

Grace powtórzyła mu tylko połowę opowieści Claudii, gdy wczoraj wieczorem wrócił z pracy, nie dlatego, że zamierzała coś przed nim ukrywać, tylko po prostu dlatego, że uznała, iż w tych okolicznościach sprawa tego, co członek nowej rodziny ich ojca zrobił albo usiłował zrobić w Seattle, nie jest szczególnie pilna.

Teraz obie siostry - Grace z dzieckiem na kolanach - usiadły w kuchni i opowiedziały Samowi resztę.

- Okej. - Sam skupił uwagę na Claudii. - Miałaś do czynienia z tym facetem więcej niż Grace. Czy wydaje ci się, że może być niebezpieczny?

- Nie ma mowy - zaprzeczyła Claudia. - To znaczy, oczywiście, był podły: to, co zrobił, było podłe, ale ani przez chwilę nie poczułam się zagrożona, w każdym razie fizycznie. - Spojrzała na Grace. - A ty jak uważasz?

- Ma takie chytre oczka - wspomniała Grace.

Claudii przyszła do głowy myśl, która natychmiast wywołała nowe wyrzuty sumienia.

- Mam nadzieję, że nie sądzicie, iż wiedziałam, że może tu za mną trafić?

- Oczywiście że nie - zapewniła Grace.

- Do głowy mi nie przyszło...

- Claudio droga - powiedział Sam - naprawdę cię za to nie winimy. Muszę tylko wiedzieć, czego ten facet chce.

- Przypuszczalnie - odparła Grace - tego, czego chciał poprzednio.

- Pieniądzy. - Łzy stanęły Claudii w oczach. - Tak strasznie mi przykro.

- Ależ nie szkodzi. - Grace wstała i objęła siostrę ramieniem.

- Potrzebuję trochę więcej informacji - oznajmił Sam. - Przyda się wszystko, co możesz o nim jeszcze powiedzieć.

- To kanalia - rzekła z przekonaniem Grace.

- Powinnam wrócić do domu - odezwała się Claudia. - W ogóle nie powinnam była wyjeżdżać.



- Nie wrócisz do domu, póki nie będziesz gotowa. - Sam wstał, podszedł do lodówki, wyjął dzbanek soku pomarańczowego i zaoferował go kobietom, które pokręciły głowami. - A na pewno nie dlatego, że zjawił się tu ten gnojek szantażysta.

- Właściwie teraz nie próbował mnie już szantażować -zauważyła Claudia.

- Tylko dlatego, że nie wpuściłyśmy go do środka - podkreśliła Grace.

- Prawdopodobnie tu wróci. - Sam wypił szklankę soku i spojrzał na zegarek.

- Musisz jechać - powiedziała Grace.

- Alvarez wie, że tu jestem, więc mam trochę czasu. Praca w wydziale stała się nieco łatwiejsza, odkąd sierżant Kovac, jedna ze zmór w służbowym życiu Sama i Martineza, został przeniesiony z wydziału przestępstw kryminalnych do wydziału dochodzeń strategicznych a jego miejsce zajął Mike Alvarez, który stanowczo należał do dobrych facetów. Jednak wobec praktycznego braku postępów w śledztwie dotyczącym zamordowanego w Łódce i świeżo wyklutej sprawy jachtu Leehy'ego Sam wolał nie przeciągać struny.

- W ramach osobistej przysługi poproszę jeden z patroli żeby przejechał tędy parę razy... żadnych raportów, bez obaw.' - Zauważył, jak siostry wymieniły spojrzenia. - Wolałbym nie zostawiać was tutaj zupełnie samych - dodał. - Zgoda czy nie?

- Miałyśmy pójść na zakupy - powiedziała Grace.

- Tylko do Bal Harbour - dorzuciła Claudia. Grace zauważyła jego wahanie.

- Po tych wszystkich latach, Sam, nie zamierzam pozwolić, żeby Frank zrobił ze mnie więźnia w moim własnym domu.

- Tu nie chodzi o twojego ojca - powiedział Sam.

- W pewnym sensie chodzi - odparła. - Pośrednio.

- Dobra. - Sam się ugiął. - Ale jeśli go zobaczycie, po prostu usiądźcie gdzieś, gdzie jest naprawdę dużo ludzi, i od razu

do mnie dzwońcie, a jeżeli zjawi się tutaj po waszym powrocie, nie otwierajcie drzwi, póki tu nie dotrę.

- Nie możesz tak kursować tam i z powrotem - zmartwiła się Grace.

- Jeśli jakiś palant zamierza niepokoić moją żonę i szwa-gierkę - odparł posepnym tonem - to możesz być zaskoczona, jak często gotów jestem kursować tam i z powrotem.

23

Drugi esemes od Mildred dotarł wkrótce po południu.

DROGI SAMUELU, DAJĘ TYLKO ZNAĆ, ŻE U MNIE WSZYSTKO W NAJLEPSZYM PORZĄDKU, CHOCIAŻ NOCE W OKOLICACH MIAMI RZECZYWIŚCIE WYDAJĄ SIĘ TERAZ TROCHĘ NERWOWE! TWOJA MILDRED.

Sam natychmiast odpisał:

DROGA MILDRED, DZIĘKUJĘ ZA POCIESZAJĄCĄ WIADOMOŚĆ. MAM NADZIEJĘ, ŻE WPADNĘ NIEDŁUGO W ODWIEDZINY, ALE GDYBYŚ MNIE WCZEŚNIEJ POTRZEBOWAŁA, PO PROSTU ZADZWOŃ. TWÓJ SAMUEL. Stwierdzono, że eksplozja na jachcie nie była niewinnym wypadkiem, chociaż mogło się okazać, że sprawca zginął podczas wybuchu po przedwczesnej detonacji ładunku. Zgodnie z przewidywaniami, nad sprawą pracowali federalni wspólnie z ATF i tymczasowo z policją Miami Beach.

Sam i Martinez dostali od Alvareza i komendanta zezwolenie na skupienie się na sprawie wcześniejszego zabójstwa.

A Bóg jeden wiedział, że niezidentyfikowany martwy mężczyzna zasługiwał na ich pełną uwagę.

Wciąż nie mieli niczego, co pozwoliłoby ustalić tożsamość zamordowanego. Wiedzieli o nim tylko tyle, że jego ostatnim posiłkiem była ryba z przyprawami, ryż i warzywa, że niedługo przed śmiercią odbył stosunek analny - bez obrażeń, które sugerowałyby brak jego zgody - oraz że jego partner seksualny używał prezerwatywy.

Wciąż żadnego zgłoszenia osoby zaginionej, która pasowałaby do jego rysopisu.

- Jeżeli właśnie wziął dłuższy urlop - powiedział posępnie Sam - może upłynąć co najmniej parę tygodni, zanim ktokolwiek zainteresuje się jego zniknięciem.

- A jeśli był samotnikiem albo wszyscy mają go w nosie -dodał Martinez - może to potrwać całą wieczność.

Sam regularnie sprawdzał, co u Grace.

- Jesteś za bardzo zajęty, żeby ciągle dzwonić - upomniała męża, gdy wróciły z Bal Harbour. - Jeżeli znowu zobaczymy Jerome'a, obiecuję, że natychmiast cię powiadomię.

Kiedyś nie czułaby potrzeby, aby go o tym zapewniać. Ale lęki, które ukrywała przed nim w zeszłym roku, trochę uszkodziły rdzeń ich delikatnego i nieskończenie cennego związku, i Grace wiedziała, że nigdy więcej nie podejmie takiego ryzyka.

- Przepuściłem Coopera przez system i nic nie wyskoczyło

- oznajmił Sam - czyli o tyle, o ile możemy się zorientować, jest dobrze, ale nadal obstawiam, że jeszcze się zjawi.

- Claudia stara się sobie wmówić coś przeciwnego - poinformowała Sama Grace.

- Jak sobie radzi?

- Odreagowuje, kupując prezenty i wydając za dużo pieniędzy, szczególnie na nas.

- Nie powinnaś była jej na to pozwolić.

- Próbowałam ją pohamować, ale była niepowstrzymana

- odparła Grace. - Kupiła Cathy parę cudownych czerwono-białych pantofelków na obcasie i z kokardkami, a kiedy poszłam z Joshua do łazienki, wstąpiła do Tiffany'ego i kupiła mu absolutnie cudowną skarbonkę w kształcie słonia. Nasz syn ma skarbonkę od Tiffany'ego, dasz wiarę?

- Chyba wolałbym nie dawać. - Sam pozostał niewzruszony.

- A potem, nie zgadniesz, kupiła nam tamże szkatułkę z rżniętego kryształu. O mało jej nie obsztorcowałam, ale wy-

glądała, jakby miała się rozplakać, więc zamiast ją ochrzanić, uściskałam ją tylko serdecznie, a potem poszliśmy na kawę i napisałyśmy kartki do Daniela i chłopców.

- Dla nich też kupiła prezenty?

- Nie - powiedziała Grace. - Chce się wybrać do Aventu-ry, a ja dopilnuję, żeby to zrobiła, bo czułabym się okropnie, gdyby wróciła do domu z pustymi rękami.

- I całkiem splukana - dorzucił Sam. - Czy zadzwoniła jeszcze raz do Daniela?

- Z tego, co wiem, nie.

- Mam nadzieję, że to wszystko nie wymknie się spod kontroli.

- Ja też.

Na tym polegało jedno z niebezpieczeństw, jak Grace przekonała się przez lata, ponieważ ten, kto uciekał, żeby wylizać rany, tym samym oddalał się właśnie od osoby lub osób, z którymi powinien dojść do zgody, tak więc proces gojenia wydłużał się, a nie skracał.

Wszędzie te błędne koła.

Sam zrobił sobie po południu piętnastominutową przerwę, żeby odwiedzić Mildred.

Znalazł ją niecałe sto metrów od jej ławki, gdy rzucała ptakom okruszki czerstwego pieczywa. Tobołki leżały pod nogami kobiety.

Uśmiechnęła, gdy go zobaczyła.

- Nie musiałeś przychodzić, Samuelu.

- Nie bardzo mi się podobało, że zostałeś tu wczoraj w nocy całkiem sama

- przyznał. - Musiało być trochę strasznie, nawet dla ciebie.

- Nieduży wybuch to za mało, żeby poruszyć moje stare serce -

powiedziała Mildred. - Ale dotarło do mnie pocztą pantoflową, że w zatoce zginął jakiś nieszczęsny człowiek. Czy to prawda, panie detektywie?

- Obawiam się, że tak.

Mildred rozsypała resztę okruszków.

- I to była rzeczywiście bomba, jak mówią?
- Na to pytanie, Mildred, nie znam jeszcze odpowiedzi.
- A gdybyś znał, prawdopodobnie nie mógłbyś tego powiedzieć komuś takiemu jak ja.

Uśmiechnął się do niej.

- Więc jak się miewasz poza tym, że zakłócono ci sen?
- Nie widziałam po raz drugi mojego anioła - odparła. - Jeśli o to ci chodzi.
- Powiedziałaś mi wcześniej, gdyby było inaczej - zauważył. - Nie przyszedłem, żeby o to pytać.
- Wiem.

Zawahał się, zanim zadał pytanie:

- Wciąż wolisz być tutaj, Mildred?

W rozmowie z nią najlepiej było nie owijać sprawy w bawełnę.

- Jak najbardziej - odparła.

24

*9 czerwca*

W poniedziałek nad ranem Cal znowu był na mieście.

Wtedy kiedy warto. W nocy. O swojej ulubionej porze.

Bez makijażu, bez sznytu, ale przynajmniej oddychało mu się lepiej niż za dnia, mógł sprawdzić, co jest grane, zobaczyć, czy przy Dziesiątej Ulicy i na promenadzie nadal kręci się tyle glin co w sobotę.

Najpierw udał się nieśpiesznym krokiem na spacer do Alton Road i na północ do Szesnastej ulicy, a potem jeszcze swobodniejszym, nonszalanckim poszedł aż na zachodni kraniec drogi, gdzie była marina Flamingo i jego „Dziecina”, a chociaż teraz wszyscy już wiedzieli, że w powietrze wyleciał jacht jakiegoś dzianego gościa w zatoce Biscayne, i tak dobrze było ją zobaczyć, upewnić się, że jest cała i zdrowa. Nie zaryzykował jeszcze wejścia na pokład, tylko przeszedł obok niczym jakiś

cierpiący na bezsenność turysta, który zapragnął rozprostować kości, ale wyglądała zupełnie tak samo jak przedtem, ot, nic specjalnego dla wszystkich na świecie oprócz niego, i Cal uznał, że to dobry znak, chociaż w jakiś pokrętny sposób trochę go to raziło, no bo ludzie powinni zdawać sobie sprawę, że „Dziecina” jest wyjątkowa. Ze on jest wyjątkowy.

Teraz był z powrotem na Ocean Drive, wśród swoich - choć jak na jego gust wokół było za mało ludzi: noc z niedzieli na poniedziałek poza sezonem należały raczej do spokojnych, ale i tak czuło się ten dreszczyk, chociaż wszystko zdawało się zupełnie normalne, jakby nie zdarzyło się nic sensacyjnego: ani wybuch jachtu, ani nawet martwy mężczyzna w łódce na plaży - a Cal żałował, że sam nie obejrzał całego przedstawienia. Gdyby jeszcze zaryzykował zrobienie sobie połysku i wykonanie jakiejś drobnej sztuczki, czułby się znacznie lepiej, bo nuda wywoływała w nim głód, seksualna frustracja zawsze podsyciała apetyt najedzenie, a śmiecie, które musiał ostatnio zreć, były niezdrowe i tuczące, więc jeśli wkrótce nie zaliczy dobrego rżnięcia, roztyje się jak prosię, a to by go prawie zabiło...

Ech, ale dobrze było chociaż znaleźć się w ciepłym, wilgotnym mroku, słyszeć muzykę i głosy bawiących się ludzi, łopot fruujących wokół nocnych ptaków, niektórych egzotycznych, innych po prostu prostacko tandetnych, ale każdego z nich przepelniały własne potrzeby i przez to wydawał się jeszcze bardziej ludzki. I Cal poczuł nagle tak potężną łączność z nimi wszystkimi, że naszła go wielka chęć, by podbiec do całej grupy, chwycić jednego i objąć, przytulić się i zaryzykować to, co może nastąpić, fangę, pocałunek w usta albo nawet kopniaka między nogi. Ale wiedział, że nie może się zaudać do nikogo zbliżyć, wiedział, że musi na razie stłamsić to w sobie - wspaniała ptak, który dusi się w przebraniu szaraka-przeciętniaka. Przytłaczała go świadomość, że niedługo większość tych ludzi roztopi się w ciemnościach i później zostaną już tylko maruderzy i garstka najtwardszych zawodników, ci, którzy jak on żyją

po to, by być tu o tej porze, i pozostali, którzy tak naprawdę nie mają wyboru.

Nie był pewien, czy podświadomie jej szukał, tego starego śmierdzącego ptaszyska, ale zobaczył ją szczelnie opatuloną w liczne warstwy ubrań, przycupniętą na ławce obok placu zabaw, ot, grubo opakowany ludzki śmieć. Mimo odruchu obrzydzenia nie mógł się oprzeć chęćce, by na próbę przejść tuż koło niej, chociaż nawet jeśli tamtej nocy wpatrywała się prosto w niego, wątpił, by teraz go rozpoznała, bo wyróżniało go znacznie więcej niż sam makijaż i strój, a dzisiaj nie mógł się przechadzać swoim nocnym krokiem, nie mógł zaoferować nikomu rozkoszy.

Minął ją i nic. Żadnej reakcji.

Co w pewnym sensie było obraźliwe, ale w innym korzystne, bo potwierdzało, że jest prawdziwym kameleonem, że gdyby przeszedł pół metra od gliniarza, tamten nic by nie zauważył, co znaczyło, że gdyby chciał, prawdopodobnie mógłby wziąć kogoś w tej chwili, poderwać na chodniku albo na trawie czy piasku, zaprowadzić na przykład na wydmy i tam wydymać albo nawet zadusić, i nikt by się nie kapnął aż do chwili, gdy ktoś potknąłby się przypadkiem o trupa.

Ale to nie tego powinien łaknąć. Powinien pożądać cielesnych podbojów - choć może nie istniało nic bardziej zmysłowego niż to, co zrobił ostatniemu mężczyźnie, którego zerznął, i jak potem rozprawił się z jego ciałem...

Zdał sobie sprawę, że stanął mu na samą myśl.

Zerknął przelotnie na własne spodnie, sprawdzając, czy nie widać, i nie było widać. Z jednej strony, dobrze, a z drugiej, cóż, szkoda i strata.

Cał westchnął.

W pobliżu żadnych gliniarzy, co też dobrze wróżyło, więc może wkrótce - bodaj nawet jutro albo pojutrze - znowu będzie mógł być sobą.

Chłoptasiem-kochasiem.

Rozkoszniaczkiem.

Mildred go widziała.

A przynajmniej tak jej się wydawało, ale ani wtedy, ani teraz nie była do końca pewna.

Nie tylko wyglądał, ale i pachniał inaczej. Poruszał się również zupełnie odmiennie, potem jednak, tuż zanim zniknął jej z oczu, spostrzegła coś zawadiackiego w jego chodzie.

- Zdradził go tylko drobny szczegół - powiedziała do Donny'ego, zmarłego narzeczonego, z którym wciąż regularnie rozmawiała, dniami i nocami.

Ale nawet gdyby chciała, nadal nie potrafiłaby opisać tego człowieka detektywowi Becketowi, bo rozpoznała go po czymś całkowicie nieokreślonym i nieuchwytnym. Poza tym było ciemno, a on nosił czapkę z daszkiem i ubranie takie jak dziesięć milionów innych mężczyzn każdego dnia, a ona bardzo się starała, żeby się na niego nie gapić, ponieważ czuła, że na nią patrzy, czuła, że przeszedł tuż obok, żeby ujrzeć jej reakcję, i właśnie dlatego udała, że śpi jak zabita, nie drgnęła jej nawet zmarszczka.

Dziś w nocy nie otaczała go aura srebrzystego blasku.

Nie był aniołem.

Ale nadal wyczuwała w nim to samo. Śmierć.

25

Wreszcie w biurze osób zaginionych pojawiło się zgłoszenie, które zdawało się pasować do ich niezidentyfikowanego mężczyzny.

Sanjiv Adani, dwudziestoczteroletni recepcjonista z hotelu Montreal w pobliżu parku Collins, nieobecny w pracy od piątku, ale nikt tam najwyraźniej nie zaniepokoił się na tyle, by zgłosić to policji. Adani jednak nie pojawił się również na urodzinowym przyjęciu matki wczoraj wieczorem, a gdy rodzinie nie udało się do niego dodzwonić, zorientowali się, że coś jest nie tak.



- Brat mówi, że Sanjiv nigdy nie opuściłby jej urodzin -przekazał Samowi Martinez.

Mężczyzna na zdjęciu przefaksowanym razem ze zgłoszeniem obejmował ramieniem starszą panią, prawdopodobnie matkę, i uśmiechał się do obiektywu. Był przystojny, szczupły i sądząc z wyrazu twarzy kobiety, bardzo przez nią kochany.

- Uroczystości rodzinne bardzo się liczą w życiu Adanich - ciągnął Martinez. - Ojciec i matka mieszkają w Surfside, a starszy brat, Barun, ten, który zgłosił zaginięcie, w Aventurze. Ich młodsza siostra, Anjika... tak nawiasem, każde z rodzeństwa jest singlem... no więc siostra mieszka w Nowym Jorku, ale przyjechała na urodziny. - Zerknął do notatek. - Adani ma mieszkanie z jedną sypialnią przy Bay Road w pobliżu centrum handlowego na Lincoln Road. Jego koleżanka z pracy, niejaka Gloria Garcia, mówi, że dawniej mieszkał ze swoim kubańskim chłopakiem.

- Dawniej? - powtórzył Sam.

- Rozstali się jakiś miesiąc temu - wyjaśnił Martinez. - Panna Garcia mówi, że nigdy nie poznała imienia chłopaka.

Sam spojrział znów na zdjęcie.

Przypomniał mu się stan, w jakim znaleziono zwłoki.

Popatrzył jeszcze raz na kobietę, która, jak przypuszczali, była matką Sanjiva.

Miał ponure przekonanie, że na wieść, którą przekażą starszej pani, pęknie jej serce.

Dwaj pozostali mężczyźni w rodzinie - ojciec Bhupal i starszy brat Barun - przyjechali do biura lekarza sądowego w Miami-Dade na tyłach szpitala Jackson Memoriał, żeby dokonać identyfikacji.

Ze zdjęć, co w zamyśle miało choć odrobinę złagodzić cierpienie, chociaż w takiej sprawie jak ta nic nie mogło pomóc. Sam nie był zresztą pewien, czy w jakimkolwiek wypadku oglądanie fotografii twarzy ukochanej osoby, poranionej lub nie, ale sprawiającej wrażenie jakby oderwanej ze względu

na bandażu owinięte wokół głowy, nie jest niekiedy bardziej wstrząsające niż widok samych zwłok.

Żaden z wyraźnie zrozpaczonych mężczyzn nie miał wątpliwości, że zmarły to Sanjiv Adani.

- Nie chciałem, żeby tata tu przychodził - powiedział Samowi i Martinezowi Barun, wysoki, przystojny mężczyzna w ciemnym garniturze i pod krawatem, kiedy ojciec wyszedł z pokoju żałobnego do toalety, uparłszy się, by nikt mu nie towarzyszył - ale nie chciał o tym słyszeć, powiedział, że to dharma.

- Co to znaczy? - spytał Martinez.

- Słowo ma wiele znaczeń - wyjaśnił Barun - ale dzisiaj chyba „obowiązek” pasuje najlepiej. - Otarł oczy. - Ojcowski obowiązek. Czekali w milczeniu, aż Bhupal Adani wyłoni się z łazienki. Wyglądał na kompletnie załamane.

- Przepraszam - powiedział.

- Ależ nie ma za co, proszę pana - zapewnił Sam i ulżyło mu, gdy zobaczył, jak Barun bierze ojca za ramię.

Sam i Martinez widywali tak wielu wstrząśniętych i zrozpaczonych ludzi, że trudno by wszystkich ich spamiętać, ale przez to nie było im ani odrobinę lżej.

- Sprawdziłem znaczenie imienia Sanjiva w jednym z tych portali internetowych - powiedział później Samowi Martinez, gdy wsiedli do jego chevroleta impali. - Znaczy „żywy”.

- Ja zrobiłem to samo - przyznał Sam. - Trafiłem na definicję „ożywczy”.

- Wyglądali na miłych ludzi - zauważył Martinez.

Ani jednemu, ani drugiemu nie śpieszyło się raczej na spotkanie z matką Sanjiva.

26

Mildred wysłała następnego esemesa, z satysfakcją korzystając z nowo nabytej umiejętności.

Małe przebłyski z dawnych czasów. Z innego życia.

TUTAJ WSZYSTKO W PORZĄDKU, SAMUELU. UWAŻAJ NA SIEBIE. TWOJA MILDRED.

Ostatecznie postanowiła nie wspominać o przechodniu z ostatniej nocy. To prawdopodobnie tylko przywidzenia starej kobiety, a w każdym razie nic, co pomogłoby policji - Mildred zaś na pewno nie chciała wyjść na jakąś głupią, dopominającą się uwagi gęś.

- To nie w moim stylu - powiedziała do Donny'ego.

A detektyw Samuel Becket miał już i tak dość zmartwień.

27

Dom państwa Adanich przy Carlyle Avenue w Surfside miał dach z czerwonej dachówki i okiennice w kolorze brzoskwiniowym. Wyglądał na przytulny i zadbane. Atmosfera nieutulonego żalu w środku zdawała się tak gęsta, że można by ją kroić nożem.

Barun, który otworzył detektywom drzwi, zaprowadził ich do salonu i przedstawił rodzicom. Sanjula Adani, ubrana w białe sari, siedziała obok męża na szmaragdowozielonej kanapie pośrodku staroświecko urządzonego pokoju z fotografiami i indyjskimi akwarelami na ścianach oraz dwoma małymi, ale lśniącymi kandelabrowymi żyrandolami. Oboje małżonkowie trzymali się prosto i dystyngowanie, lecz sprawiali wrażenie ledwie obecnych, zatopieni - zorientowali się Sam i Martinez - w mrocznych i ponurych myślach.

- Właśnie zaparzyłam dla rodziców herbatę. - Anjika, ich córka, ubrana w białą koszulkę z krótkim rękawem i džinsy, weszła z tacą. - Czy panowie też się napiją?

- Anji - powiedział Barun z przyganą w głosie.

Jego siostra z irytacją przewróciła zaczerwienionymi oczyma, po czym wyjaśniła:

- Brat przypomina mi, że hindusi w żałobie nie powinni częstować gości jedzeniem ani napitkiem.

- Nie szkodzi - odezwał się ojciec. - Pozwalam ci, Anjiko.

- Nie ma potrzeby - powiedział Sam.

- Ja też dziękuję - dodał Martinez.

Barun poprosił, żeby wyszli znowu do przedpokoju.

- Jeśli możecie, panowie - rzekł półgłosem - byłbym bardzo wdzięczny, gdybyście zechcieli zadać swoje pytania mnie.

- Dobrze - odrzekł Sam. - Tak zrobimy.

Przeszli do kuchni, pomieszczenia, które wyglądało na często i z przyjemnością używane, w powietrzu unosił się smakowity aromat przypraw. Barun zaprosił ich do nakrytego białym obrusem stołu.

- Jak na pewno mogą sobie panowie wyobrazić, wszystko to okazało się trudne do zniesienia dla naszej matki - zaczął.

- A nasz ojciec... - Głos mu zadrżał, a potem znów się wzmocnił. - Sanjiv był gejem, o czym wspominam tylko na wypadek, gdyby miało to jakiś związek z waszym śledztwem. Ale ojciec zawsze wypierał ten fakt ze świadomości, więc gdybyście zadali mu pytania dotyczące stylu życia mojego brata, może nie okłamałby panów, ale raczej nie powiedziałby całej prawdy, rozumieją panowie?

- Rozumiemy - zapewnił Sam. - Dziękuję, że nam pan powiedział.

- A myśli pan, że „styl życia” brata ma związek ze sprawą?

- zapytał Martinez.

- Nie mam pojęcia - odrzekł Barun Adani - ale czyta się o takich rzeczach.

- To prawda, proszę pana - przyznał Sam. - Rzeczywiście się o tym czyta.

- Z naszą mamą jest inaczej - podjął Barun. - Zawsze pragnęła tylko, żebyśmy wszyscy byli szczęśliwi i bezpieczni, chociaż wiem, że żałowała, że Sanjiv nie może dać jej wnuków... i myślę, że zawsze się też o niego obawiała. - Pokręcił głową. - Ale nie chodziło o coś takiego jak to. Nigdy.

Sam patrzył, jak Barun traci opanowanie. Widział dobrze wychowanego młodego mężczyznę, który usiłuje się nie załamać, jego ciało przygięte od brzemienia odpowiedzialności, by trzymać się ze względu na rodzinę, i współczuł mu, wyobrażając sobie, jak przyszłe lata będą mu dokładać na barki obowiązków i zmartwień, jak bardzo pogrążeni w żałobie rodzice będą go potrzebować nie tylko po to, by ich pocieszył, ale także, by spełnił ich marzenia.

Anjika weszła do kuchni z telefonem komórkowym przy uchu. Głównie słuchała i odpowiadała monosylabami. Może Nowy Jork już ją wzywa z powrotem, zgadywał Sam, a potem domyślił się, że bez względu na to, jak dziewczyna kocha rodzinę, prawdopodobnie wróci na północ tak szybko, jak tylko pozwala dobry obyczaj. I kto mógłby mieć do niej pretensje?

- Przepraszam. - Barun znów wziął się w garść.

- Proszę nie przepraszać - powiedział Sam. - Mamy tylko kilka pytań.

- Oczywiście. Zrobię, co będę mógł, żeby panom pomóc.

Anjika, wciąż z telefonem przy uchu, wymknęła się z powrotem do przedpokoju.

- Mówił pan, że nie widział Sanjiva od dwóch tygodni - powiedział Sam. - Jak się wtedy miewał?

- Wydawało mi się, że dobrze. Był zdrowy i zadowolony z życia.

- Rozmawiał pan z nim od tamtej pory? - spytał Martinez.

Barun pokiwał głową.

- Trzy, może cztery razy. Rozmawialiśmy dość regularnie.

- Wie pan, czy w jego życiu działo się coś niezwykłego albo czy miał jakieś szczególne plany? - zapytał Sam. - Czy dzielił się z panem nowinami ze swojego życia prywatnego albo zawodowego?

- Czasami. - Barun potrząsnął głową. - Próbowałem przypomnieć sobie cokolwiek, co mogłoby się przydać, ale

nasze rozmowy były zwykle dość zdawkowe. Staraliśmy się zachować kontakt, wiedzieć, co u drugiego słyhać, ale niewiele ponadto.

- Czyli że nie wspominał - powiedział Martinez - dokąd się wybiera albo z kim zamierza się spotkać w środę bądź w czwartek?

Ostatnie dwadzieścia cztery godziny życia ofiary zabójstwa powszechnie uznawano za najbardziej istotny przedział czasowy dla śledztwa, tuż obok pierwszych czterdziestu ośmiu godzin po odkryciu zwłok.

- Nie, proszę pana - odparł Barun.

W śledztwie za mało wiedzieli o tych właśnie kluczowych godzinach.

- Słyszeliśmy - zagadnął Sam - że pański brat miał chłopaka.

- Tak, ale zerwali jakiś czas temu. Eddie Lopez. - Lekkie skrzywienie ust zdradziło dezaprobatę Baruna. - Tancerz. Spotkałem go raz. Sanjiv mówił mi, że występował w „Kotach” i przedstawieniach paru teatrów niezależnych, ale tak długo, jak się widywali, Eddie tańczył tylko w nocnych klubach.

- Słyszeliśmy, że razem mieszkali - powiedział Martinez.

- Zgadza się, przez jakieś trzy miesiące. - Barun znowu zniżył głos. - Ale nigdy do siebie nie pasowali i myślę, że Sanjiv zdawał sobie z tego sprawę, chociaż nigdy tego nie mówił.

- Wie pan, kto kogo zostawił? - spytał Sam.

- Eddie zerwał z moim bratem.

- Kłócili się? Z tego, co pan wie? - zapytał Martinez.

- Jeżeli tak, to Sanjiv mi o tym nie wspominał. Brat był pracusiem. Miał ambicję, chciał pewnego dnia otworzyć własny hotel. - Ciemne oczy Baruna jeszcze bardziej się zasmuciły. - Był romantykiem. Powiedział mi raz, że lubi się kimś opiekować, i myślę, że często gotował dla Eddiego, a nawet sprzątał. - Umilkł na moment. - Sanjiv napomknął raz, że kiedy wrócił do domu zanadto zmęczony, żeby cokolwiek jeszcze robić, Eddie nie był zadowolony.

- Czy zatem scharakteryzowałyby pan ich związek jako wybuchowy? - zapytał Sam.

- Z tego, co wiem, raczej nie - odparł Barun.

- Jakie wrażenie sprawiał Sanjiv po rozstaniu z Lopezem?

- spytał Martinez.

- Nieszczęśliwego - powiedział Barun. - Ale potem jakby wziął się w garść, oświadczył, że zamierza jeszcze bardziej skupić się na pracy. Mój brat był silnie zmotywowany.

Anjika, skończywszy wreszcie rozmowę telefoniczną, weszła znowu do kuchni, w przelotnym geście czułości położyła bratu rękę na ramieniu, po czym odwróciła się bez słowa i poszła do rodziców w salonie.

- Czy pański brat i ojciec kłócili się w związku ze stylem życia Sanjiva? - spytał Martinez.

Barun poprawił się na krześle.

- Czy to ma związek ze sprawą, detektywie?

- Prawdopodobnie nie - odrzekł Sam. Barun westchnął.

- Jasne, że czasami dochodziło do kłótni. Tata chciał, żeby Sanjiv został prawnikiem albo lekarzem... albo przynajmniej księgowym, jak ja.

- A jak układały się ich stosunki - zapytał Sam - kiedy Sanjiv wybrał hotelarstwo?

- Nasz tata bardzo dobrze umie okazywać rozczarowanie.

- Barun śmiechnął się z lekką ironią. - Nawet lepiej niż mama, a na pewno wiecie panowie, jakie są hinduskie matki.

- Miałem matkę Żydówkę - oświadczył Sam.

To często zbijało ludzi na chwilę z tropu, ale Adani był za bardzo zatopiony we własnym żalu, żeby zareagować z większym zaciekawieniem.

- To wie pan, co mam na myśli - powiedział.

- Orientuje się pan, gdzie moglibyśmy znaleźć Eddiego Lopeza? - spytał Martinez.

- Nie mam bladego pojęcia - odparł Barun.

- Mogą panowie sprawdzić w Satin - rzekła Anjika, wchodząc cicho do kuchni. - To klub przy Calle Ocho.

Barun Adani zmarszczył czoło.

- Skąd wiesz?
- Sanjiv mi mówił - wyjaśniła mu siostra.
- Sanjiv i Lopéz nadal utrzymywali kontakty? - zapytał Barun.
- Nasz brat był samotny - powiedziała Anjika. I oczy zaszczyły jej łzami.

28

David Becket zaprosił Grace i Claudię na lunch.

- Wiem, że nie powinnam - powiedziała Claudia w toycie siostry, oglądając się przez ramię na Joshuę zapiętego w foteliku z tyłu - ale ostatnio trochę się obawiam, kiedy mam się spotkać z Saulem.
- Nie rozumiem czemu - odparła Grace. - Saul ma się dobrze i uwielbia to, co robi.
- Ciesiołka zamiast studiów medycznych? - Claudia odwróciła głowę do okna, spoglądając na zdający się ciągnąć w nieskończoność rząd luksusowych apartamentowców i hoteli, za którymi rozlewał się połyskujący w słońcu niebieski ocean.
- Saul robi meble - odparła z przekonaniem Grace. -Ma do tego prawdziwy talent, który odkrył na długo, zanim został ranny. I sam dokonał wyboru, nikt mu nic nie narzucał. Zresztą wcale nie jestem pewna, czy nie pasuje to do niego bardziej niż medycyna.
- Ale nadal mieszka z ojcem. Grace zerknęła na siostrę z ukosa.
- Mam nadzieję, że nie zamierzasz raczyć wszystkich tym negatywnym nastawieniem na obiedzie.
- Mówię ci tylko, co czuję - powiedziała Claudia. - Czy może utraciłam i to prawo?

Grace przyhamowała trochę. Ruch na tym odcinku Collins był dzisiaj nawet mniejszy niż zwykle, co znaczyło, że zaraz



dojadą na miejsce, a chciała się uporać z tym problemem, zanim dotrą do domu na Golden Beach.

- O czym ty mówisz, siostrzyczko? - zapytała. - Jakie prawa utraciłaś? Leżące na podolku dłonie Claudii zwały się w pięści.

- Zeszłam na manowce - powiedziała przez ściśnięte gardło.

- Dopuściłam się zdrady. Okazałam się kompletną idiotką. Porzuciłam synów i zostawiłam męża, żeby radził sobie sam. - Oczy zaszły jej łzami.

- Utraciłam prawo do bycia *sobą*.

Grace zobaczyła z przodu wjazd na nieduży parking przy hotelu, zerknęła we wsteczne lusterko, po czym skręciła i zatrzymała samochód.

- Chodź no tu. - Objęła siostrę ramionami, a Claudia wtuliła się w nią i zaczęła płakać. - Nie utraciłaś żadnych praw

- zapewniła Grace. - Jesteś tylko człowiekiem, to wszystko. Nie płacz, kochanie.

- Ale to, co zrobiłam Danowi, jest takie straszne.

- Zrobiłaś to również sobie - zauważyła Grace. - I wiem, że znajdziesz sposób, żeby naprawić tę sytuację, jeżeli oczywiście tego właśnie chcesz.

- Masz na myśli to, że powinnam mu wszystko wyznać - powiedziała zgnębionym głosem Claudia. - A jeśli nie będzie potrafił mi wybaczyć?

- Myślę, że jednak wybaczy - odparła Grace. - Ponieważ podejrzewam, że za bardzo cię kocha, żeby postawić krzyżyk na waszym małżeństwie.

- O ile nie będę z tym za długo zwlekać. - Claudia się odsunęła.

- To już sama będziesz musiała osądzić, siostrzyczko. Jedną z wielu ważnych decyzji, które Claudia musi podjąć, pomyślała Grace. Od wczoraj Jerome Cooper nie dał wprawdzie znaku życia, ale jednak...

- Naprawdę masz ochotę na ten lunch? - spytała.

Joshua, który nie spał, ale był do tej pory spokojny i zadowolony, a zwykle bardzo dobrze znosił podróże, pisnął nagle niecierpliwie.

- Już dobrze, kochanie - powiedziała do niego Grace.
- Za chwilę ruszymy dalej.
- Możemy jechać - oznajmiła Claudia. - Nic mi nie jest. - Otworzyła torebkę, znalazła chusteczkę i otarła oczy. - Zaraz dojdę do siebie. - Odwróciła głowę, spoglądając na siostrzeńca, i uśmiechnęła się. - Dobrze mi to zrobi: dla odmiany skupię się na kimś innym, prawda, Joshuo? A Joshua uśmiechnął się promiennie do cioci, czym przypieczętował umowę.
- Pora odwiedzić rodzinę - oświadczyła Claudia.

29

Mieszkanie Sanjiva Adaniego na pewno nie było miejscem zbrodni. Bez żadnych dodatkowych informacji od Anjiki, na których Sam i Martinez mogliby się oprzeć, przeszukanie, po uprzednim uzyskaniu nakazu, mieszkania jej zmarłego brata - na piętrze dwukondygnacyjnego budynku przy Bay Road, kilka przecznic od centrum handlowego na Lincoln Road - dostarczyło im niewiele nowych wskazówek.

Szperanie w tym, co pozostało po życiu zmarłej osoby, nigdy nie przychodziło Samowi łatwo, bo w istocie zawsze czuł się jak intruz. Kiedy ofiara utrzymywała taki porządek jak Sanjiv Adani, pracę można było przynajmniej wykonać szybciej, ale rezultaty nazbyt często okazywały się mało pomocne. Żadnych wiele mówiących plam, żadnych niezmytych naczyń, z których można by zdjąć odciski palców albo próbki DNA, żadnych starych śmieci, które można by przejrzeć, żadnych wyraźnych tropów ani nawet intrygujących żółtych karteczek, przylepionych do drzwi lodówki.

Adani był mężczyzną schludnym, lubiącym porządek, a także - przynajmniej na pierwszy rzut oka - dość konserwatywnym. Jego mieszkanie zdradzało, zdaniem obu detektywów, wpływy domu rodzinnego i dobrej hotelowej szkoły.

- Króluje tu porządek i wysoka jakość - podsumował Sam. - Nie chodzi tylko o powierzchowne pierwsze wrażenie.

- Jak pasuje ci do tego tancerz z klubu nocnego? - zapytał Martinez.

- Może po prostu się zakochał - powiedział Sam.

- Nie zapominajmy o żądzy - odparł Martinez.

Wszystkie zdjęcia w dużym pokoju Adaniego przedstawiały rodzinę, jednak w szufladzie nocnej szafeczki znaleźli czarno-białą profesjonalną fotografię przystojnego młodego mężczyzny bez koszuli, dobrze umięśnionego, ale szczupłego, w typie „niegrzecznego chłopca”. Zdjęcie było podpisane grubym niebieskim flamastrem: *Dla Sanjiva, od jego zwiariowanego chłopaka. Eddie.*

- Zachował je, mimo że zerwali ze sobą - zauważył Martinez. - Więc chyba miłość.

- Albo zauroczenie - dodał Sam.

W mieszkaniu nie znaleźli niczego, co wskazywałoby na rozrywkowy czy niebezpieczny styl życia. Przeciwbólowy tylenol i stary, niedokończony słoiczek valium były jedynymi „prochami” w szafce w łazience, obok buteleczek środka do udroźniania górnych dróg oddechowych w sprayu, kolekcji wód kolońskich, balsamów do ciała i dezodorantów. Stara powieść Dominicka Dunne'a ze szkarłatną skórzaną zakładką na trzydziestej drugiej stronie leżała obok łóżka, które starannie zasłano czystą niebieską pościelą z dobrej jakości poduszkami, ale bez narzuty. Czarna lniana koszula, wyprana i wyprasowana, spoczywała na kołdrze.

- Może ją odrzucił - wyraził przypuszczenie Sam - kiedy przygotowywał się do wyjścia w swój ostatni wieczór.

- Elegancka - zauważył Martinez.

- Może nie tak elegancka jak ta, którą ostatecznie włożył - powiedział Sam.

Nie znaleźli żadnych wskazówek na temat tego, dokąd właściwie wybierał się w czwartkowy wieczór. Nic w jego komputerze, który oczywiście i tak zamierzali zabrać w celu doko-

niania bardziej szczegółowych oględzin, żadnego dziennika, żadnych zapisków na kalendarzu *New Yorker Cats*.

- Nie zaznaczył nawet urodzin matki - zdziwił się Martinez.

- Może pamiętał tę datę na tyle dobrze, że nie musiał jej zaznaczać - rzekł Sam. - A może gdzieś w hotelu miał inny kalendarz, którego nie widzieliśmy.

Wiedzieli już, że Adani nie miał w Montrealu gabinetu ani nawet osobistej szuflady, tylko blaszaną szafeczkę, w której znaleźli czystą parę slipów, wyprasowaną białą bawełnianą koszulę, bordowy krawat z wyhaftowanym firmowym „M” oraz książkę o paryskim hotelu Ritz.

- Nie wydaje ci się to wszystko trochę zbyt antyseptyczne?

- zapytał Martinez. - Po prostu nudne?

- Może - odparł Sam, rozglądając się jeszcze raz po dużym pokoju. - A może jest właśnie tak, jak myśleliśmy: był dobrym synem z solidną kindersztubą. - Zawiesił głos. - Z własnymi marzeniami.

- I byłem chłopakiem, który jest napalonym tancerzem

- dodał Martinez.

Eddie Lopez był notowany. Głównie za drobiazgi - nieostrożne prowadzenie samochodu, posiadanie małej ilości narkotyków, prostytutkę.

- I jedno aresztowanie za przemoc domową - zauważył Sam, z powrotem w biurze.

Co sprawiło, że Lopez znalazł się na szczycie ich jednoosobowej listy podejrzanych, ale ponieważ Satin, nocny klub w Małej Hawanie wspomniany przez Anjikę Adani, otwierano dopiero wieczorem, przy czym w lokalu nikt nie odpowiadał ani na dzwonek przy drzwiach, ani na telefony, a w obszarze Miami-Dade mieszkało zbyt wiele osób, które nazywały się Eddie, Eduardo i Edward Lopez, by urządzić szeroko zakrojone poszukiwania, póki nie okaże się, że nie ma innego wyjścia, Sam i Martinez postanowili wrócić do Montrealu.

Był to dosyć porządny trzygwiazdkowy hotel, dobrze prowadzony i utrzymany: dogodne miejsce pracy dla młodego człowieka z ambicją wspinania się po szczeblach biznesu. Kierownik, Carl Lundquist, wypowiadał się o Adanim w samych dobrych słowach, ale Gloria Garcia wciąż była najbardziej rozmowna i przynajmniej na pierwszy rzut oka najbardziej przejęta gwałtowną śmiercią kolegi. Chociaż ani ona, ani nikt inny z tych, którzy byli akurat w pracy, nie mieli detektywom do powiedzenia nic, co od razu posunęłoby śledztwo naprzód.

Żadnych zatargów między Adanim a kimś z personelu, o których ktokolwiek gotów by był mówić, żadnych utarczek z klientami hotelowymi, żadnego awansu po plecach koleżanki czy kolegi, który pozostawiłby gorzki posmak. Żadnych skarg czy choćby narzekań na zmarłego. Żadnego romansu, który zaczęłoby się w pracy. Nikt nie wiedział o Adanim zbyt wiele, dwie osoby opisały go jako „skrytego”. Detektywi spisali nazwiska, adresy i numery telefonów, wzięli listy pracowników z innych zmian i pracowników dorywczych, kopie ostatnich stron księgi gości i harmonogram służbowy z ostatnich dwóch miesięcy - wszystko, co pomogłoby im nakreślić możliwie pełny obraz życia zawodowego ofiary.

Kiedy wychodzili z hotelu, minęli Glorię Garcję w recepcji.

- Właśnie coś sobie przypominałam - oznajmiła.
  - Tak? Bardzo prosimy - zachęcił dziewczynę z nadzieją Sam.
  - Przypomniało mi się, że ten chłopak miał na imię Eddie - wyjaśniła.
  - Nic więcej? - zapytał Martinez.
  - Wiem, że to niedużo - przyznała.
  - Wszystko, co pani pamięta, jest bardzo ważne - zapewnił Sam.
- I miał nadzieję, że nie dostrzegła irytacji w oczach jego partnera.

David Becket, siwowłosy, orlonosy i ostatnio jeszcze bardziej rozczochrany niż wówczas, gdy pracował na pełnym etacie, zawsze miał wspaniałe podejście do ludzi. Zwłaszcza do dzieci, dzięki czemu - jeśli nie liczyć jego zawodowej biegłości - stał się tak popularnym pediatrą, ale także do dorosłych, którzy tłumnie odwiedzali bezpłatną klinikę w centrum miasta, którą przez lata prowadził razem z kolegą. Miał dobrze rozwiniętą intuicję i zwykle wiedział, kiedy potrząsnąć osobą z problemami, a kiedy zostawić ją w spokoju. Grace pochlebiała sobie, że także posiada ten dar, ale zarazem nauczyła się miarkować, bo jako psychoterapeutka musiała poświęcać jednemu pacjentowi tylko niecałą godzinę sesji dziennie.

Saul też miał w sobie to ujmujące ciepło.

- Hej! - powitał gości, wychodząc na podjazd, żeby się przywitać. - Moi ulubieńcy w komplecie. - Pochwycił bratanka na ręce, a Joshua pisał radośnie.

- Prawie w komplecie - dodał David.

- Sam przesyła wam obu mocne uściski - powiedziała Grace.

- Gliniarze - dorzuciła Claudia. - Wiecznie na służbie. A potem zaczerwieniła się, przypomniawszy sobie utraconą miłość Saula, która też była policjantką.

- Nie bądź taka cholernie przewrażliwiona - odezwał się swobodnym tonem Saul. - Ja nie jestem.

Jego głos nadal był bardziej chrypliwy niż dawniej, pozostałość po zeszłorocznym koszmarze, podobnie jak blizny na szyi i częściowy niedowład prawego ramienia, ale Saul żył, miał się dobrze i odczuwał satysfakcję z tego, że coraz lepiej potrafi tworzyć piękne i użyteczne przedmioty ze szlachetnego drewna.

- Czasem mnie to martwi - powiedział David do Grace miesiąc wcześniej - bo może nigdy nie wyjdzie naprawdę

do ludzi, jeśli będzie pracował i mieszkał w domu ze swoim starszym.

- Przecież wychodzi - odparła Grace. - I nie mam absolutnie żadnych wątpliwości, że opuści dom, kiedy będzie gotowy. Za bardzo się przejmujesz.

Teraz David spojrział w drugi koniec pokoju, na Saula, który siedział na podłodze z ciocią Joshuy i dzieckiem i bawił się z nimi dużym pluszowym pieskiem i powleczonymi tkaniną atrapami cegieł.

- Co u Claudii? - zapytał półgłosem.

- Ma parę problemów - odparła Grace.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział David. - Mogę jakoś pomóc?

- Nie wydaje mi się - odparła. - Myślę, że sobie poradzi.

I miała nadzieję, że tak będzie.

31

Sam i Martinez przybyli do Satin na pół godziny przed otwarciem.

- Lopéz rzucił pracę. - Kierownik, Manuel Vega, był wysoki i łysy, a jego koszula z rozpiętym kołnierzykiem mokra od potu, niecierpliwił się i nie zadawał sobie żadnego trudu, żeby to ukryć.

- Kiedy odszedł? - spytał Martinez. Vega wzruszył ramionami.

- Kilka dni temu.

- Potrzebna nam konkretna data, proszę pana - nalegał Sam.

- Jakiś tydzień temu. - Kierownik otarł twarz kraciastą chustką, którą potem wepchnął z powrotem do kieszeni spodni. -Jeżeli potrzebujecie szczegółów, to musicie trochę poczekać.

„Jakiś tydzień temu” znaczyło: jeszcze przed zabójstwem.

Liczyli na co innego.

- Potrzebujemy szczegółów - oświadczył Martinez, zadowolony, że może faceta dodatkowo wkurzyć.

- Dlaczego pan Lopéz przestał tu pracować? - zapytał Sam.

- Jak powiedziałem, odszedł sam, a nie dlatego, że go wylałem.

- Nie podał panu żadnego powodu? - nie ustępował Sam.

- Tancerzy takich jak Lopéz jest od groma. - Vega znów wzruszył ramionami. - Nic mi nie powiedział, a ja nie pytałem.

- Dostał wymówienie? - chciał wiedzieć Martinez.

- Oczywiście - odparł tamten. - Tutaj wszystko jest zgodne z prawem.

- Miło to słyszeć - rzekł Martinez.

- Nie chcę żadnych kłopotów. - Pierwszy niechętny objaw respektu z jego strony.

- Nie zjawiliśmy się tutaj, żeby ich panu przysparzać - zapewnił Sam. - Ale bylibyśmy wdzięczni za wszelkie informacje, jakich może pan udzielić o panu Lopezie.

- Mogę wyszperać dla panów adres, który nam podał - zaproponował Vega.

Sam podziękował mu, a potem zapytał, czy Lopéz przyjaźnił się z którymś z innych tancerzy albo barmanów.

- Niech ich pan popyta. - Vega znów wyciągnął chustkę i otarł lśniące od potu czoło. - Muszę wziąć prysznic, zanim otworzymy.

- Popytamy ich, bez obaw - zapewnił Sam. - Ale teraz pytamy pana.

Manuel Vega zgromił go wzrokiem, po czym oświadczył:

- Nie przypominam sobie, by szczególnie się z kimś kumplo-wał, ale pilnuję własnego nosa. Póki tancerze tańczą, a barmani nalewają drinki, to szafa gra.

- Nie chce pan wiedzieć - zagadnął Martinez - dlaczego interesujemy się panem Lopezem?



- Jak mówiłem - odrzekł Vega - to tylko jeden z tancerzy.
- Tak - powiedział Sam. - Jest takich od groma. Mówił pan.

Żadnych postępów.

Nikt w Satin nie podzielił się z nimi żadnymi pomocnymi informacjami, nie usłyszeli nawet najmniejszej aluzji, podtekstu czy insynuacji. Lopéz, twierdzili wszyscy, był osobą bezkonfliktową i sympatyczną, ale dość zamkniętą w sobie.

- Skryty - zauważył Sam w przerwie między jedną rozmową a drugą. - Jak Adani.

- To jeszcze nie zbrodnia - odparł Martinez.

I tak to szło, nikt właściwie nic im nie powiedział oprócz jednej kelnerki, ładnej dziewczyny imieniem Trina, której wydawało się, że miał faceta, ale nie mogła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek napomknął, jak on się nazywa.

- Ale mówił, że to był facet? - zapytał Martinez. Trina wzruszyła ramionami.

- Nie musiał.

W dwupiętrowym budynku bez windy oddalonym od klubu o dwie przecznice, gdzie miał mieszkać Lopéz, także im się nie powiodło. Nikt nie odpowiadał na pukanie do drzwi jego mieszkania, skrzynka pocztowa na parterze była otwarta i zapchana reklamami i rachunkami, a żaden z sąsiadów tancerza też nie zareagował na pukanie.

Szczyście uśmiechnęło się do nich parę minut później, gdy wracali do samochodu i zza bloku wyszedł mężczyzna z dwiema torbami śmieci.

Parę lat po czterdziestce, ze starannie przyciętą brodą i ciemną opalenizną, sprawiał wrażenie rozluźnionego i bez problemu zgodził się z nimi porozmawiać, odstawił torby, przyjrzał się policyjnym odznakom, po czym powiedział, że nazywa się John Houlihan i że „tak jakby” pamięta faceta spod numeru 3D.

- Gej, tak? - powiedział z lekką chrypką w głosie, po czym wzruszył ramionami, kiedy żaden z detektywów nie zareago-

wał. - Gładko ogolony, z kolczykami... jednym albo dwoma, nie pamiętam dokładnie... ale naprawdę szczupły, atletycznie zbudowany, z paroma tatuażami na ramionach. Takiego faceta szukacie?

- Wypisz, wymaluj - potwierdził Martinez.

- Szkoda, że nie wszyscy są tak spostrzegawczy - dodał Sam.

- Ale właściwie nigdy z nim nie rozmawiałem - powiedział Houlihan.

- Kiedy ostatnim razem go pan widział? - zapytał Sam.

- Nie jestem pewien.

- W zeszłym tygodniu? - spytał Martinez.

- Może. - Zdawało się, że Houlihan utracił nagle zdolność precyzyjnych sformułowań.

- Mógłby pan to jakoś uściślić? - poprosił Sam.

- Raczej nie - odparł tamten, a potem zamyślił się na chwilę. - Może w czwartek albo piątek.

Sam i Martinez czekali, milczeniem prowokując go, by mówił dalej.

- Chyba w czwartek - powiedział, a potem pokręcił głową. - Szczerze mówiąc, przez ostatnich kilka dni byłem trochę poza orbitą. Prawie na pewno bym skłamał, gdybym powiedział panom coś więcej.

- Nic nie szkodzi - zapewnił Sam. - A nie przypomina pan sobie przypadkiem, jak pan Lopez był ubrany, kiedy widział go pan w czwartek?

Pamiętał o szczupłym „srebrnym” chłopaku Mildred Bleeker i miał nadzieję na przełom.

Houlihan pogładził się po brodzie.

- Chyba w dżinsy i czarny T-shirt? - Znowu pokręcił głową i podniósł torby ze śmieciami. - Naprawdę nie jestem pewien, przykro mi. Może miał to na sobie innym razem.

Zapisałi jego nazwisko i adres, podziękowali za współpracę, a potem wsiedli z powrotem do chevroleta i ruszyli do biura, żeby wydać patrolom następną instrukcję, dotyczącą szukania podejrzanego, i uaktualnić raport.

W sprawie zabójstwa Adaniego szukali teraz dwóch mężczyzn - może być to jeden i ten sam człowiek, chociaż prawdopodobnie nie, uznali obaj. Przy czym ani jeden, ani drugi nie był tak naprawdę podejrzanym. Żadnych postępów.

32

*10 czerwca*

Dzwonek u drzwi zabrzączał o szóstej dziesiątej w czwartkowy rano, gdy Grace, Claudia i Joshua wciąż spali, a Sam brał prysznic i usiłował się dobudzić.

Tak więc Woody jedyny usłyszał dzwonek i postawił na nogi cały dom. Grace była jeszcze w szlafroku, kiedy wyjrzała przez okno w korytarzu na piętrze i zobaczyła na ścieżce Jerome'a Coopera, który uśmiechnął się do niej cienkimi wargami, ubrany jak marynarz w białą koszulkę z krótkim rękawem i granatowe spodnie.

Pomachał do niej.

- Po prostu super - powiedziała Grace, kiedy Claudia wyłoniła się z pokoju Cathy, a Woody biegał tam i z powrotem, w górę i w dół, po schodach, wciąż szczekając. - Woody, cicho.

- To on, prawda? - zapytała Claudia.

- Co się dzieje? - Z sypialni wyszedł Sam w rdzawoczerwonym ręczniku owiniętym wokół bioder.

- Jerome wrócił - poinformowała Grace.

- O Boże - jęknęła Claudia i rozplakała się.

- Już dobrze - powiedział jej Sam. - Nie musisz się martwić.

Wrócił do sypialni i dziesięć sekund później wyłonił się znowu, ubrany w szarą koszulkę, spodnie od dresu i adidas, po czym wyraźnie zdeterminowany zszedł z Woodym przy nodze na parter.

- O Boże - powtórzyła Claudia.
  - Tylko ostrożnie z nim, Sam! - zawołała Grace, a potem odwróciła się do siostry. - Zostań z małym, żebym mogła się ubrać.
  - Ale Sam może...
  - Sam i ja poradzimy sobie z Jerome'em - zapewniła Grace.
  - Cześć, Sam - powiedział nieznajomy na dworze i wyciągnął rękę. - Jestem Jerry Cooper.
- Sam przyjął dłoń tylko po to, żeby ocenić uścisk. Zdarzało mu się witać z ludźmi o słabszym uścisku, ale skóra tego mężczyzny była wilgotna i zimna, a oczy chytre, tak jak opisała je Grace.
- Lepiej niech pan wejdzie - powiedział.
- Podobnie jak uścisk dłoni, tak i ten gest był wbrew wszelkim instyngtom Sama: nie zaprasza się szantażysty do domu, ale w końcu chodziło o przyszywanego brata żony, a jak trzeba, to trzeba.
- Jerome Cooper spuścił wzrok na Woody'ego, który cicho powarkiwał.
- Niech pan się nim nie przejmuje - rzucił Sam.
  - Na pewno? - zapytał Cooper.
  - Może pan też odejść - odparł Sam. - Wybór należy do pana.
  - Wiem, że pora jest wczesna - powiedział Cooper - ale chciałem mieć pewność, że zastanę cię w domu.
  - Udało się - odparł Sam. - Wchodzi pan czy nie?
  - Jasne. - Cooper łypnął na Sama z niechęcią, a potem spojrział znowu na pieska.
  - W porządku, mały.

Sam odsunął się, żeby przepuścić gościa przez drzwi, a Woody pobiegł w głąb domu i zatrzymał się przy drzwiach do kuchni, podczas gdy jego pan zastanawiał się, gdzie przeprowadzić konfrontację. Kuchnia wydawała mu się za bardzo prywatna, podobnie jak pokój, gdzie Grace często przyjmowała swoich młodych pacjentów, co w oczach Sama czyniło go

jeszcze mniej odpowiednim do przyjmowania gnidowatych typków.

- Tam będzie dobrze. - Grace, schodząc po schodach w dżinsach i koszulce, skinęła głową w kierunku „nory”, podejmując decyzję za męża.

- Możemy zostać tutaj, w przedpokoju - powiedział Sam. Mimo to weszła do pokoju i usiadła na kanapie, a Woody

potruchtał za nią i usadowił się u jej stóp, podczas gdy Sam postanowił nadal stać. Oto jedna z tych sytuacji, uznał, kiedy dobrze jest być dziesięć albo piętnaście centymetrów wyższym i znacznie silniejszym od przeciwnika.

- No więc... - Nie zaproponował tamtemu, żeby usiadł, uznając samą jego obecność za obrazę dla niewinności dziecięcych rysunków, które wisiały na ścianach. Po raz pierwszy zauważył, że przytulny pokoik wydaje się za ciasny. - Czego pan chce, Cooper?

- Jerome - poprawił go tamten. - Przyjaciele mówią mi „Jeny”.

Sam zgromi! go wzrokiem, ale się nie odezwał.

- Przynajmniej tym razem zostałem zaproszony do środka - zauważył Cooper.

- Mój mąż zadał ci pytanie - odezwała się Grace, zadowolona ze swojego opanowania, mimo że było powierzchowne. Nie dlatego, że się bała, w końcu Sam stał obok, ale dlatego, że przepelniał ją gniew.

- Tak oficjalnie. - Cooper uniósł myszowatą brew. - Mogę usiąść?

Zrobił krok w kierunku kanapy, a Woody znowu zawarczał.

- Nie tam - rzucił Sam. - Na fotelu. Cooper usiadł, po czym spojrzał na Grace.

- Jak dużo Claudia ci powiedziała?

- Ze usiłowałaś ją szantażować - odparła.

- Co jest przestępstwem - dodał Sam. - Za które można pójść do więzienia, jakby miał pan w tym względzie jakieś wątpliwości, panie Cooper.

- Proszę. - Głos Jerome'a zrobił się trochę jęśliwy. - Jesteśmy rodziną.
- Pytam po raz ostatni - powiedział Sam - czego pan chce?
- Pieniędzy. - Cooper wzruszył ramionami. - Tak jak ostatnim razem.
- I tak jak ostatnim razem - odparł Sam - może pan o tym zapomnieć.
- Czy Claudia nie zejdzie tu, żeby się przywitać? - zapytał Cooper Grace.
- To nie w porządku... niewłaściwe... żebyśmy rozmawiali o tym bez niej.
- Pięć minut. - Sam spojrział na zegarek. - A potem pan stąd idzie.
- Zdjęcia - powiedział Cooper.

Już się nie uśmiechał, wszelkie pozory zniknęły.

- Moja szwagierka mówiła już panu, że może się pan wypchać tymi zdjęciami - odparł Sam.
- To niezwykle wyraźne fotki - powiedział Cooper - mojej siostry - położył szczególny nacisk na drugie słowo - z przyjacielem, gdy ten mięłosi jej piersi, z językiem w...
- Dość. - W głębokim głosie Sama pobrzmiwał gniew.
- Ty sukinsynu - rzuciła Claudia, stając w drzwiach. - Ty żałosna, wredna gnido.
- Mnie też jest miło, że cię znowu widzę, Claudio - odparł Cooper z fotela.
- Już ci mówiłam. - Claudia włożyła dres, czując potrzebę, żeby się zakryć, i teraz było jej za gorąco, ale i tak dygotała. - Nie dostaniesz ode mnie złamanego centa za te ohydne zdjęcia.
- Nie takie znowu ohydne - odrzekł Cooper. - Chociaż to chyba zależy od punktu widzenia. - Zawiesił głos. - Na przykład gdyby mieli je zobaczyć twoi chłopcy.
- Co masz na myśli? - zapytała Claudia drżącym głosem.
- Moi siostrzeńcy, przypuszczam, że mogłabyś... Zręcznym ruchem Sam poderwał Jerome'a z fotela, jedną ręką capnął go za białą koszulkę, a drugą chwycił za lewe

ramię. Grace także skoczyła na równe nogi, a Woody zaczął znowu szczeekać.

- Wynocha, gnido - warknął Sam i powlókł go z pokoju w kierunku frontowych drzwi.

- Puszczaj mnie - zaprotestował Cooper.

- Sam, bądź ostrożny - ostrzegła Grace, ponieważ skarga o napaść była ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował po zeszłorocznym zawieszeniu w obowiązkach służbowych.

Sam otworzył drzwi i wypchnął Coopera na zewnątrz.

- Jeśli jeszcze raz zbliżysz się choćby na kilometr do mojej rodziny - zagroził - doprowadzę do postawienia ci zarzutów szybciej, niż potrafisz mrugnąć tymi swoimi wrednymi oczkami.

- Chcesz, żeby Robbie i Mike zobaczyli te zdjęcia? - Cooper nie dawał za wygraną.

Nagle Samowi przyszło do głowy, że może facetowi brakuje piątej klepki, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie posunąłby się do tego rodzaju pogroźek w obecności gliniarza.

- Nawet nie wymawiaj ich imion! - Claudia wybiegła nagle z domu z oczami pałającymi gniewem.

- Zaraz... - Sam puścił Coopera, złapał ją za ramię. - Tylko spokojnie.

Joshua zaczął płakać w swoim pokoju, a szczekanie psa stało się bardziej niespokojne.

- Claudio! - zawołała Grace z korytarza. - Wracaj do środka.

- Jak tylko zbliżysz się do moich synów - krzyczała teraz Claudia - to cię zabiję, jak słowo daję!

- Dziesięć tysięcy dolców - powiedział Cooper - i zniknę z twojego życia na dobre.

- Claudio, wracaj do środka - powtórzył za żoną.

- Nie żądam przecież pierdolonego miliona - dorzucił Cooper - tylko marnych dziesięciu patoli.

Jednak zdrowy, uznał Sam, gdy Claudia wróciła do domu. Ponieważ znajdowali się teraz na widoku publicznym, gdyby któreś z nich go tknęło, sprawa sprowadzałaby się do ich ze-

znań przeciwko słowu Coopera, a potem w oficjalnych aktach znalazłyby się także zdjęcia. Sam z wielką chęcią aresztowałby sukinsyna, ale nie zamierzał strzelać sobie samobójczego gola.

- Wszyscy jesteście mi winni choć tyle - oświadczył Jerome.

Joshua płakał coraz głośniejsze i Grace bardzo pragnęła do niego pójść, ale opanowanie dawno ją opuściło i nagle zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem Frank w tej grze nie pociąga za sznurki...

- Nic nie jesteśmy ci winni! - odparowała, przekrzykując płacz dziecka i ujadanie psa.

- Wy obie, siostrzyczki - odkrzyknął natychmiast Jerome - jesteście mi winne bardzo dużo, a ty - zwrócił się znów do Sama - możesz sobie na to pozwolić, Panie Ważny Detektywie mieszkający w fajnym domu swojej żony na tej miłej wysepce.

- Mogę sobie pozwolić na to - Sam zrobił dwa długie kroki w jego stronę

- żeby wsadzić cię do naprawdę miłej ciupy, z kilkoma niezwykle miłymi typkami w jednej celi. - Znowu capnął Coopera za ramię i obrócił. - Mogę sobie pozwolić na to, żeby wykopać cię z mojej posesji, ty wredny dupku.

- Naprawdę tego pożałujesz. - Twarz Jerome'a pokryła się z wściekłości czerwonymi plamami.

- Nie wydaje mi się. - Nagle chęć kopnięcia faceta w tyłek okazała się nieodparta, więc Sam pofolgował sobie i kopnął Coopera akurat na tyle mocno, by tamten wylądował jak długi na ziemi.

Po paru chwilach Jerome zdołał się podnieść z trawnika, ale kiedy znalazł się znów na nogach, jego spojrzenie stało się bardziej nienawistne i harde.

- Naprawdę pożałujesz, że to zrobiłeś.

- Nigdy, nawet gdybym miał żyć tysiąc lat - zapewnił go Sam, po czym wrócił do domu i zatrzasnął za sobą drzwi.

- Przepraszam - powiedział do Grace, która stała na szczycie schodów z dzieckiem na rękach, i do Claudii, siedzącej



teraz na drugim schodku od góry, bladej i zapłakanej. - Nie mogłem się oprzeć.

- Oczywiście, że nie mogłeś - przytaknęła Claudia. - Cieszę się, że to zrobiłeś.

Sam podniósł wzrok na Grace.

- Ja też - dodała - na swój sposób.

Sam poczuł, jak wściekłość topnieje, pozostawiając tylko wstrząs i lekkie mdłości, a nigdy nie lubił, gdy złość bierze nad nim górę, co, Bóg mu świadkiem, zdarzało się rzadko, ale wcale go nie rozgrzeszało i z pewnością nie było mądre.

- Wiem, co masz na myśli - powiedział.

33

Doszło do następnego wybuchu.

Na innym jachcie, na przystani w Fort Lauderdale.

Żadnego związku z rodziną Leehy'ego ani jego firmą.

- W DOPPF uważają, że tym razem sprawcami mogą być jakieś dzieciaki - mówiła właśnie Mary Cutter do Riley, kiedy Sam wszedł do biura. - Tak samo jak w zeszłym roku.

Departament Ochrony Porządku Publicznego Florydy, utworzony w późnych latach sześćdziesiątych pierwotnie jako Biuro Ochrony Porządku Publicznego, we współpracy z lokalnymi, stanowymi i federalnymi organami ścigania i wymiaru sprawiedliwości zajmował się zapobieganiem przestępczości, prowadzeniem dochodzeń i rozwiązywaniem spraw karnych, jak również ochroną obywateli Florydy i przyjezdnych. Jakiś rok wcześniej przy wybrzeżach zatoki pojawił się podobny problem: celami ataku stawały się łodzie, a sprawcami okazała się grupa, która ochrzciła się Bombowym Gangiem.

- Myślałam, że policja w Naples wszystkich ich wyłapała - powiedziała Riley.

- Trudnej młodzieży nie brakuje - odparła Cutter.

- Wszystko u ciebie w porządku, Sam? - zapytała Riley.
- Tak, jasne - odparł, próbując się rozchmurzyć. Nadal myślał o Jeromie Cooperze.

34

Cal wreszcie wrócił na pokład „Dzieciny”.

Do odważnych świat należy, uznał, gdy obudził się tego ranka. A najlepiej wybrać się za dnia, kiedy wokół roi się od ludzi, a gdyby się okazało, że czekają tam na niego gliniarze, to niech się dzieje, co chce. Na razie nikogo.

Na przystani panował spokój, żadnego zamieszania w pobliżu sąsiednich łodzi ani na ich pokładach, tylko paru facetów i kobieta w średnim wieku, którzy wyglądali na gotowych do wypłynięcia dobrze utrzymanym chapparalem w morze.

Żadnych gliniarzy.

Wszystko na łodzi było w dokładnie takim stanie, w jakim ją zostawił. Czysto i schludnie na pokładzie i w kokpicie.

Pod pokładem też nic niewłaściwego nie rzucało się w oczy, chyba że oczywiście ktoś szukałby świadectw czegoś, co się tam stało.

Jak seks i śmierć.

Rower był w porządku - „Daisy”, jego wystrzałowy tandem do podrywu - chociaż zajmował na dole za dużo miejsca i jedna z większych trudności tamtej nocy polegała na zniesieniu „Daisy” na dół zamiast pozostawieniu jej jak zwykle przykutej łańcuchem na pokładzie, ale Cal uznał, że nie może sobie pozwolić na to, by stała na widoku, więc zakasał rękawy i wykonał robotę - i oprócz tego jeszcze całą masę innej pracy.

Wszelkie widoczne ślady tego, co się stało po ostatnim podrywie, wraz z kupioną w Walmarcie ciepłą kołdrą - i mieszanką DNA dwóch mężczyzn na niej - a także starym dywanem (przetartym do nitki, śmierdzącym paskudztwem, kupionym łącznie z jachtem), w który zawinął swojego *znajo-*

meo do chwili, gdy mógł go umyć i wrzucić do łódki. Kołdra i dywan, a także ubrania drugiego mężczyzny razem z portfelem - skąd Cal wyciągnął całą gotówkę, czyli sześćdziesiąt pięć dolarów (co czyniło z niego także złodzieja, inaczej niż w Wilmingtonie), ale nie karty kredytowe, bo nie był głupi - oraz parą rękawiczek, które włożył, żeby ochronić własne dłonie, wszystko to wyrzucił do morza wraz z obciążeniem w postaci połamanych kamiennych płyt, które wziął ze śmietnika przy budynku na Szesnastej Ulicy. Wszystko zniknęło. Cal nie był do końca pewien, dlaczego nie zatopił również samego trupa. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę cały fizyczny wysiłek i stres, z jakimi wiązała się kradzież cholernej łódki, by nie wspomnieć o przenosinach zwłok.

Jedyną konkluzją, do jakiej doszedł, było przypuszczenie, że w głębi duszy jest ekshibicjonistą. Może chciał, żeby to, co zrobił, zostało przez kogoś dostrzeżone.

Oczywiście nie chciał, żeby go złapano i znowu wsadzono za kraty, Boże, nie.

Ale gdyby nikt nie odkrył, co zrobił, to jak ktokolwiek dowiedziałby się, jakich krzywd doznał sam Cal, ile wycierpiał? A gdyby po prostu opowiedział o Jewel i całej reszcie psychoanalitykowi, byłoby to o wiele za mało, bo czyniłoby z niego tylko jeszcze jednego faceta na psychoterapii i wszyscy mieliby go gdzieś.

Ale więzienie. Na samą myśl o nim...

A do tego jeszcze kara śmierci i zastrzyki z trucizną, stosowane na Florydzie.

Aż po nim ciarki chodziły, brrr!

Co oznaczało, że nie powinien był tego robić, że nie powinien był podejmować tego całego ryzyka, nie powinien był kraść łódki ani wrzucać do niej ciała, ani czekać na to, co się stanie.

Ale nic się nie stało.

Przynajmniej na razie.

Smród wybielacza wciąż się utrzymywał - uderzył go w nozdrza, gdy tylko wszedł na pokład „Dzieciny”, drapał gardło i wywoływał zalew wspomnień.

O tym, co zrobił tamtemu.

Nie sznur na jego szyi, nawet nie to, jak odebrał mu życie.

Ale co zrobił potem.

Przynajmniej facet był już wtedy martwy, nie dowiedział się, jakie to uczucie. Cał znał je doskonale. Na wylot.

„Ale teraz trzeba się wziąć do roboty”.

Po drodze ze swojej zapyziałej nory kupił następny wybielacz, rolkę foliowych worków na śmieci, nową parę gumowych rękawiczek i paczkę maseczek chirurgicznych w aptece. No i nową kołdrę w kiczowatym sklepie z tanioczą, który miał jakąś okropną nazwę w stylu Dobra Nocka, ale kołdra przynajmniej będzie miękka i będzie mógł na niej spać, kiedy poczuje się gotowy, żeby wrócić na dobre.

Nie potrzebował nowej szczotki do szorowania pokładu, bo ta, której użył poprzednio, wciąż leżała w schowku między podłogą kabiny a poszyciem kadłuba. I to była kolejna dziwna decyzja, którą podjął, ponieważ dosłownie każdy atom włosa pokrywało DNA, więc powinien posłać ją w głąbiny razem z resztą rzeczy, ale nie chciał i tego nie zrobił, chociaż - znowu - właściwie nie potrafił wytłumaczyć dlaczego.

„Chcesz, żeby cię złapali”.

Może.

„Chcesz znowu jej użyć”. Może to też.

35

Jerome Cooper nie był notowany, ale to nie czyniło żalostnego, szantażującego pasierba Franka Lukki ani odrobinę

mniejszą gnidą, a na samą myśl, że mógłby się znów zbliżyć do jego rodziny, Samowi robiło się niedobrze.

- Rozmawiałem z kumplem z Departamentu Policji w Bay Harbor - powiedział Grace przez telefon. - Żadna wielka afera, nie martw się. Żadnych wyjaśnień, dałem im tylko znać, że mieliśmy nieproszonego gościa, więc żeby uważali.

- Na pewno chcieli się dowiedzieć czegoś więcej? - spytała podejrzliwie Grace.

- Podąłem im półprawdę, powiedziałem, że to sprawa rodzinna, a oni zrozumieli.

On i Grace zawarli na wyspach sporo dobrych znajomości, chociaż w dziewięćdziesiątym ósmym roku, zanim zamieszkali razem, Sam martwił się, ze względu na nią i na Cathy, że niektórym mogłaby się nie spodobać obecność czarnoskórego gliniarza z wydziału zabójstw w pobliżu, choćby nawet ten wprowadził się do domu pani psycholog, która stanowiła jedną z podpór lokalnej społeczności, ale te obawy szybko minęły, kiedy wszyscy od razu powitali go z sympatią w swoim gronie.

Teraz miał nadzieję, że mili, dobrze wychowani sąsiedzi nie zauważyli, jak tego ranka skopał Cooperowi tyłek.

Chociaż może gdyby wiedzieli o tym chłystku trochę więcej, pochwaliliby Sama za to, co zrobił.

Pochwał nie spodziewał się natomiast ze strony Baruna Adaniego, który zadzwonił wcześniej z prośbą o spotkanie i miał się tego popołudnia zjawić w biurze.

Żadnych postępów w sprawie zabójstwa jego brata.

Od tego też robiło się niedobrze.

36

- To co mam teraz zrobić? - zapytała Claudia Grace w porze lunchu.

Przez większość czasu od wizyty Coopera ukrywała się w pokoju Cathy, ale Grace wreszcie zmusiła ją pół godziny

temu do wyjścia i teraz obie siedziały przy kuchennym stole, a między nimi Joshua na swoim podwyższonym foteliku.

- Chyba zadzwonić do Daniela - zasugerowała Grace. - Powiedzieć mu, co się stało.

- Przez telefon? - Claudia była przerażona. - Nie mogę mu tego zrobić. Grace poczekała, aż Joshua przełknął poprzednią łyżkę przecieranej zupki, zanim podała mu następną.

- Zdaje się, że nie masz specjalnego wyboru.

Claudia siedziała w milczeniu, niezdolna do spróbowania sałatki z awokado, którą dla nich obu przygotowała. Wyobrażała sobie zdjęcia i zbierało jej się na mdłości, a na myśl o tym, że Robbie i Mike mogliby je kiedykolwiek zobaczyć, chciało jej się wyć.

- Jeśli Jerome zrezygnował z pieniędzy - ciągnęła Grace - może zechcieć zrobić chłopcom przykrość z czystej złośliwości. Nie możesz ryzykować, że stanie się coś takiego, a ty w żaden sposób nie ostrzeżesz przed tym Daniela.

Claudia wyobraziła sobie Robbiego przy komputerze, gdy otwiera pocztę elektroniczną i widzi...

Wydała z siebie cichy, zdławiony jęk, odsunęła krzesło i wybiegła z kuchni.

- Buba - powiedział Joshua, po czym wziął z tacki miękkiego bajgla i zamachał nim do Grace. - Buba nuga!

- Masz sto procent racji, kochany - odrzekła Grace, współczując siostrze. Czekają ją naprawdę ciężkie chwile. I to niezależnie od tego, jak postanowi sobie z nimi poradzić.

I ani Grace, ani Sam nie mogli jej w żaden sposób pomóc.

- Jak się masz? - zapytał Daniel przez telefon.

- Dobrze - skłamała Claudia. - Tęsknię za wami wszystkimi.

Poszła prosto do pokoju Cathy i natychmiast zadzwoniła do męża, ale już wiedziała, że nie zdobędzie się na to, by wyznać mu prawdę.

Była takim tchórzem.

- Może powinnaś wrócić od razu do domu. - Daniel zawiesił głos. - Może Grace chciałaby dla odmiany odwiedzić nas?

- Ma Joshuę - powiedziała Claudia. - To nie takie proste.

- Matki podróżują z małymi dziećmi nie od dziś - zauważył Daniel. - A jeżeli Sam nie może wziąć wolnego, żeby też przylecieć, to zawsze wydawał mi się dość samodzielny facetem.

- Porozmawiam z nimi o tym - obiecała.

- Naprawdę?

W ostatnim słowie zabrzmiała nutka niedowierzania, od której Claudię przebiegł zimny dreszcz. A jeśli już wiedział?

Gdyby wiedział, pomyślała, od razu by to wygarnął. Albo przynajmniej coś powiedział. W istocie jednak niczego nie wiedział ani o jej niewierności, ani o zdjęciach i szantażu.

- Tęsknię za tobą - rzekł tylko Daniel. - Wszystkim nam ciebie brakuje. Claudię zalała fala wstydu. Otworzyła usta, żeby przemówić, wyznać winy, po prostu wyrzucić to z siebie, zadać ostateczny cios ich małżeństwu, ale zaraz znowu je zamknęła.

- Claudio?

- Też za tobą tęsknię - odparła. - Ale myślę, że jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym spędzić tutaj jeszcze parę dni. Staram się zadzierzgnąć silniejszą więź z siostrzeńcem, a przy okazji trochę pomóc.

- Jeśli tego chcesz - odezwał się trochę chłodniej Daniel - to sobie poradzę.

- Co u chłopców? - zapytała. - Żadnych kłopotów?

Pragnęła powiedzieć mu, żeby znalazł sposób, by ich komputery się roztrzaskały, serwery poczty zawiesiły się na amen, zerwała się linia telefoniczna do domowego faksu, żeby na pewno przeglądał pierwszy wszelką korespondencję, która przyjdzie na adres do synów.

Może, przyszło jej nagle do głowy, mogłaby przekonać Daniela, żeby przywiózł Robbiego i Mike'a na Florydę, i na moment rozbłysła w niej nadzieja - a potem przypomniała sobie, że po pierwsze, Daniel nie może rzucić pracy ani zabrać chłopców ze szkoły tak blisko końca semestru tylko dlatego, że ich matka ma taki kaprys.

A po drugie, Jerome kręcił się tutaj.

Zresztą ich matka była nie tylko cudzołożnicą, ale i kłamczuchą. Która może nie zasługuje na to, by mieć synów przy sobie.

- Wszystko w porządku - odpowiedział na jej pytanie Daniel. - To dobre dzieciaki, przecież wiesz. Rozumieją, że chcesz spędzić trochę czasu z siostrą i Joshua.

- Jeszcze tylko parę dni - zapewniła.

Może do tego czasu zdobędzie się na odwagę, żeby zmierzyć się z rzeczywistością i wyznać mu prawdę. Postarać się wszystko naprawić. Może Jerome Cooper z podkulonym ogonem wróci do Chicago i nikt z nich już o nim nie usłyszy.

Oby tylko.

37

Barun Adani odwiedził siedzibę policji, żeby zapytać detektywów, czy pomogliby mu załatwić jak najszybsze wydanie zwłok brata.

Sam znalazł pusty gabinet z dala od zgiełku, odrobinę mniej ponury - miał nadzieję - niż pokój przesłuchań. Temat był już dość ponury sam w sobie.

- Wiedzą panowie coś o hinduskich wierzeniach dotyczących śmierci? -

Barun przeszedł od razu do sedna, gdy Martinez przyniósł trzy kubki kawy.

- Załedwie trochę - mruknął Sam i spojrzał na partnera. - Al?

- Nawet mniej - przyznał Martinez. - Przykro mi.



- Wierzimy, a przynajmniej powinniśmy wierzyć, w reinkarnację - wyjaśnił Barun. - W to, że dusza przechodzi po śmierci z jednego ciała do następnego.

W normalnych warunkach, ciągnął, członkowie rodziny odprawiają modły przy zmarłym tak szybko, jak to tylko możliwe, i zgodnie z tradycją ciało poddaje się kremacji w ciągu dwudziestu czterech godzin od śmierci.

- Kiedy ludzie umierają nagle, jak mój brat... - Przez chwilę nie mógł się opanować, spuścił wzrok na dłonie, które trzymał na kolanach, odczekał moment, a potem podjął: - Kiedy zmarły nie miał czasu przygotować się na śmierć, tradycja nakazuje nam porzucić pełny obrządek... chyba po to, żeby nie powstrzymywać powtórnych narodzin.

- A to wszystko sprawia, że wszelka urzędowa zwłoka jest szczególnie dotkliwa - powiedział Sam - ale mogę pana zapewnić, że wszyscy zainteresowani będą...

- Tak, wiem - wszedł mu w słowo Barun. - Wszyscy robią, co w ich mocy, i zdają sobie sprawę, że nie tylko w naszej religii liczy się czas, ale z dnia na dzień coraz jaśniej dociera do mnie, że wszyscy musimy się troszczyć przede wszystkim o swoich. - Zawstydzony potrząsnął głową. - Przepraszam, jeśli to zabrzmiało gburowato.

- Jest pan tylko szczerzy - rzekł Sam.

- Chodzi jedynie o to, że niemożność odpowiedniego pożegnania Sanjiva sprawia, że naszym rodzicom jeszcze trudniej przez to wszystko przejść.

- Musi pan spróbować im wytłumaczyć - Martinez pochylił się do przodu i spojrzał na Baruna ze współczuciem - że to nie są bezsensowne biurokratyczne przeszkody. Chodzi o to, żebyśmy niczego nie przegapili, ani lekarz sądowy, ani my, tak żebyśmy mogli schwytać tego, kto to zrobił pańskiemu bratu.

- Ale moglibyście przynajmniej z nimi porozmawiać? - nie ustępował Barun.

- Oczywiście - zapewnił Sam. - Nie ma problemu.

- i tak chcieliśmy z państwem pomówić. - Martinez pchnął

rozmowę na nowe tory. - Żeby dowiedzieć się trochę więcej o Sanjivie.  
- Im więcej wiemy, tym lepiej - wyjaśnił Sam. - O zwyczajach pańskiego brata, o miejscach, które chętnie odwiedzał, o tym, jak lubił spędzać czas, czy miał jakieś hobby.  
- Chcielibyśmy również sporządzić spis - dodał Martinez -jego ulubionych restauracji, barów, może klubów nocnych, a nawet sklepów, w których zwykle się zaopatrywał.  
- i przyjaciół, o których mogliście zapomnieć - dorzucił Sam - albo starych kumpli, z którymi ewentualnie prowadził korespondencję.  
- Każdego, kto mógłby żywić do niego urazę - powiedział Martinez.  
- Sanjiv nie miał żadnych wrogów - odparł Barun. - Jestem tego pewien.  
- Prawdopodobnie to całkowita racja - przyznał Sam. -Ale staramy się naszkicować obraz życia pańskiego brata, co oznacza dobre rzeczy, zupełnie jednak zwyczajne szczegóły często mogą się okazać równie ważne.  
Czuł do Baruna sympatię, Martinez chyba też. Chociaż nie miało niby żadnego znaczenia, czy lubią pograżonych w żałobie krewnych ofiary, czy nie, prawda była taka, że ta sympatia czasami wzmacniała trochę ich determinację.  
A dla tego faceta i jego rodziny nie robili dostatecznie dużo, na pewno.

38

Po raz pierwszy od otwarcia śledztwa w sprawie zabójstwa Sam wróci! do domu na kolację o rozsądnej porze.  
Claudia, oznajmiła mu Grace, była na pięttrze i leżała w łóżku, powiedziała, że boli ją głowa i nie ma apetytu, a Joshua smacznie spał.  
Sam miał żonę wyłącznie dla siebie.  
- Stęskniłem się za tobą, Gracie. - Oparł się o ścianę obok

niej, przyglądał się, jak miesza sałatkę ze szpinaku, a potem szybko sięgnął po jej lewą dłoń, podniósł ją do ust i pocałował w palce.

- Ja też - powiedziała.

- Jak nasz synek odnajduje się w całej tej atmosferze? -Nadal mówił ściszym głosem.

- Doskonale - odrzekła Grace. - Uwielbia swoją ciotkę, a ona ma z nim bardzo dobry kontakt, uważa, żeby nie okazywać tego, co ją gnębi.

- Claudia jest dobrą mamą - potwierdził Sam.

- Trzy tysiące kilometrów od własnych synów - zauważyła.

- To przygana czy wyraz współczucia?

- Chyba jedno i drugie po trosze.

Stół był już nakryty, więc Sam wziął korkociąg, otworzył czekające sangiovese, powąchał korek i odstawił wino, żeby odetchnęło.

Małżeństwo z dobrą kucharką o włoskich korzeniach nie miało żadnych wad, uznał to już dawno temu, tylko że ostatnio musiał spędzać więcej czasu na ćwiczeniach, żeby zachować choćby jaką taką formę. Ogólnie rzecz biorąc, Grace przywiązywała wagę do tego, żeby ich jedzenie było zdrowe, ale frykasy takie jak dyniowe ravioli albo agnolotti z farszem szpinakowo-serowym, które od czasu do czasu kupowała w Lorenzo's na West Dixie, okazywały się nieprzyzwoicie tuczące i treningi stawały się coraz bardziej forsowne.

Ale nie narzekał. Boże broń.

Pokroił ciabattę, zaniósł pieczywo i sałatkę na stół, nalał wina do kieliszków, a Grace przyniosła resztę kolacji, usiadła z nim i uśmiechnęła się, widząc, że sprawiła mu przyjemność, zobaczyła, że zaczyna się naprawdę rozluźniać, a potem nałożyła sobie porcję na talerz i zaczęła jeść. Jej włosy nadal miały jasnozłoty kolor, wciąż pozostawały w dotyku delikatne jak czysty jedwab, gdy Sam przeczesywał je palcami, na co niezmiennie miał ochotę. Ostatnimi czasy były krótsze niż dawniej, ale wciąż na tyle długie, że mogła je zbierać do tyłu albo

upinać, a każda z tych fryzur zdawała się wyrażać co innego, podkreślała inny aspekt jej osoby. A Sam kochał je wszystkie.

Dziś wieczorem upięte w niedbały kok, z kilkoma kosmykami, które się wymknęły i opadały na kark. Seksowna jak diabli.

- Wspaniale - powiedział.

- To dobrze. - Zrobiła polpettone, toskańskie kotlety mielone, które przyrządzała zazwyczaj na poprawienie nastroju. - Chociaż właściwie zrobiłam je z myślą o Claudii.

Sam wrócił myślami do tej nieprzyjemnej sprawy, napił się wina.

- Nadal nie chcesz, żebym ścigał Coopera?

- To właśnie problem, prawda? - powiedziała. - Może i nazywa się Cooper, ale jest również Luccą.

- To znaczy? - spytał Sam. - Nie chcesz chyba chronić tego oślizgłego padalca.

- Jasne, że nie - odparła. - Nie chcę tylko mieć do czynienia z Frankiem. Nie ja jedna.

- Znam waszą opinię w tej sprawie - powiedział. - Ale jeżeli to się nie skończy, jeśli Cooper wróci, to możliwe, że nie będziemy mieli specjalnego wyboru.

Grace podniosła do ust widelec z kawałkiem kotleta.

- Myślisz, że on wierzy w to, co powiedział: że jesteśmy mu coś winne? - Odłożyła widelec, nie tknąwszy kęsa. - Czy on naprawdę myśli, że jemu i Roxanne byłoby lepiej, gdybyśmy z Claudią zostały w Melrose Park?

- Mam w nosie, co sobie myśli - odparł Sam - o ile już więcej się do nas nie odezwie. - Jadł przez dłuższą chwilę milczenia, potem wytarł sos z talerza kawałkiem ciabatty. - Muszę przyznać, że wolałbym, by nie hasał tutaj na wolności.

- Dlatego, że to świr? Czy dlatego, że myślisz, iż go wkurzyłeś?

Sam popatrzył na Grace.

- Uważasz, że niepotrzebnie skopałem mu tyłek?

- Uważam... wiem, że należał mu się kopniak. - Zawiesiła

- głos. - Ale mnóstwo świrów chodzi z nożami albo pistoletami.
- Nie powinienem był go poniżyć - przyznał Sam. Spojrzała na niego i zmarszczyła czoło.
  - Myślisz, że może być naprawdę niebezpieczny?
  - Wątpię - odparł. - Ale chcę mieć oko na nas wszystkich, póki nie upewnię się, że opuścił miasto.
  - A ja myślę - powiedziała Grace - że nie będzie mi z tego powodu przykro.

39

*11 czerwca*

W środę, dziesięć minut po północy Cal siedział w zapyziałej norze na tyłach Collins, prawie gotów do wyjścia na miasto.

Znowu cały srebrny. Wyglądał naprawdę dobrze.

Wcześniej wziął swoje rzeczy z „Dzieciny”, bo zdał sobie sprawę, że po prostu nie wytrzyma dłużej. Przyniósł farbę do twarzy i srebrzysty cień do powiek, specjalne ubranie i buty. I oczywiście „Daisy”, która może ściągała na niego nieco więcej uwagi, niżby należało, kiedy skręcił w uliczkę i otworzył drzwi do swojej parszywej dziury.

Nawet w przybliżeniu nie tyle uwagi, ile zamierzał przyciągnąć później.

Nie wszystkich kręciła jazda na rowerze, ale tych rozrywkowych owszem, tych, którzy byli warci zachodu, tak.

Więc dość już gnicia w tej norze, dość czekania.

Cała aż skręcało, żeby znowu poprzehadzać się swoim krokiem. Znaleźć sobie tego jednego.

A potem pojechać na pokład „Dzieciny”.

Przyjąć i dać rozkosz.

Postanowił ruszyć prosto do Ménagerie przy Washington Avenue, częściowo dlatego, że lokal był otwarty codziennie w nocy oprócz poniedziałku i zawsze pękał w szwach,

ale głównie dlatego, że ostatnim razem dopisało mu tam szczęście. Ta myśl trochę nim wstrząsnęła, zaczął się zastanawiać, co o nim właściwie mówi fakt, że uznał tamten ciąg zdarzeń za szczęśliwy. A potem postanowił się nad tym dłużej nie zastanawiać. Życie polega na dokonywaniu wyborów, a każdego kręci co innego. Cal nigdy nie miał zbyt wielkiego wyboru. Ale teraz było inaczej. I on był inny. Zmieniał się coraz bardziej z dnia na dzień. Z nocy na noc.

40

Sam nie mógł zasnąć, często miewał z tym kłopoty we wczesnej fazie śledztwa, zwłaszcza kiedy ślimaczyło się tak jak to. Po części problem polegał na tym, że dochodzenie tak krótko pozostawało *nowe* - a oni mieli już za sobą te pierwsze, kluczowe siedemdziesiąt dwie godziny od wykrycia przestępstwa, co zawsze źle wróżyło sprawie.

Byli winni Sanjivowi Adanemu więcej.

Grace mocno spała, co cieszyło Sama i Bóg mu świadkiem, że lubił Claudię, ale martwił się, że cała afery źle się odbije na psychice Grace właśnie teraz, gdy żona zaczęła stawać na nogi, więc miał cichą nadzieję, że szwagierka może już niedługo poczuje się gotowa, by wrócić do domu. Wstał tak cicho, jak mógł, włożył szorty i koszulkę i wymknął się do pokoju dzieciennego, żeby nasycić oczy widokiem Joshuy Jude'a Becketa. Tylko że ciotka Claudia go ubiegła i stała już nad kołyską.

Sam zatrzymał się w drzwiach, żeby nie przeszkadzać, ale Claudia już go zobaczyła.

- Proszę - szepnęła. - Nie zwracaj na mnie uwagi.

Wszedł do środka i przez kilka chwil oboje wpatrywali się w małego chłopczyka, pogrążonego głęboko we śnie idealnej niewinności, z rozchylonymi lekko miękkimi, dziecinnymi ustami, rozrzuconymi ramionami i dłońmi zwróconymi ku górze.

Jeszcze żadnych lęków w tym słodkim, ufnym człowieczku. Nawet gdy nieznanymi przychodzili z wizytą albo przystawali, żeby spojrzeć na niego zza drzwi, Joshua najczęściej albo po prostu się uśmiechał, albo patrzył na nich z lekkim zainteresowaniem, a czasem wręcz z otwartym zaciekawieniem.

„Miej go w opiece” - modlił się po cichu Sam każdej nocy.

Claudia uśmiechnęła się do niego i zobaczył łzy w jej oczach.

Poczuł wyrzuty sumienia, że chciał się pozbyć szwagierki.

- Filiżankę herbaty? - zapytał ściszym głosem. Pokręciła głową.

- Spróbuję teraz zasnąć.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

- Coraz lepiej - odparła.

Ale kiedy tak patrzył na nią, mimo słabego, rozproszonego światła, nie do końca jej wierzył.

41

Wnętrze Menagerie falowało.

Wszędzie ciała wijące się w rytm huczacej muzyki, dziewięćdziesiąt procent mężczyzn - młodych, w średnim wieku, starszych, czarnych, białych i we wszystkich odcieniach pośrednich. Dobra zabawa.

Cal był tu od jakiegoś czasu i oczywiście wokoło nie brakowało towaru, ale na razie nikt nie wpadł mu szczególnie w oko. Pił taakę dry, która miała podobno smakować jagodami jałowca. Oczywiście wolałby sączyć tanqueray, tylko że przy

kosztach przystani dla „Dzieciny”, by nie wspomnieć o wynajmie zasyfionej dziury i braku nocnych numerków, miał chyba szczęście, że w ogóle stać go było na jakiś dzin.

Poza tym szczęście miało się właśnie do niego uśmiechnąć, bo patrzył na niego jeden facet.

Naprawdę patrzył.

Zupełnie nie w jego typie. Nie ma mowy. Ale coś między nimi zaiskrzyło, jakaś chemia. A jeśli gość miał portfel wypchany tak bardzo jak portki...

Cal wychylił resztę taaki, spojrzął powłóczyście prosto w ciemne oczy faceta, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył swoim wolnym krokiem.

Szedł tak, nie zatrzymując się, aż wyszedł z baru do przedsiionka, a potem przez drzwi na gorące nocne powietrze.

A jeśli facet nie szedł teraz za nim, ciągnięty jak na holu przez chłoptasia-kochasia, to Calowi wyrośnie przysłowiowy kaktus.

„Jest, idzie”.

Ciągnął go na holu, a później będzie ciągnął coś jeszcze.

42

Mildred nie mogła spać.

To była jedna z tych nocy, kiedy po prostu ją nosiło. Zwykle szum oceanu, mieszający się z ciągłym dudnieniem muzyki na South Beach, kołysał ją do snu, ale raz na jakiś czas robiła się niespokojna. Trochę tak, jak mawiała kiedyś jej matka: „wierciła się, jakby miała owsiki”, ale też nie do końca tak.

Ten niepokój łączył się z większym rozdrażnieniem.

A poradzić sobie z nim mogła tylko w jeden sposób: wstać i pójść na spacer.

Kiedy była młodsza, miała większą werwę i lepiej wyglądała, za dnia pływała w morzu, ale odkąd się zestarzała i pomarszczyła, wołała pływać po zmroku, pewnie było wbrew



przepisom, ale mniej rzucała się w oczy. Jednak ostatnimi czasy, utraciwszy dawną żwawość, chodziła tylko na spacer, czy to w dzień, czy w nocy.

Zresztą bez względu na to, jak dalece Mildred była pogodzona z własnym losem, uważała, że każdy od czasu do czasu potrzebuje małej zmiany scenerii. Więc tak jak inni ludzie oglądała witryny sklepów i pod koniec godzin otwarcia brała coś na ząb w lokalach, które regularnie odwiedzała, w większości na Washington Avenue między Siódmą i Jedenastą Ulicą. Bóg świadkiem, że tym niedojedzonym tacos i kanapką lepiej było w jej żołądku niż w śmietniku, od czasu do czasu zaś Mildred lubiła pozalać drobne sprawunki dla tych dobrych ludzi, którzy ufali jej na tyle, by powierzyć listy do wysłania, a nawet ubrania, które należało zanieść do pralni, no bo przecież bez odrobiny wzajemnego szacunku świat nie mógłby się kręcić. Chociaż niekiedy ludziom, którzy widzieli, jak wchodzi do pralni z sukienkami albo garniturami któregoś z regularnych klientów, rzędyły miny. Ale Mildred nie czuła się urażona, o nie, po prostu ją to bawiło.

Nigdy natomiast nie grzebała w śmietnikach.

-Już nigdy więcej - obiecała Donny'emu dawno temu, pewnej nocy na ulicy, gdy wyobraziła sobie, że ją obserwuje z żalem, a może nawet ze złością, że upadła tak nisko.

Kiedy nie miała wyboru, korzystała z garkuchni. To samo ze schronami huraganowymi, ale tylko raz spała w schronisku dla bezdomnych i mimo że tamci ludzie byli dla niej mili, jej głupia duma ciężko to przeżyła i między innymi z tego powodu trzymała się w pobliżu Miami Beach, bo przynajmniej, rozumowała, nie umrze z zimna.

Boże, nie cierpiała zimna, od zawsze.

Wlokąc się noga za nogą po kamiennym chodniku tej nocy, miała nadzieję, że nie będzie musiała iść za daleko, zanim zmęczy się na tyle, by wrócić na swoją ławkę i zasnąć, bo odciski były bardzo bolesne, a i kolana nie te co kiedyś.

Zresztą nic nie było takie jak kiedyś.

- Mów mi Kocur - powiedział facet na chodniku. Dziwna pierwsza odzywka, pomyślał Cal, chociaż może było coś kociego w ruchach mężczyzny, całego brązowego w wyglądającej na jedwabną koszuli, obcisłych spodniach i drogim skórzanym pasku, i przypomniało mu się, że widział raz kota o futerku w kolorze czekolady, trochę jak ten facet.

Dobry Boże, Jewel plułaby jadem, gdyby go teraz zobaczyła.

- Jestem Cal - odparł i wyjaśnił: - To zdrobnienie od Kaliguli.

Tamten uśmiechnął się z rozbawieniem.

- Podoba mi się - powiedział. - Ale żeby nie było niedomówień, nie zamierzam płacić.

Byli wciąż przed Menagerie, obok wchodzili i wychodzili klienci.

Cal milczał przez chwilę, zawiedziony i trochę wkurzony, bo faceta było stać na zapłacenie.

- Bez urazy - dodał Kocur - ale nie muszę płacić za to, co możesz mi dać.

- Byłbyś zaskoczony - odparł Cal - co mogę ci dać.

- Nawzajem - powiedział tamten. - Wierz mi.

Błysk czarnych oczu wywołał ostrą reakcję w lędźwiach Cala, który nagle zdał sobie sprawę, że pieniądze go nie obchodzą.

- Weźmiesz mnie pod rękę? - zapytał.

- Mogę wziąć - zgodził się Kocur.

Spacerowali teraz wzdłuż Washington, najpierw obok Mansion (dziś wieczorem zamknięte, co wcale Calowi nie przeszkadzało, bo

nienawidził tego typu facetów, którzy stoją w kolejce i godzą się na to, że wykidają wybiera, kogo wpuścić, a kogo nie, a potem bulą grubą forszę, żeby wypić drinka w tłumie turystów), później minęli wielką białą sie-

dzibę policji na rogu Jedenastej Ulicy i znaleźli się niedaleko jego parszywej nory - ale wcale tam nie szli, o nie. Tak czy inaczej, Calowi szumiało przyjemnie w głowie, kiedy sobie pomyślał, że ma kryjówkę tuż pod nosem gliniarzy. Ale też właśnie z tego powodu zostawił „Daisy” przypiętą łańcuchem aż trzy przecznice od Menagerie: gdyby postawił ją za blisko klubu, to trochę tak, jakby zostawił wizytówkę, bo ktoś mógłby ją zauważyć tamtej nocy, a gdyby postawił ją za blisko posterunku policji, to po prostu sam prosiłby się o kłopoty.

- Więc dokąd idziemy? - zapytał nieznajomy.

Pachniał czymś, co kojarzyło się Calowi z jaśminem, a chociaż nie umiał rozpoznawać perfum, wiedział, co mu się podoba, i ten miły zapach wydał mu się dodatkowym plusem, więc przystanął i pocałował Kocura w usta, i przekonał się, że smakuje jackiem danielsem, za którym Cal nigdy nie przepadał, ale z drugiej strony, zdarzało mu się całować obcych, którzy smakowali znacznie gorzej.

- Na moją łajbę. - Cal ruszył dalej. - Jeśli ci to pasuje.

- Masz łódź? - Kocur uśmiechnął się i ścisnął ramię Cala trochę mocniej.

- Mały jachcik - wyjaśnił Cal. - Nic szpanerskiego, ale cały mój.

- Łajby mnie podniecają - oświadczył Kocur.

I Cal zdał sobie sprawę - nie po raz pierwszy, chociaż chyba zawsze cholernie się starał to stłumić - że czarni mężczyźni podniecają go bardziej niż biali obojga płci, i rozbawiło go to, bo Jewel byłaby strasznie oburzona, gdyby się dowiedziała, ale jednocześnie zaczęła w nim buzować dziwna, głęboka wściekłość.

- A rowery? - zapytał, widząc z przodu „Daisy”, tam gdzie ją zostawił, przykutą łańcuchem do czarnej latarni przed sklepem z drogimi ciuchami. Kocur parsknął śmiechem.

- Ostatni raz jeździłem na rowerze, kiedy miałem dziesięć lat.

- Przypomnisz sobie - powiedział Cal, otwierając kłódkę. - A ja wezmę na siebie większość pedałowania.

- W czymś takim? - Mężczyzna spojrział na buty na koturnach.

- Z łatwością. - Cal poklepał przednie siodełko, przypomniawszy sobie, co mówił o nim facet, który sprzedał mu rower z trzeciej ręki w Wilmingtonie. „Wypełnione żelazem” - powiedział. - „Bardzo wygodne”. Jego nowy znajomy przełożył nogę przez górną rurkę ramy. - Więc wszyscy na pokładzie - powiedział.

I właśnie wtedy Cal ją zobaczył.

Bezdomną staruchę - śmierdzące stare ptaszysko - znowu! Dreptała wzdłuż Washington Avenue, jakby miała nie mniejsze prawo tu być niż ktokolwiek inny, jakby miała normalne życie i dom, a nie tylko jakąś ławkę.

Cal nie lubił zbiegów okoliczności.

A jeśli nie była wykolejoną staruchą, jaką się wydawała, tylko glina w przebraniu?

Ale zauważył ją na mieście już kilka razy, poczuł od niej smród, więc jeśli nie była prawdziwą bezdomną, to on był pierdoloną zakonnica.

- Co tam? - spytał Kocur z tylnego siodełka, gotowy do drogi.

Cal podszedł bliżej, wziął jego brązową dłoń i przyłożył do swoich spodni.

- Tylko to - powiedział, wyrzucając starą kobietę z myśli.

- Nie tylko - odparł tamten.

Jego oczy były głębokie i ciemne jak noc, zauważył z bliska Cal, i czaiło się w nich coś takiego, że... aż drżał.

44

Mildred wracała na swoją ławkę, żałując, że znów go zobaczyła.

Jeszcze bardziej zaś żałowała, że i on zobaczył ją. Był za daleko, po przeciwnej stronie ulicy, żeby mogła dojrzeć jego

oczy, ale czuła ich spojrzenie, bez wątpienia, czuła w nich brak szacunku, a może nawet, zdawało jej się, antypatię.

Może coś jeszcze gorszego.

Znów cały srebrny dzisiaj.

Odjechał w noc z tym gustownie ubranym młodym Murzynem.

Zastanawiała się nad nim, zastanawiała się, jak dobrze tamten zna jej „anioła”.

Nie dość dobrze, podejrzewała, i bała się o niego, chociaż trudno jej było stwierdzić właściwie dlaczego.

Mildred miała nadzieję, że jednak się myli.

Ale jednocześnie żałowała, że znowu się na niego natknęła.

45

Cal i Kocur jechali Alton Road, ruch był niewielki.

- Jak daleko jeszcze? - zapytał Kocur.

- Tylko kilka przecznic - odpowiedział przez ramię Cal.

- Nadal nie kapuję, dlaczego zostawiłeś to cholerstwo tak daleko od klubu, zwłaszcza że to nie było nawet po drodze.

- Rower nazywa się „Daisy” - odparł Cal przyjaznym tonem. - Potrzebuję ruchu.

- Tak, tak - odparł Kocur.

- Podróż trochę potrwa, ale będzie warto - zapewnił Cal.

- Mam nadzieję - powiedział tamten.

Kiedy mijali pięć kolejnych przecznic, nic nie mówił. Milczał nadal, kiedy Cal skręcił w Szesnastą Ulicę.

- Jak tam? - spytał Cal.

- Nudzi mi się - odrzekł Kocur.

Dwa zakręty dalej Cal zobaczył po prawej ulicę, przy której mieszkał jego pierwszy przyjaciel.

- Równie dobrze moglibyśmy pojechać do mnie - powiedział tamten pierwszy.

- Ale ja mam łódź - poinformował Cal.
  - A ja mam wygodne łóżko - odparł tamten - tuż za rogiem.
  - Mój jacht jest bardziej sexy - nie ustępował Cal i pedałowal dalej.
- I tamten przestał dyskutować, postanowił popłynąć z falą.  
Teraz już tylko prosto, obok znaku „brak przejazdu”.  
Odgłos wody był uspokajający i zachęcający. I odgłos łodzi kołysanych jak niemowlęta, gdy o kadłuby z cichym pluskiem obijały się fale.  
Miło i spokojnie dziś w nocy.
- Jesteśmy prawie na miejscu - oznajmił Cal.

46

Nie tego się spodziewał.

Chociaż nie, to kłamstwo. Właśnie to przewidział - może tylko nie szybkość, z jaką wszystko się wydarzyło.

Myślał, że najpierw będzie chuć, jak ostatnim razem. Trochę zmysłowości, baraszkowanie na nowej kołdrze - którą tak naprawdę kupił po to, żeby się na niej pieprzyć, a nie spać.

Nawet nie w tym celu, jak się okazało.

- O - zdziwił się Kocur, kiedy zeszli po schodkach do maleńkiej, ciemnej, klaustrofobicznej kabiny.

Cal, który stał za nim trochę przygarbiony ze względu na swój wzrost, zapalił światło i popatrzył na rząd zasłoniętych bulajów.

- Nic specjalnego, wiem - powiedział skromnie.

- Co prawda, to prawda - odparł tamten.

Co po całym gderaniu podczas jazdy do reszty Cala wkurzyło.

Sznur leżał na ławie, gotowy do użycia, na pozór tak nieszkodliwy jak tłusta kosmata gąsienica w śpiączce.

Cal nie był pewien, czy zostawił go tam umyślnie, kiedy przyszedł po ubrania i farbę do ciała, i teraz nie miało to chyba znaczenia.

Liczyło się to, że sznur czekał na swoim miejscu.

Więc kiedy w Calu wezbrała złość, gorąca i skłębiona niczym kipiąca woda, a tamten wciąż stał tuż przed nim, Cal zareagował bez namysłu.

Wziął sznur.

*Teraz.*

Płynnie i bez szarpnięć, ruchem pełnym swoistej gracji, niczym kowboj chwytający na lasso rumaka, zarzucił białą pętlę sznura przez ciemną głowę na żyłastą szyję i szarpnął tak mocno, że tamten stracił równowagę. I poszło mu łatwo, bo facet był rozluźniony, wierzył, że Cal go pragnie.

Łatwizna.

Zupełnie jak ostatnim razem.

Trudniej jednak opisać resztę, samo zabijanie: Cal pomyślał, że może z czasem zechce udokumentować je w Epistole, ale niełatwo będzie przenieść to na papier.

Ten potężny pomruk, który przez niego przebiegł, przypływ mocy, w której zupełnie się zatracił, prawie jakby był dziką, drapieżną bestią albo harleyem, albo cholernym myśliwcem odrzutowym...

Już nie człowiekiem.

Zabójcą.

Tylko że teraz, po fakcie, miał u stóp trupa, prawda? Martwego faceta, który leżał twarzą w mięciutkiej nowej kołdrze Cala, teraz utyłanej, bo podczas gwałtownej śmierci z ciała wypływają rozmaite płyny, i to znowu go wkurzyło.

„Brzydzę się tobą”.

Tak powiedziała mu Jewel za pierwszym razem, gdy zobaczyła, jak rozmawiał z czarnoskórym człowiekiem na ulicy.

- Brzydzę się tobą - powiedział teraz Cal do trupa. „Wiesz, co muszę teraz zrobić” - powiedziała mu później,

kiedy byli sami.

- Wiesz, co muszę teraz zrobić - powiedział do Kocura.

Który nic nie mówił, nic nie robił, tylko leżał w bezładnym barłogu.

Tamtego dnia Jewel najpierw go wychłostała. Ale Cal nie miał bicia.

A po chłości pocałowała go i oczyściła świeże pręgi na plecach, piersi i brzuchu, na ramionach i nogach chlorowym wybielaczem, który parzył mu skórę, szczypał w oczy, drażnił drogi nosowe, drapał w gardło i dławił. Od tamtej pory, jeśli zdarzyło mu się wrócić do domu choć trochę zabrudzonym, rozkazywała mu wejść do wanny - a czasem sam głos Jewel przy wydawaniu rozkazu wystarczał, by Cal zadrżał z podniecenia - potem szorowała go aż do krwi, a czasem - ponieważ nie cierpiała owłosienia na ciele, chciała go ogolić, a jeśli się wyrywał, zawsze kończyło się na zacięciach i te rany trzeba było zdezynfekować wybielaczem. I wiedział, że mógł być, powinien być ją powstrzymać, ale Jewel zawsze mu wmawiała, że jeśli ją skrzywdzi, ona dopilnuje, żeby zamknęli go w jednym z tych przybytków, gdzie mieszkają *oni*, a przecież wie, co by się z nim wtedy stało.

„Więc znieś to jak mężczyzna” - mówiła mu.

- Więc znieś to jak mężczyzna - powiedział teraz Cal Kocurowi.

Włożył nowe rękawiczki i maseczkę, a potem rozebrał Kocura, rozpiął mu brązową jedwabistą koszulę, zdjął mokasyny od D&G, odpiął sprzączkę wspaniałego paska, rozsunął rozporek i ściągnął spodnie. I pocił się, gdy zdejmował trupowi bordowe majtki, ale przypomniał sobie - bo nawet wtedy jego umysł pracował - że własne ubranie też musi ochronić, też musi odłożyć je do schowka, prawda? I teraz uwijał się z tym bardzo szybko, pocąc się jak mysz, bo tu, na dole, było cholernie gorąco, wręcz duszno, ale był już prawie gotowy do następnego etapu i sięgnął po duży, ośmiolitrowy plastikowy baniak, odkręcił grubą zakrętkę...

Od smrodu zebrało mu się na wymioty, tak jak zawsze, ale potrzeba już w nim narastała, już pulsowała mu w ciele, nie mógł jej dłużej powstrzymać, no więc podniósł pokrytą



ludzkimi strzepami szczotkę i ukląkł obok nagiego ciała nieżywego mężczyzny. Jedno pociągnięcie.

Sam początek sprawił, że ogień w środku rozpalił się mocniej.

Nie mógł się już opanować.

Musiał to robić dalej, musiał, po prostu musiał.

O Jezu, tak.

47

Gdy Mildred wróciła na ławkę, zrobiło jej się zimno.

Dziwne, bo raczej nie miała gorączki, a noc była szczególnie ciepła i powietrze bardzo wilgotne.

Mildred nigdy nie chorowała, nie pamiętała nawet, kiedy ostatnim razem pociągnęła nosem. Ale dziś w nocy, siedząc tutaj, w miejscu, które stało się jej domem, w tym gościnnym, przyjaznym zakątku, gdzie często wyobrażała sobie, że sama noc otula ją niczym ciepły koc i chroni...

Dzisiaj była zrozpaczona i tak samotna, że nie rozmawiała nawet z Donnym.

Samotna jak śmierć.

i tak zziębnięta.

48

Cal nigdy nie zrobił nic gorszego.

Przestał jakiś czas temu, omdlewając i dygocząc z wycieńczenia, a potem zobaczył, co zrobił, i z wymiotował. Później wziął szczotkę - okrytą mniej więcej tysiącem strzepów człowieka, który nazywał się Kocur, oblepioną jego skórą, ciałem i krwią - i zaczął wymierzać nią sobie karę.

Ukośnymi pociągnięciami przez klatkę piersiową, od lewego barku - z ominięciem serca ze względu na tatuaż - aż do brzucha.

Rozdrapywał swoje ciało.

Brakowało mu siły, żeby wykonać robotę porządnie, jak zrobiłaby to Jewel.

A potem w ogóle przestał, bo odzyskał świadomość.

Świadomość upływającego czasu.

Świadomość, że na kołdrze u jego stóp leży martwy mężczyzna.

- Sto jeden rzeczy do zrobienia z martwym Kocurem - powiedział na głos, parafrazując chyba tytuł jakiegoś starego bestsellera.

I poczuł nagłą odrazę do własnej nonszalancji.

Mierziła go bardziej, zdawało mu się, niż sam postępek.

Choć może tylko w ten sposób mógł sobie poradzić z tym, co wciąż miał do zrobienia.

Najlepiej nie myśleć o tym za wiele, uznał, nie myśleć o żadnej z tych spraw. Ani o zabójstwie, ani o kradzieży stu osiemdziesięciu zielonych z należącego do Kocura-sknerusa portfela od Gucciego (zastanawiał się przez moment, czy wziąć sobie także kondomy Okamoto, ale z jakiegoś powodu pomyśl go odstręczał, zresztą i tak wołał prezerwatywy Trojan, cieszące się „największym zaufaniem Ameryki”).

O tym też najlepiej nie myśleć.

Przede wszystkim o premedytacji, z jaką to wszystko zrobił.

Nie tylko o sznurze zostawionym pod ręką wraz z resztą potrzebnych rzeczy, ale także o fakcie, że obmyślił zawczasu, co zrobi później.

Był przygotowany lepiej niż poprzednim razem, chociaż plan wciąż był niedoskonały.

W każdej chwili można było Cala przyłapać albo schwytać.

Niebezpieczna gra.

Poprzednim razem miał więcej szczęścia niż rozumu.

Pociągnął solidny łyk bombay sapphire z butelki, którą jeszcze od Wilmingtonu trzymał na specjalną okazję, a póź-

niej zawinał zwłoki w kołdrę, wziął dwa kawałki nylonowej liny cumowniczej ze schowka, związał cały tłumok i poczuł ogromną ulgę, gdy głowa trupa zniknęła mu z oczu - na stopy i kostki jakoś łatwiej mu było patrzeć: nie były tak niepokojące, jeśli już, to raczej żałosne, niemal śmieszne. Biedny sukinsyn.

Złość na Kocura prawie zupełnie mu już przeszła.

Poprzednim razem wypłynął „Dzieciną” z przystani i jakimś cudem mu się udało, bo o ile wiedział, nikt w ogóle nie zwrócił na niego uwagi, kiedy w środku nocy zapuścił silnik, a jako amator miał szczęście, gdyż manewrowanie jachtem po ciemku to niełatwa sprawa: trzeba było trzymać się w obrębie pogłębionych kanałów, oznaczonych przez Straż Przybrzeżną, żeby nie utknąć na mieliźnie. Cal dziękował tamtej nocy za wiele: głównie jednak za kilkugodzinny kurs sterniczny, który wykupił razem z jachtem, a także za to, że jego umysł okazał się znacznie bystrzejszy, niż mu się zdawało - a na pewno o wiele bystrzejszy, niż zawsze twierdziła Jewel.

Nie wystarczyło nauczyć się, jak się steruje łodzią. Trzeba było pamiętać, że reguły żeglugi oceanicznej i w zatoce Biscayne, na śródlądowym szlaku wodnym i w porcie Miami wymyślono po to, żeby każda łódź, włącznie z twoją, przetrwała rejs w jednym kawałku.

Należało też zwracać uwagę na zmiany pogody, na wielkie statki i jachty za dziesiątki milionów dolarów, na żaglówki i pływaków, i delfiny, nawet na cholerne manaty pod ochroną - a przede wszystkim na Straż Przybrzeżną i inne patrole morskie.

Na przedstawicieli prawa.

Zwłaszcza gdy miało się świeżo zamordowanego człowieka na pokładzie. Kiedy Cal teraz o tym myślał, wydawało się mu, że gdy ruszał wtedy w rejs, zamierzał wypłynąć na pełne morze i wyrzucić zwłoki za burzę. I rzeczywiście tak zaczął, sunąc po falach bez wahania tuż pod nosami wszystkich miliardarów ze Star Island, a nawet z całkowitym spokojem, jakby nigdy nic, przemknął przez kanał Government Cut - z twarzą

i włosami nadal w srebrze i z martwym facetem na pokładzie, na litość boską...

A potem zobaczył łódkę, oświetloną na moment albo dwa przez księżyc, przywiązaną do żaglowca, który stał na kotwicy sam jak palec pośrodku morza, i zdaje się, że nikt jej nie pilnował, może oprócz Boga, ale Cal przypuszczał, że i On odwrócił wzrok. Opuścił kotwicę łapę („opuszczaj cholerstwo - przestrzegł go nauczyciel - i nigdy nie rzucaj”), po czym podpłynął wpław do szalupy i odciął linę nożem sprężynowym.

Mała pomalowana na różowo łódka była teraz jego.

Wtedy miał wrażenie, że to genialny pomysł, pamiętał to teraz, ale przy wykonaniu o mało nie wyzionął ducha z napięcia i od niesamowitego wysiłku, jakiego wymagało przymocowanie łódki do „Dzieciny”, żeby później podnieść kotwicę, wypłynąć dalej w morze i zabrać się do rzeczy: opłukać trupa, a potem przerzucić martwy ciężar przez burtę jachtu. I od tego fizycznego wysiłku aż zwymiotował, a serce waliło mu tak mocno, że myślał, że umrze, ale jednak przeżył.

Więc nie tylko bystrzejszy, ale i silniejszy.

Prawie żałował, że nie może opowiedzieć o tym Jewel.

Prawie.

Mogło nie wyjść tak, jak wyszło. Facet mógł w ogóle nie wpaść do łódki albo przewrócić ją do góry dnem, albo wręcz roztrzaskać, ale wtedy i tak trafiłby na dno morza, wykony-pował Cal, więc i tak dobrze, i tak. W pewnym sensie.

I udało się znakomicie.

Tym razem postępował ostrożniej. Miał komplet ubrań na zmianę - czarną koszulkę z krótkim rękawem, szare szorty i tenisówki - płyn do demakijażu ze względu na srebrne cienie na powiekach, mydło i krem nawilżający na twarz i całą resztę. Zamknął na skobelek drzwi u szczytu schodów - chociaż nawet kłódka nie powstrzymałaby gliniarzy przed wejściem, gdyby ktoś ich wezwał, ale Cal był w gruncie rzeczy optymistą.

I może po trosze hazardzistą.

W tej na przykład chwili obstawiał, że martwy Kocur, nie sprawiając kłopotów, poczeka na pokładzie „Dzieciny”, podczas gdy on sam pójdzie znaleźć następną łódeczkę, a w oko wpadło mu wcześniej kilka pontonów, przywiązanych do większych jednostek na tyłach apartamentowców parę przecznic dalej na południe.

Bingo.

Nie jeden, lecz dwóch odpowiednich kandydatów. Jeden wyglądał na droższy, więc istniało większe prawdopodobieństwo, że ma alarm. Drugi, znacznie bardziej niepozorny, z parą wiosł i silnikiem - nawet nieprzywiązany był do innej łodzi, tylko przycumowany do słupka.

Kaszka z mleczkiem.

Odczekał chwilę, rozglądając się i nasłuchując. Cicho i spokojnie.

Podjąwszy decyzję, przykucnął, żeby odwiązać linkę, i nagle naszła go myśl, że może powinien zachować ponton dla siebie, Kocura wyrzucić jednak do morza i odpłynąć „Dzieciną” z porządnym pontonikiem jako dodatkowym zabezpieczeniem.

Ale plan to\* plan. I jeżeli wszystko pójdzie równie dobrze jak poprzednim razem, to Cal nie mógł się już doczekać, co się stanie, kiedy znajdą tego trupa.

Jeżeli go znajdą. Może być inaczej, duża fala na przykład wywróci ponton i Kocur zatonie bez śladu, co też byłoby w porządku, na swój sposób.

Bezpieczniejsze, bez dwóch zdań, dla Cala.

Ale nie tak interesujące.

Euforia niosła go i dodawała mu sił aż do samego finiszu, ciągle narastająca radość z własnych dokonań, jakiej nie zaznał nigdy wcześniej, nawet lepsza niż ostatnim razem, ponieważ napięcie i ta szczypta szczęścia nowicjusza przyprawiły smak sukcesu lekką goryczką - ale tym razem naprawdę wiedział, co robi.

Po ciemku powiosłował pontonem do przystani Flamingo i „Dzieciny”, a potem przywiązał linkę do knagi.

- Knaga - powiedział na głos. - Knaga-laga. - Wpadł na pomysł, żeby przerobić tę zbitkę na przyśpiewkę do stepowania, jak kiedyś z „epistołą apostoła” - Knaga-laga, knaga-laga - ale to nie była pora na śpiew i tańce. Musiał się zamknąć i skoncentrować. Wszedł na pokład jachtu i - o kurde - robił się z niego taki marynarz! Może powinien się nająć do roboty jako majtek.

Seksowny majtek, do pomocy na pokładzie i w koi.

Ale czas uciekał, noc nie będzie trwała wiecznie, a na przystaniach dzień zaczynał się wcześniej, więc Kocura trzeba było wyprawić z pokładu „Dzieciny” na morze jeszcze przed świtem, dlatego Cal po raz kolejny wykazał się nową, wspaniałą samodyscypliną, odbił od kei, zapuścił silnik jachtu i ostrożnie wypłynął, a gdyby choć musnął teraz odbijacz któregoś z łodzi, możliwe, że śniadanie szamałby zapuszkowany w pieprzonej celi...

Ale nic takiego się nie stało. A potem przepłynął między bojami w zatoce, pod mostem Wschodnim Grobli Julii Tuttle powoli i spokojnie.

Poskramiając chęć przyśpieszenia, pozegłował „Dzieciną” wokół wyspy La Gorce i pod Groblą Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy w kierunku Kanału Bakera przy Haulover, bo przepłynięcie przez Government Cut bez przeszkód ostatnim razem trochę za bardzo zawdzięczał fartowi, a Przesmyk Bakera miał bardziej wartki prąd, ale oprócz tego był bezpieczniejszy, przynajmniej dla Cala. A potem, kiedy opuścił kotwicę na Atlantyku, najwięcej groziło jego plecom i ramionom - a może przede wszystkim umysłowi - gdy musiał wnieść bezwładne ciało po cholernych schodkach, odwinąć kołdrę, obnażając tę nagą, poranioną *martwość*, później opłukać je szlauchem na pokładzie, zanim zepchnął trupa do pontonu, ale w końcu wykonał całą robotę, i to naprawdę dobrze.

- i kto jest teraz durniem, Jewel? - wykrzyknął w mrok nocy.

Nie usłyszał go nikt poza ptakami i rybami. I może Bogiem.

127

Grace zeszła z Joshuą na parter parę minut po siódmej i znalazła liścik od Claudii, który stał oparty o słoik marmolady na kuchennym stole.

*Najdroższa Grace!*

*W środku nocy podjęłam decyzję o powrocie, a wiedziałam, że gdybym poczekała, żeby omówić ją z Tobą, pewnie zdążyłabym się rozmyślić, a potem może już nigdy nie zebrałabym w sobie odwagi, żeby zrobić to, co powinnam. Kocham Was wszystkich i dziękuję Ci z całego serca.*

*Twoja Claudia*

Grace wybuchnęła płaczem, przez co Joshua też się rozplakał.

- Och, przepraszam, kochanie - powiedziała do niego i stłumiła łzy, żeby go pocieszyć. - Już dobrze, maleńki. Mamusi nic nie jest. - Grzbietem dłoni wytarła oczy, a potem pocałowała go w czubek nosa, co często rozśmieszało malca.

Tym razem nie było mu do śmiechu, jej zresztą też.

Poczekala, aż się uspokoi, a potem posadziła go na foteliku, wzięła telefon i wcisnęła klawisz szybkiego wybierania numeru siostry.

Jej komórka była wyłączona.

50

Calowi nie podobało się to, co teraz czuł. Był rozdygotany, naprawdę wstrząśnięty. Nie czuł się nawet w przybliżeniu tak dobrze, jak poprzednim razem. Nie szumiała mu krew.

Było inaczej. Tym razem działał z premedytacją i może częściowo dlatego teraz obleciał go niezły strach.

Czuł się zły.

Jeszcze na pełnym morzu wyczyścił i wyszorował „Dziecinę”, i pozbył się wszystkich dowodów oprócz szczotki, posyłając je na dno oceanu tak samo jak za pierwszym razem, a gdy już uporał się z tą ciężką robotą, pomyślał, że może czas popłynąć gdzie indziej. Ale ostatecznie wrócił Przesmykiem Bakera na przystań Flamingo, bo koniec końców zapłacił za keję. A także dlatego, że nawet gdyby pożeglował gdzieś bardzo daleko, i tak musiałby się zatrzymywać po paliwo w wielu miejscach, a za każdym razem groziłoby mu, że ktoś zwróci na niego uwagę. Zresztą, o ile wiedział, ostatniej nocy nikt go nie zauważył, gdy jechał z Kocurem przez miasto, więc ucieczka nie miałaby sensu...

Z drugiej strony, zdawało się, że nic już nie ma sensu.

Nie pamiętał teraz, czy kiedykolwiek ten sens widział. Najlepiej myślało mu się tam, na morzu, ale teraz wrócił i cała jasność umysłu go opuściła, wyparta przez ból.

Nie chodziło właściwie o ból fizyczny, w każdym razie nie on go obezwładniał. Kłucie w krzyżu, pod łopatkami i w karku nie było silniejsze, niż zasługiwał, chociaż wystarczyło, by powstrzymać go od opuszczenia „Dzieciny” i zaszycia się znowu w kryjówce na lądzie. Smród wybielacza w ciasnej kabinie pod pokładem jest gorszy niż ból, pomyślał, bo wywołuje wspomnienia. Wspomnienia tego, co zrobił, i krzywd, których sam doznał. Wszystko to zdawało się teraz jednością, jednym wielkim przytłaczającym cierpieniem, które wryło się zbyt głęboko w duszę, by był w stanie się go pozbyć.

Znał tylko jeden sposób - oprócz samobójstwa, a Cal nie chciał się do tego posuwać, przynajmniej na razie - tylko jeden sposób na stłumienie tych wspomnień i uczuć na pewien czas.

Tak więc wziął dużą szczotkę do szorowania pokładów. Twarde włosie pokrywały teraz strzępy ciała trzech ludzi. Ściągnął z siebie ubranie, w które przebrał się wcześniej, po pracy...

„Nie myśl” - powiedział sobie.



Wszystkie obrazy nadal paliły mu umysł.

- Proszę - rzekł na głos z płaczem. - Ja nie chcę. „Musisz” - odparła Jewel w jego głowie.

Więc Cal podniósł szczotkę i zrobił to znowu, rozdrapując świeże jeszcze rany, a potem wziął koszulkę i wepchnął ją sobie w usta, żeby stłumić krzyk, który nadejdzie.

Podniósł butlę z wybielaczem i wylał go na siebie aż do ostatniej kropli.

51

Sam był w biurze, kiedy o ósmej piętnaście telefon zawibrował, powiadamiając o nadejściu esemesa.

Mildred pisała, że znowu widziała srebrnego anioła.

WŁAŚCIWIE WIDZIAŁAM GO DWUKROTNIE - CHOĆ W PONIEDZIAŁEK NAD RANEM WCALE NIE BYŁ SREBRNY.

- Chyba za jakiś czas zrobię sobie dziesięciominutową przerwę

- powiedział Sam do Martineza. - Sprawdzę, co jest grane.

- To starsza pani - zauważył Martinez. - Mogło jej się przywidzieć.

- Wielu z nas może jej pozazdrościć trzeźwości umysłu

- odparł Sam.

Claudia wciąż miała wyłączoną komórkę i Grace nie wiedziała, jak jej pomóc.

Tak bardzo współczuła siostrze, która wracała do domu, gdzie czekała ją nieunikniona bolesna konfrontacja. Samotna podróż do Seattle musiała być pełna obaw i lęków. A mimo to Grace była z siostry również dumna - za to, że podjęła decyzję i natychmiast przeszła do działania. Rozumiała, że pośpiech i brak dalszej zwłoki musiały się Claudii wydać jedynym wyjściem.

Była z niej dumna i jednocześnie się o nią bała.

Chciała powiedzieć Claudii, że jest dumna z jej odwagi, bo знаła siostrę na tyle, by wiedzieć, że drobna pochwała

doda jej otuchy, ale na razie nie mogła zrobić dla niej nawet tyle. Bez niej dom wydawał się dziwnie pusty. Co, uznała nagle, stanowiło dobry powód, by zająć się znowu pracą, czymkolwiek, byle nie martwić się przez chwilę o Claudię - a musiała przeskoczyć jeszcze kilka płotków, zanim będzie mogła otworzyć znowu praktykę, wrócić do zajęcia, które tak kochała i w którym była dobra.

Zadzwoił telefon i szybko podniosła słuchawkę.

- Grace, tu Magda.

- Magdo, chyba jesteś jasnowiedzką! - ucieszyła się Grace. - Właśnie siedzę i zastanawiam się, czy powinnam odbyć z tobą parę sesji, zanim zacznę znowu przyjmować pacjentów.

- Chciałabyś się umówić? - spytała Magda z bezpośredniością, którą oprócz wielu innych zalet Grace tak podziwiała u swojej przyjaciółki i koleżanki po fachu.

- Owszem, bardzo chętnie - przytaknęła Grace. Siostra przeżywała ciężkie chwile, a ona miała właśnie zrobić duży krok naprzód. Samo życie, pomyślała.

52

- Wy też to słyszeliście, Sam?

Saul zadzwonił do Sama na komórkę kwadrans po dziewiątej, niecałe dziesięć minut od chwili, gdy w siedzibie policji zaczęły się urywać słuchawki.

Doszło do trzeciej eksplozji. Tym razem w biały dzień, ale znowu na morzu, gdzieś dalej na północ.

- Niczego nie słyszeliśmy - wyjaśnił bratu - ale właśnie spływają do nas doniesienia.

- Tutaj było dosyć głośno - powiedział Saul.

- Tobie i tacie nic się nie stało? - upewnił się Sam.

- Nie, nic - odparł Saul. - Chcesz, żebym zadzwonił do Grace?

- Właśnie z nią rozmawiałem - poinformował Sam. - Ale i tak na pewno się ucieszy. W nocy wyjechała Claudia.

- Tak szybko? - Saul był zaskoczony.

- Chyba stęskniła się za domem - powiedział Sam. - Słuchaj, mam sporo spraw.

- No to się trzymaj.

- Ty też. Dzięki.

Dziesięć minut później nadeszło potwierdzenie, że nowy wybuch miał miejsce na łodzi - znów poza jurysdykcją Miami Beach, gdzieś przy Dania Beach.

Dotarły też pewniejsze informacje o eksplozji na jachcie Leehy'ego.

- Okazuje się, że łódź ukradł były chłopak służącej - najświeższymi nowinami z poczty pantoflowej podzielił się z Samem Martinez - i wpadł na wariacki pomysł, żeby cholera wie czemu spalić łajbę, przy czym sam też się sfajczył.

- Czyli żadnego związku z eksplozjami przy Dania Beach i Lauderdale - podsumował Sam. - Chyba że znowu jakieś dzieciaki postanowiły skopiować pomysł.

- Tym razem nie był to nawet jacht - doniosła Beth Riley - tylko jakaś motorówka.

Sam spojrział na zegarek i wstał.

- Idę pogadać z Mildred.

- Ja mam się czym zająć tutaj - powiedział Martinez, przeglądając papiery.

- Wrócę za piętnaście, dwadzieścia minut - oznajmił Sam.

- Nie wiem, dlaczego tak mi ulżyło, że cię widzę - powiedziała Mildred do Sama - i mogę zrzucić to z serca. - Potrząsnęła głową. - Wciąż nawet nie wiem, dlaczego ten chłopak wydaje mi się taki ważny.

Prawdopodobnie w ogóle nie powinnam o nim myśleć.

- Ale myślisz - odparł Sam. - A to coś według mnie znaczy. Poprosiła, żeby usiadł obok niej na ławce. Tłum przechodniów przelewał się obok, ciągnąc w kierunku plaży.

Mildred wyglądała na zmęczoną, jej błękitne oczy wydawały się mniej przenikliwe niż zwykle i okolone gęstszą siecią zmarszczek.

- Widziałam go dzisiaj w nocy na rogu Washington i Dziewiątej, tuż po wpół do drugiej. - Mildred uniosła nadgarstki, pokazując oba zegarki. - Co do godziny nie mam najmniejszych wątpliwości.

Opowiedziała mu o szykownie ubranym towarzyszu mężczyzny i o swoich intuicyjnych obawach - które, miała nadzieję, były irracjonalne - o los drugiego nieznanego.

- Robili wrażenie, jakby wyszli z imprezy albo z jednego z tych klubów: jakby niedawno tańczyli.

- Ale nie wyglądali ci na parę? - zapytał Sam.

- Na prawdziwą parę? - Mildred pokręciła głową. - Wyglądali, jakby dopiero się poznali. - Zastanawiała się nad tym jeszcze przez chwilę. -

Szli Washington Avenue na południe, kiedy nasz srebrny znajomy zatrzymał się, żeby wziąć tandem, jeden z tych uroczych starych rowerów dla dwóch osób, wiesz? I stanowczo to on był właścicielem, a nie ten drugi, bo tandem był przywiązany łańcuchem do słupa latarni, i to srebrny otworzył zamek... i nie mogę mieć pewności, ale chyba ten drugi pierwszy raz widział go na oczy. A potem we dwóch odjechali. - Znowu urwała na moment. - Prawdopodobnie uznałabym to za urocze i staroświeckie, gdyby ten chłopak tak mnie nie przerażał.

- Zauważyłaś, w którą stronę odjechali? - spytał Sam.

- Na północ - odrzekła.

- Myślisz, że cię zobaczył?

- Tu znowu nie mogę być pewna - odparła - ale owszem, myślę, że tak.

Sam rozejrzał się dookoła. Znowu było pochmurno i duszno, synoptycy zapowiadali opady deszczu, ale na plaży i promenadzie, a także z tyłu, na Ocean Drive tłoczyło się mnóstwo ludzi.

- Mam nadzieję, że nie martwisz się o mnie, Samuelu - powiedziała Mildred.

- Jak przypuszczam - odparł - nie dasz się namówić na spędzenie kilku nocy pod dachem?

- Nie korzystam ze schronisk - oświadczyła - chyba że nadchodzi huragan.

Zamyślił się. Przy braku najmniejszych dowodów, że facet ma na koncie większy grzech niż przeciętni dziwacy z South Beach, Samowi trudno było wybrać najlepsze rozwiązanie.

- Znam takie jedno miejsce, nie schronisko, gdzie są mi winni przysługę.

- Jakie miejsce? - Mildred była podejrzliwa.

- Tani hotelik. - Zmyślał teraz na poczekaniu w nadziei, że ją zbajeruje, ale bez większego przekonania, że mu się uda.

- A gdzie?

Musiał się postarać, żeby Dumna Mildred zechciała się tam zatrzymać.

- Przy Alton - powiedział. - Nazywa się U Freddiego. Mildred skrzywiła się dobrodusznie.

- Trochę za djugo się zastanawiałeś, detektywie. W tym hotelu nie są ci winni nawet złamanego centa. Chciałeś zapłacić za mój pokój i nawet nie próbuj się tego wypierać, Samuelu Beckecie.

- Chciałbym tylko, żebyś była bezpieczna - odparł Sam - póki nie porozmawiamy z tym srebrnym kolesiem. - Przypomniał mu się jej esemes. - Napisałaś, że kiedy widziałeś go w poniedziałek w nocy, nie był srebrny.

- Zgadza się - potwierdziła - ale nadal nie potrafię powiedzieć ci o nim nic więcej. Było ciemno. Przeszedł obok mojej ławki, zorientowałam się, że to on, i ciarki przebiegły mi po plecach, ale wyglądał jak milion innych młodych mężczyzn.

- Nadal chudy?

- O tak, stanowczo. Ale nie tak wysoki bez tych idiotycznych butów na nogach.

- Coś jeszcze?

- Miał na głowie czapkę bejsbolową - dodała - ale nie

wiem nawet jakiego koloru, tylko że też była ciemna. Staralam się nie dać mu do zrozumienia, że w ogóle go zauważyłam. Czułam się bezpieczniej, udając, że śpię. - Zawiesiła głos. - Myślisz, że mógł zabić tego mężczyznę w łódce?

- Nie wiem. Prawdopodobnie nie. - Spojrzał jej znowu w oczy. - A ty? Wzruszyła ramionami.

- Skąd mam wiedzieć? Jestem tylko bezdomną starszą panią.

- Z tą panią się zgadza. - Sam wziął ją za rękę i pocałował w dłoń.

Zobaczył, jak na pomarszczonych policzkach rozlewa się rumieniec. -

Wyświadczysz mi przysługę i zamieszkasz U Freddiego?

- Nie, Samuelu - odparła. - Ale dziękuję za twoją troskę.

Westchnął.

- Jeśli zmienisz zdanie...

- To dam ci znać.

Zadzwoiła jego komórka i odebrał. Słuchał przez chwilę Elliota Sandersa, który choć nie był na służbie, miał Samowi i Martinezowi do przekazania wiadomość, którą uznał za ważną.

- Dziękuję - odpowiedział Sam. - Przyjedziemy. Mildred przyglądała mu się z uwagą.

- Co się stało, Samuelu?

- Muszę iść - odrzekł.

- Coś złego? - Dostrzegła, że spochmurniał. - Ktoś znowu nie żyje?

Sam wstał z ławki.

- Masz jakieś plany, Mildred?

- Nie, panie detektywie - powiedziała. - Jeśli chcesz, to nie będę się oddalać.

W nagłym odruchu pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Uważaj na siebie - przykazał.

To rozpałiło Cala do czerwoności. Ten pocałunek.

To stare śmierdzące ptaszysko.

Już wczoraj w nocy miał wobec niej złe przeczucia. Przez to, jak gapiała się na niego, kiedy razem z Kocurem wsiadł na „Daisy”.

Przez to, że w ogóle tam była.

A sam znalazł się tu teraz tylko dlatego, że wracał właśnie do swojej parszywej nory i uznał, że powinien kupić pół litra świeżego mleka i coś na ból - a ten dręczył go na tyle silnie, że ledwo zdołał zejść z pokładu „Dzieciny” i opuścić przystań bez wycia i skowytu, żeby ludzie się na niego nie gapili. A zaraz po tym, jak kupił sobie mleko i excedrin o wzmocnionym działaniu, a także biały chleb i słoik kremowego masła orzechowego na pocieszenie, jakaś dziwna fascynacja przyciągnęła go na tyle blisko siedziby policji, że mógł sobie dokładnie obejrzeć wchodzących i wychodzących z białego gmachu błaznów: detektywów i mundurowych, adwokatów i przestępców, i kolejnych gliniarzy.

Przyuważył, jak jeden z nich, ubrany w cywilne ciuchy i wysoki, energicznym krokiem wymaszerował z budynku, przeszedł przez jezdnię i ruszył Jedenastą Ulicą. Z tego, co Cal wiedział, facet mógł iść prosto do jego kryjówki, więc dla ostrożności odczekał kilka chwil i podążył śladem tamtego.

Policjant minął jego uliczkę i nawet się nie obejrzał.

Pomaszerował dalej. W kierunku parku Lummus.

Gdzie mieszkała *ona*.

Przez co Cal nabrał ochoty, żeby śledzić go dalej, bo miał przeczucie.

Wiedział, że powinien być raczej wrócić do swojej zasyfionej klitki, ale czuł, że policjant i bezdomna działają na niego niczym magnes, przyciągają go do siebie...

No i zobaczył, jak siedzą we dwoje niby para przyjaciół albo nawet matka i syn.

Aż rzygać się chciało.  
A potem tamten ją *pocałował*.

54

Policjanci z Miami-Dade byli na miejscu od dłuższego czasu - techniczni uwijali się szybko ze swoją pracą, bo chmury na niebie groziły deszczem, a więc i zmyciem śladów przestępstwa - kiedy za dwadzieścia jedenasta zjawili się Sam i Martinez.

Sanders też już był, otrzymawszy nieoficjalne zawiadomienie od doktora Mike'a Dietricha, kumpla od pokera i dyżurującego lekarza sądowego.

- Dietrich miał rację. - Sanders, który mieszkał wraz z rodziną niecałe dwa kilometry na północ przy Collins, wyglądał dziwnie w łopoczącej na wietrze hawajskiej koszuli i czarnych szortach rozmiaru XXL. -

Przypadek bardzo podobny do naszego faceta z Dziesiątej Ulicy.

Znajdowali się na plaży w Surfside, tylko kilka przecznic od domu

Adanich. Co mogłoby być znaczące, ale jeśli wziąć pod uwagę

nieprzewidywalność oceanu, było, jak uznali Sam i Martinez,

przypadkowym zbiegiem okoliczności, bo para facetów, którzy znaleźli

ponton wraz z makabrycznym ładunkiem, natrafiła na niego, kiedy

pływała na sunfishu niedaleko od plaży.

Ujrawszy to, co leżało na dnie łódki, wpadli najpierw w panikę, a potem

z tego samego powodu co Joe Myerson, który wyciągnął na brzeg szalupę

z ciałem Sanjiva Adaniego, wzięli się w garść, przycumowali ponton do

żaglówki i doholowali do brzegu.

Byli to dwaj młodzi ludzie, nazywali się Carson i Kahn, i żaden z nich

prawdopodobnie do końca życia nie zdoła wyrzucić z pamięci tego, co

zobaczył owego dnia.

- Afroamerykanin, prawdopodobnie pod trzydziestkę, nagi, zaduszony sznurem i zaatakowany od tyłu. Nie ma ni-



czego, co ułatwiłoby identyfikację. Brak śladu po obrączce na palcu - Sanders wyciągnął z kieszeni na piersi paczkę marlboro - ale rany na ciele są zbyt podobne, żeby można było to podobieństwo zignorować.

Sam spojrział w stronę śledczych z Miami-Dade i ich ekipy.

- Możemy zerknąć?

- Proszę bardzo. - Sanders z westchnieniem wsunął paczkę z powrotem do kieszeni i poszedł z nimi.

Inna plaża, inna ofiara, inny zespół detektywów i kryminologów, ale cała scena sprawiała wrażenie upiornego i przygnębiającego *déjà vu*.

- No ładnie - powiedział Martinez. - Ktoś zrobił to już dwukrotnie.

- Co najmniej - zauważył ponuro Sam.

Zdawało się mało prawdopodobne, by mieli do czynienia z mordercą naśladowcą, bo szczegółowy opis ran na ciele Adaniego nie został jeszcze podany do publicznej wiadomości.

- Zasmakował w tym - rzekł Sanders.

Na myśl o tym Sam poczuł złość i mdłości. A także niemały strach.

David powiedział mu kiedyś, że każdy, kto zobaczyłby tyle złego, byłby cholernym głupcem, gdyby nie odczuł lęku.

- Lęku o ludzkość - uściślił.

Zajrząwszy teraz do wnętrza pontonu, Sam wiedział, co ojciec miał na myśli.

I wiedział, że będzie musiał załatwić jedną paskudną sprawę tak szybko, jak tylko da się to zorganizować - coś, czego wolałby uniknąć.

- Mildred powinna to obejrzeć. - Wcześniej zdążył opowiedzieć

Martinezowi o tym, że widziała srebrnego anioła z nowym kumplem. - Bóg jeden wie, że już i tak się przez niego denerwuje.

- To starsza pani - zgodził się Martinez. - Trudno ją narażać na taki widok.

Sam znów pochylił się nad zwłokami. Zauważył, że na szczęście na twarzy ofiary jest znacznie mniej krwawych szram niż na tułowiu.

- Poprośmy technicznych o kilka zdjęć twarzy i sprawdzimy, czy facet wyda jej się znajomy.

- Jeśli to on - powiedział Martinez - to myślę, że Mildred powinna zniknąć z ulic do czasu, gdy złapiemy sprawcę.

- Łatwo powiedzieć - rzucił Sam. - Uparta z niej sztuka.

Grace, która rzadko brała Joshuę w wózku spacerowym na dwór, gdy prażyło letnie słońce, stała w drzwiach i zastanawiała się, czy zanim spadnie deszcz, uda im się przejść przez Kane Concourse, dotrzeć do francuskiej piekarni i pralni chemicznej na East Island i wrócić do domu, kiedy zadzwonił telefon.

Zawahała się, czekając, aż się włączy automatyczna sekretarka.

- Grace, to ja.

Głos był ledwie szeptem, ale brzmiał, jakby należał do Claudii, co nie mogło się zgadzać, bo nadal powinna być w drodze do Seattle, ale jeśli przy fotelach w samolocie zainstalowano aparaty telefoniczne...

Grace zamknęła frontowe drzwi, położyła dziecko i podbiegła do telefonu.

- Grace, tu Claudia, proszę, odb... Poderwała słuchawkę.

- Jestem, siostrzyczko. Wszystko dobrze?

- Niedobrze. - Claudię ledwo było słyhać. - Grace, jestem u taty.

- Dlaczego? - Zaskoczenie i kielkujący gniew sprawiły, że Grace podniosła głos. - Co się, do cholery, stało?

- Po prostu posłuchaj, na litość boską. - Wciąż ten cichy, niemal stłumiony głos. - Myślę, że dzieje się tutaj coś złego.

- Co? - Nagle do niej dotarło. - Chodzi o Jerome'a?

- Grace, musisz...

W słuchawce rozległ się cichy trzask i połączenie zostało zerwane.

- Już jadę - powiedział Sam, siedząc za kierownicą saaba.

- Będę w domu za dziesięć minut.

Alvarez dał mu dzień wolnego, a sprawę Adaniego tymczasowo przydzielił Martinezowi, któremu aż do powrotu Sama miała pomagać Beth Riley. Ich pierwsze zadanie polegało na sprawdzeniu, które kluby nocne były otwarte ostatniej nocy w pobliżu miejsca, gdzie Mildred zobaczyła dwóch mężczyzn, wsiadających na rower.

- Cały czas próbuję się do niej dodzwonić - denerwowała się Grace - ale ma wyłączony telefon.

- A spróbowałaś znowu zadzwonić na numer ojca?

- Wciąż nikt nie odbiera. - Grace odchodziła od zmysłów ze strachu. - Sam, mam bardzo złe przeczucia.

Sam uważał złe przeczucia żony za uzasadnione.

- Zadzwonię"do biura szeryfa hrabstwa Cook - obiecał.

- Poproszę, żeby sprawdzili, co jest grane.

- Muszę pojechać na lotnisko - powiedziała Grace. - Muszę polecieć do Chicago, dowiedzieć się, co się dzieje.

- Jeśli ktoś poleci do Chicago - odparł - to tylko ja.

- Ale to moja...

- Bez dyskusji - uciał Sam.

56

Claudia przekonała się o tym, gdy tylko druga kobieta otworzyła drzwi.

Ta wizyta to błąd.

Matka Jerome'a była rozczochrana, odziana w okropny welurowy szlafrok z suwakiem zapiętym pod samą szyję, a na stopach nosiła coś, co wyglądało na wełniane skarpety.

Claudia nie dopatrzyła się w niej żadnego wyraźnego podobieństwa do syna.

Nigdy się nie spotkały, ale zdawało się, że starsza kobieta natychmiast ją rozpoznała.

I w jej oczach pojawiła się niechęć.

Więc to na pewno matka Jerome'a.

- Jestem Claudia. - Spięła się w sobie, stłumiła odruch, by odwrócić się na pięcie i odejść, wyciągnęła rękę.

- Tak - powiedziała Roxanne Lucca.

Nie uścisnęła jej dłoni, ale zrobiła krok w głąb domu.

- Lepiej wejdz.

„Ostatnia szansa, żeby uciec”.

Ale Claudia miała dość swojego tchórzostwa.

57

Nikt nie otworzył, doniósł Sam Grace, kiedy patrol policyjny hrabstwa Cook zadzwonił do drzwi domu państwa Lucca w Melrose Park.

- Nikt nic nie zgłaszał, na zewnątrz żadnych oznak kłopotów - poinformował. Innymi słowy, żadnego pretekstu, by policja mogła wkroczyć do środka.

- Następny samolot do Chicago odlatuje z lotniska w Miami o pierwszej trzydzieści - oznajmiła Grace. - O czwartej tamtejszego czasu możemy być na miejscu.

- Nie „my”. - Sam był nieugięty. - Już ci mówiłem.

- Moglibyśmy podrzucić Joshuę twojemu tacie.

- Moglibyśmy, ale tego nie zrobimy. - Sam wchodził właśnie po schodach, jednocześnie odpinając kaburę, bo bez względu na to, jak bardzo wolałby mieć przy sobie broń, nie zamierzał pakować się w nowe kłopoty, pojawiając się z pistoletem na lotnisku czy gdziekolwiek indziej poza swoją jurysdykcją.

- To bez sensu. - Grace weszła za nim do sypialni, patrząc zdenerwowana, jak chowa Glocka do szafki. - Claudia na mnie liczy.

- Claudia liczy na nas - przypomniał jej. - Więc możesz wybić sobie to jedno z głowy, Gracie. Cokolwiek dzieje się w domu twojego ojca, czy stoi za tym Frank, jego żona, czy Cooper - sprawdził zawartość portfela, karty kredytowe, legitymację - nie ma mowy, żebyś tam weszła.

- To pozwól mi przynajmniej tam być. Mogę zaczekać na dworze.

- A jeśli Claudia znowu zadzwoni i nikogo nie zastanie? - Przystanął w drodze do drzwi, ujął jej twarz w obie dłonie i pocałował w usta. - Wiem, że jest ci ciężko jak diabli, że to ty właśnie musisz czekać, kochanie, ale polecę sam.

Nieliczne nocne kluby były otwarte w South Beach we wtorki poza sezonem, więc Martinez i Riley szybko ustalili, że w najbliższej okolicy w grę wchodzi tylko dwa lokale, Hot-Hot-Hot i Menagerie. Później zamierzali odwiedzić je oba ze zdjęciami twarzy nowej ofiary.

Wcześniej jednak chcieli pokazać je Mildred.

Mimo wysiłków policyjnych specjalistów z Miami-Dade fotografie i tak wyglądały dość makabrycznie.

Tylko że nie było ani śladu po Mildred ani w parku Lummus, ani na plaży, czy to w pobliżu jej ławki, czy gdziekolwiek w okolicy.

- Może się przyczaiła, bo się boi - powiedziała Riley.

- Raczej dlatego, że nie jesteśmy Samem Becketem - sprostował Martinez. Pokręcili się jeszcze przez jakiś czas przy Ocean Drive, a kiedy Riley poszła zajrzeć do najbliższej toalety, Martinez wysłał Mildred esemesa, a potem poczekali jeszcze pięć minut.

Na nic.

Sam zadzwonił do Grace tuż przed wejściem na pokład samolotu.

- Jakież wiadomości od Claudii?

- Nic - odparła żona. - Jej telefon jest nadal wyłączony, a w domu nikt nie odbiera.

- A jak trzymasz się ty i Joshua?

- O nas się nie martw, mamy się dobrze.

- Tak się zastanawiam - powiedział Sam. - Może powinniśmy powiadomić Daniela.

- Ja też o tym myślałam - odparła Grace. - Ale nie mogliśmy nic zrobić, za to odchodziłby od zmysłów.

- Gdybym był na jego miejscu - zauważył Sam - wolałbym wiedzieć.

- Wiedzieć co? Że Claudia dała nam do zrozumienia, że wraca do domu, a tymczasem poleciała do Chicago? Jak wytłumaczylibyśmy mu to bez wdawania się w pozostałe sprawy?

- No tak, nie powinniśmy się wtrącać - przyznał Sam. - W takim razie poczekamy.

- Przynajmniej do czasu, gdy zorientujesz się, co się dzieje - powiedziała Grace. - Albo Claudia znowu do mnie zadzwoni.

Mildred nie potrafiłaby do końca wyjaśnić, dlaczego nie chciała rozmawiać z dwójką policjantów. Oboje nie byli jej przecież obcy, ale z drugiej strony, zawsze - nawet gdy Donny jeszcze żył - grymaśnie wybierała, z kim spędzić czas.

A ostatnimi laty czas zdawał się jedyną wartością, jaką mogła swobodnie rozporządzać.

Samuel Becket był inny. Przed nim pełnił służbę ten miły młody funkcjonariusz Valdez i kiedyś nie miałaby nic przeciwko temu, by spędzić z nim choćby cały dzień, ale jej związek z detektywem Becketem był czymś zupełnie odmiennym.

- Właśnie tak, dosłownie - powiedziała do zmarłego narzeczonego. - Jesteśmy ze sobą *związani*.

Chociaż oczywiście detektyw Martinez nigdy w niczym jej nie uraził, podobnie zresztą jak dosyć sympatyczna rudowłosa kobieta, która towarzyszyła mu tego popołudnia.

Ale to Samuel Becket dał jej telefon.

Samuel Becket chciał, żeby zamieszkała w hotelu, chciał zapłacić za to z własnych ciężko zarobionych pieniędzy, byle tylko pozostała bezpieczna.

I to nie tylko - była o tym prze-

konana - dlatego, że uważał ją za jakiegoś kluczowego naocznego świadka.

Od śmierci Donny'ego nikogo tak naprawdę nie obchodziła Mildred Bleeker.

- Nie żebym pozwoliła się komukolwiek do siebie zbliżyć - powiedziała mu teraz. - Ale gwoli sprawiedliwości.

Chłopiec w wieku około czternastu lat, w idiotycznych workowatych spodniach i czapce z daszkiem, przeszedł obok drzew, gdzie wciąż się ukrywała, na wypadek gdyby detektywi wrócili, zauważył, jak mówi do siebie, i przewrócił oczami.

- Dziwaczka - usłyszała Mildred.

I wtedy nagle zdała sobie sprawę, dlaczego tak naprawdę nie chciała rozmawiać ze współpracownikami Becketa. Bo bała się dowiedzieć, dlaczego Samuel nie przyszedł do parku jak zwykle, ze swoim partnerem. Obawiała się, że mogło mu się stać coś złego.

- Nerwica - zawyrokowała, bo przecież mógł się po prostu przeziębic albo pracować nad inną sprawą, albo zwyczajnie wziąć sobie dzień wolnego. Ale Samuel Becket zapytał ją jeszcze dziś rano, czy będzie później w okolicy.

A potem pocałował ją w policzek.

Więc znerwicowana czy nie, Mildred niepokoila się, że wydarzyło się coś złego, co nie pozwoliło mu przyjść do niej z detektywem Martinezem po południu.

A prawda była taka, że nie chciała wiedzieć, co to takiego.

Przynajmniej póki nie okaże się to konieczne.

58

- Jestem na lotnisku O'Hare'a - poinformował Sam przez telefon Grace o szesnastej pięć, idąc szybkim krokiem przez halę przylotów do wyjścia.

- Chwała Bogu - powiedziała. - Tutaj żadnych nowych wiadomości.

- Zaraz będę przy taksówkach - oznajmił. - Niedługo dotrę na miejsce.
- Skontaktowałeś się już z biurem szeryfa?
- Nie zdecydowałem jeszcze, kiedy poinformuję ich, że tu jestem.

Na zewnątrz było szaro i wietrznie, znacznie chłodniej niż w Miami, ale też dosyć wilgotno. Na postoju czekało mniej taksówek, niż można by się spodziewać, i Sam stanął za grupką czterech kobiet, które omawiały plany na dzisiejszą kolację.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł? - spytała Grace.
- Nie zapomniałem poprzednich doświadczeń - zapewnił Sam. - Ale jeśli w domu twojego taty nikt nie otworzy mi drzwi, chcę mieć możliwość samodzielnego wejścia do środka. Wejść, bezpiecznie wydostać Claudię... a potem, jeśli trzeba, zadzwonić po wsparcie.
- Kocham cię - powiedziała Grace, ufając jego intuicji, zbyt wdzięczna, by wdawać się w jakiegokolwiek dyskusje. - I to bardzo.

Kolejka posuwała się szybko do przodu, jedne taksówki odjeżdżały i szybko podjeżdżały następne. Kobiety przed Samem nadal rozmawiały o zeberkach wieprzowych, ale on wiedział, że nic nie wzbudzi w nim apetytu, póki nie będzie miał dobrych wiadomości dla żony.

- Spróbuj zachować spokój - zalecił jej. - I ucałuj ode mnie dziecko.
- A ty uważaj na siebie - odpowiedziała.

Na południe od Franklin Park, kilka kilometrów od celu podróży, zadzwoniła komórka, wrywając Sama z odrętwienia, jakie wywołała jazda taksówką przez monotony, na wpół przedmiejski krajobraz.

- Zrób mi przysługę, człowieku - powiedział Martinez. - Tym razem bez wariactw, okej?
- Żadnych nie planuję - zapewnił go Sam. - Ci z Miami--Dade zidentyfikowali już nową ofiarę?



- Na razie nie - odparł Martinez. - Od Mildred też żadnych wieści. Poszliśmy z Riley jej poszukać, ale gdzieś się zasyła.

Taksówka zatrzymała się na czerwonym świetle przed skrzyżowaniem.

- Będę ci wdzięczny - powiedział Sam - jeśli później jeszcze raz spróbujesz.

- Rozumie się samo przez się - odparł Martinez. - Poinformowałeś szeryfa, że tam jesteś?

- Jeszcze nie. Nie jestem na służbie, pamiętasz?

- Tak. Wzięłeś dzień wolnego, żeby odwiedzić rodzinę. Zapaliło się zielone światło i znowu ruszyli.

- Wiesz - zapytał Sam - że jeszcze nigdy nie widziałem swojego teścia?

- Jasne, że wiem - powiedział Martinez. - I z tego, co o nim słyszałem, niewiele straciłeś. Chociaż zawsze zachodziłem w głowę, jak facet dorobił się takiej córki jak Grace.

- Dla mnie to też zagadka - odrzekł Sam.

Do domu na wyspie Bay Harbor przyjechali właśnie David i Saul.

- Sam niepotrzebnie was fatygował - powiedziała Grace. - Jak dużo wiecie?

- Dość - odparł David - o twoim tak zwanym bracie.

- Mimo to - zapewniła Grace - to naprawdę nie było konieczne, czuję się zupełnie dobrze.

- Nie poczujesz się zupełnie dobrze - orzekł David - póki nie dowiesz się, że Claudii nic się nie stało.

- A Sam wróci do domu - dodał Saul. Grace uściskała ich po kolei.

- Cieszę się, że jesteście - powiedziała. - Jak zawsze.

Sam kazał taksówkarzowi zatrzymać się na końcu ulicy.

Wyglądała lepiej, niż się spodziewał - chociaż nie miał powodu oczekiwać ponurych obrazów, skoro udręki młodego życia, które zabarwiły opisy Melrose Park, jakie znał

od Grace, miały w większości miejsce w innym domu przy innej ulicy. Tutaj chodniki były zadbane, tak samo jak domki z wypielegnowanymi ogródkami, mnóstwem drzew i kwiatów.

Sam zapłacił kierowcy, wyjął komórkę, odczekał, aż taryfa odjedzie, po czym znów zadzwonił do Grace.

- Jestem prawie na miejscu - oznajmił.

- Twój tata i Saul tu są. Nie musiałeś ich wzywać.

- Nie chciałem, żebyś była sama. - Sam zaczął iść przed siebie. - Nie zamartwiaj się, jeśli nie odezwę się przez dłuższy czas.

- Obiecuj mi - poprosiła - że w razie najmniejszych kłopotów wezwiesz pomoc.

- Nie zamierzam zgrywać bohatera, obiecuję. Zakończył połączenie i ruszył w górę ulicy.

- Jak myślisz, długo powinniśmy czekać - zapytała Grace Davida - zanim zadzwonimy do biura szeryfa?

Saul siedział na podłodze w „norze” i bawił się z Joshuą. Było przy tym dużo śmiechu.

- Jeszcze nawet nie wszedł do środka - powiedział David. - Nie popadajmy w przesadę.

- Jerome Cooper to nicpoń - odparła Grace. - Powinnam była pozwolić Samowi aresztować go, gdy tu przyszedł.

- Nie wiemy nawet, czy chłopak tam jest - przypomniał Saul. - Musiałby śledzić Claudię bez przerwy, co wydaje się chyba naciągane, prawda?

- Może wiedziała, że wrócił już do domu - zauważyła Grace. - Może właśnie dlatego pojechała tam, żeby się z nim rozmówić. - Uklękła na podłodze, a synek zachichotał. - Tak czy owak, nasz ojciec mógł być sukinsynem, ale teraz ma sześćdziesiąt pięć lat i nie potrafię wyobrazić sobie, żeby on bądź jego żona byli tak groźni, że na dobre nastraszyli Claudię.

- Więc prawdopodobnie to Jerome - powiedział David.

- Który, jak sama powiedziałaś, jest tylko oślizgłym padal-cem - zauważył Saul. - A to znaczy, że Sam prawdopodobnie może sobie z nim poradzić jednym palcem.
- Prawdopodobnie - zgodziła się Grace, nadal niespokojna.
- Proponuję, żebyśmy dali Samowi godzinę - podsunął David.
- Wątpię, żebym wytrzymała tak długie oczekiwanie -przyznała Grace.
- Przytul malca - powiedział Saul i połaskotał bratanka w brzusek. Grace zerknęła na teścia, po raz pierwszy zauważyła, jaki jest blady i zmęczony.
- Dobrze się czujesz?
- To tylko początki grypy.
- Dać ci coś?
- Już wziąłem - zapewnił David.
- Powinieneś wrócić do domu - powiedziała. - Obaj powinniście.
- A ty powinnaś już wiedzieć - odrzekł David - że nie tak łatwo się nas pozbyć.

Dom był najbrzydszy na całej ulicy.

Przysadzisty jednopiętrowy budynek ze spadzistym dachem; ściany oszalowano szaroburymi deskami. Jeden z tych domów, których front przypomina twarz, i Samowi natychmiast skojarzył się z nawiedzonym domem ze starego plakatu horroru o Amityville.

Czym prędzej wyrzucił tę myśl z głowy, podniósł wzrok na stalowoszare chmury na niebie, po raz kolejny się zastanawiając, czy wezwać policję już teraz, lecz znowu uznał, że byłoby to przedwczesne i może zupełnie zbyteczne.

Uniósł prawą rękę i dwukrotnie zapukał do zielonych drzwi.

Nikt nie otworzył.

Cofnął się o kilka kroków i podążył ścieżką, która prowadziła na tyły domu - zobaczył, że jedyną barierę stanowi niski płotek i jakieś krzaki - po czym wrócił do drzwi i zapukał jeszcze raz. Drzwi się otworzyły.

59

Cal pisał Epistołę.

Jako Cal Nienawistnik. Teraz większy niż kiedykolwiek.

Przypomniało mu się, że kiedy kupował „Dziecinę”, miał nadzieję, że na pokładzie własnej łodzi pożegluje ku lepszej przyszłości, bez bólu, goryczy i nienawiści do siebie i innych.

Zycie ułożyło się jednak inaczej.

Był teraz spokojniejszy niż wcześniej, chociaż ramiona i plecy, a także rany na piersi wciąż bolały jak diabli, i żałował, że nie ma więcej dżinu, ale kiedy zobaczył gliniarza i bezdomną razem, potem ten pocałunek i tak dalej, w te pędy wrócił do swojej dziury i nie pomyślał nawet o kupnie dodatkowej flaszki.

Czy pisałem już o tym, skąd wzięła się moja słabość do dżinu?

Z tego samego źródła co moje imię. I strój chłoptasia-kochasia. Od Jewel, oczywiście.

Musiał pisać dalej jeszcze przez dłuższy czas, bo słońce zachodziło dopiero po ósmej, a nie mógł zrobić tego, co zaplanował, przed zapadnięciem zmroku.

Nie wątpił, że musi to zrobić.

Chociaż nie był jeszcze do końca pewien jak.

Ale trzeba było to wykonać, tak czy inaczej.

149

- Claudia - powiedział Sam.

Stała tuż za drzwiami. Połowę twarzy skrywał cień, a druga połowa w kiepskim świetle dochodzącym z wnętrza była blada i pełna napięcia. Starął się wyczytać coś z jej oczu, a właściwie z jednego oka, które widział, ale trudno było rozszyfrować to spojrzenie. Widział w nim tylko strach.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Wzięła wdech, a potem odetchnęła z cichym stęknieniem.

- Wejdz - powiedziała.

- Nie wolałabyś raczej wyjść na zewnątrz? - spytał.

Bo na tym najbardziej mu zależało: obiecał Grace, że wyciągnie jej siostrę z tego domu.

- Proszę - powtórzyła Claudia. - Wejdz. Nie będzie więc tak łatwo.

- Jasne.

Przeszedł przez próg domu Franka Lukki i zapach, który uderzył go w nozdrza, sprawił, że się zawahał.

Gdy drzwi zatrzęsnęły się za nim, mignęła mu jakaś postać. A potem kant ciężkiej starej pozłacanej lampy uderzył go mocno w prawy bok głowy.

I urwał mu się film.

61

- Myślę, że powinnam do niego zadzwonić - powiedziała Grace.

Jakiś czas temu przenieśli się do kuchni. David i Saul siedzieli przy stole i pili kawę, Joshua siedział w kojcu i patrzył na Woody'ego, który leżał na swoim pościeliu w pobliżu drzwi i obserwował, jak Grace chodzi tam i z powrotem po kamiennej posadzce.

- Nie minęło jeszcze dość czasu - upomniał ją David.
- Musisz dać im chwilę na rozmowę - zauważył Saul.
- W końcu to ich pierwsze spotkanie - dodał David.
- Ale jeśli tylko rozmawiają, a z Claudią wszystko w porządku - odparła Grace - to dlaczego Sam nie zadzwonił jeszcze, żeby mi o tym powiedzieć?

Ojciec i syn popatrzyli na siebie.

- Może nikogo nie ma w domu - zasugerował Saul.
  - Kiedy pukali tam policjanci, nikt im nie otworzył - powiedział David.
  - Więc Sam prawdopodobnie nie dostał się jeszcze do środka - wywnioskował Saul.
  - Przestańcie wreszcie - zirytowała się Grace. - Wszyscy wiemy, że coś jest nie tak.
  - Nic takiego, z czym Sam nie dałby sobie rady - zapewnił Saul.
  - Zadzwoń - oznajmiła i podniosła telefon ze stołu.
  - Możesz mu przeszkodzić w jakimś drażliwym momencie - rzekł David.
  - Kto wie?
  - Tata ma rację - poparł go Saul.
  - Wiem, że ci ciężko - powiedział David.
- Niewiele brakowało, by na nich nakrzyczała, ale powstrzymała się, wiedząc, że najprawdopodobniej mają rację. Ponieważ bez względu na to, jaką sytuację Sam zastał, był w końcu doświadczonym policyjnym detektywem, a ostatnia rzecz, jakiej w tej chwili potrzebował, to telefon od głupiej żony panikary.
- Po prostu chciałabym, żeby zadzwonił - mruknęła bezradnie.
  - Nie ty jedna - zapewnił David.

62

- Sam.

Głos brzmiał, jakby docierał do niego przez mgłę.

- Sam!

Zmusił się, żeby otworzyć oczy, stwierdził, że leży na plecach na pokrytej linoleum podłodze w wąskim korytarzu, i nawet w słabym świetle zauważył, że sufit jest brudny, może od nikotyny, chociaż smród, który wyczuwał, nie miał nic wspólnego z dymem papierosowym, czy to świeżym, czy starym.

Ręce miał związane za plecami, szczypały go oczy i zbierało mu się na kaszel, bo smród dostał się również do gardła. Zakaszłał i zaboląła go głowa i cała klatka piersiowa.

- Cholera - zaklął w proteście, a potem znów odkaszlnął. - Jasna cholera!  
- Sam, żyjesz?

Ten sam głos. Kobiocy. Obrócił głowę, zmrużył powieki, wpatrując się w półmrok, i dostrzegł szwagierkę niecałe cztery metry dalej na podłodze, przywiązaną do kaloryfera.

- Bogu dzięki - powiedziała Claudia. - Myślałam, że cię zabiła.

- Kto? - Sam usiłował zebrać myśli. Potem nagle przypomniał sobie, gdzie jest, a po chwili wróciło także wspomnienie postaci, tuż zanim nastąpił ból.

- Roxanne - powiedziała Claudia. - Uciekła. Już jakiś czas temu.  
Sam zaczął przytomnieć.

- A co z Jerome'em? I twoim tatą?

- Nie widziałam żadnego z nich. - Jej oczy zrobiły się okrągłe ze strachu. - Nawet nie wiem, czy tu są. Widziałam tylko ją.

- Miła kobieta. - Sam nasłuchiwał przez moment, ale niczego nie usłyszał. Miał nadzieję, że to znaczy, iż dom jest pusty. Spróbował usiąść i stęknął z bólu. - Tylko nieprzyzwyczajona do przyjmowania gości, co?

Claudia wybuchnęła płaczem.

- Tak mi przykro, Sam. Kiedy mnie wpuściła, wydawała się niezbyt sympatyczna, ale miała na sobie jakiś stary szlafrok i w ogóle nie wyglądała groźnie. Nigdy przez myśl by mi nie przeszło...

- Nic nie szkodzi. - Spróbował znowu usiąść, tym razem mu się udało.  
- Zaprowadziła mnie do tamtego pokoju - Claudia skinęła głową w stronę zamkniętych drzwi na prawo od Sama - i powiedziałam jej o Jeromie. Potem poprosiła, żebym poczekała, a ona pójdzie po ojca. - Łzy wciąż płynęły jej po policzkach. - Wtedy wyczułam, że coś nie gra, więc zadzwoniłam do Grace, ale ona akurat wróciła, tym razem ubrana, z wielkim nożem w garści. Przywlokła mnie tutaj i związała. - Mówiła pośpiesznie, bojąc się, że ktoś może zaraz nadejść. - Ale potem, kiedy przyjechałeś, odwiązała mnie i powiedziała, że jeśli nie skłonię cię do wejścia do środka, zabije mnie, a potem dorwie Grace, i nie tylko ją. Sam schylił głowę, zobaczył, że ma rozdartą koszulę, a klatkę piersiową całą we krwi. Szybko uprzytomnił sobie jednak, że mimo bólu rany nie mogą być zbyt poważne, bo krew tylko się sączy, a nie tryska. Ale to właśnie stąd wydobywał się dławiący smród, z jego cholernej klatki piersiowej.

- Co ona mi, do cholery, zrobiła?

- Sam, tak mi przykro - powtórzyła Claudia. Spróbował ogarnąć jakoś całą sytuację, przejąć nad nią jaką taką kontrolę.

- Nic ci nie jest? - Zmrużył oczy, żeby jej się lepiej przyjrzeć. Chociaż blada i zalekniona, nie była raczej ranna. - Zrobiła ci krzywdę?

- Nie. Nic mi nie jest.

- Dobrze - powiedział. Najważniejsze ustalone.

Znów zaczął nasłuchiwać - nadal nic - a potem podczołgał się po linoleum do Claudii. Zobaczył, że została związana jakimś postronkiem, przypuszczalnie taki sam ścisnął mu nadgarstki.

- Możesz się trochę obrócić, żebym cię odwiązał? Claudia spróbowała, ale nie mogła się ruszyć.

- Gdybyś podniósł ręce - zaproponowała - mogłabym rozwiązać te pęta zębami.



- Nie wiem, czy...

- Obie, Grace i ja, mamy mocne zęby - powiedziała. -Po mamie.

Sam nie pamiętał nawet, by Grace, odkąd się znali, choć raz musiała wstawić sobie plombę.

- Dobra, spróbuj.

Upłynęło sporo czasu, okupionego bólem Claudii i kilkoma łzami frustracji, zanim udało się poluzować więzy na tyle, że Sam zdołał wyszarpnąć z nich dłonie.

- Dobra robota - pochwalił, rozcierając nadgarstki, po czym odwiązał Claudię od kaloryfera.

- Możemy stąd iść? - zapytała. - Proszę.

Sam spuścił znowu wzrok na poranioną pierś, dotknął na próbę jednej z ran... i nagle zdał sobie sprawę, co tak cuchnie.

- Jezu - mruknął, zupełnie zbity z tropu. I wtedy właśnie coś usłyszeli. Czyjś jęk.

63

- Dość tego - oświadczyła Grace. - Nie zamierzam czekać ani minuty dłużej.

Nikt nie zaprotestował. Wzięła do ręki telefon.

- Jeżeli Sam nie odbierze, dzwonię do szeryfa.

- Dobra - powiedział David, masując prawą skroń i usiłując przezwyciężyć ból głowy.

Grace wcisnęła klawisz szybkiego wybierania numeru.

Sam usłyszał, że dzwoni jego komórka. Ale nie tu, w korytarzu.

Odwrócił się, zorientował, że dźwięk dobiega z pomieszczenia w głębi domu.

- Poczekaj tutaj - powiedział półgłosem do Claudii.

- Uważaj na siebie - odszepnęła.

Otworzył ostrożnie drzwi, zobaczył kuchnię, jaśniejszą niż korytarz, ale też tandetną i ponurą, wszędzie tylko plastik i laminaty, a na podłodze burozielone linoleum.

Dzwonienie dochodziło z kosza na śmieci.

Sam podniósł pokrywę, wetknął rękę w fusy po kawie, mokry papier i puszki od konserw, znalazł telefon, zobaczył, kto dzwoni, i odebrał.

- Grace?

- Bogu niech będą dzięki - usłyszał jej łamiący się głos.

- Oboje jesteśmy bezpieczni - szepnął - ale będę musiał zadzwonić do ciebie później.

- Sam, nie mogę...

Rozłączył się, schował telefon do kieszeni, odwrócił się i zobaczył w drzwiach Claudię; podążała za nim spojrzeniem niczym zalękniony szczeniak.

- Kochana - powiedział cicho. - Chciałbym, żebyś poczekała przy frontowych drzwiach, a ja w tym czasie rozejrzę się po domu. Ale jeśli zawołam, żebyś uciekała, biegnij prosto do któregoś z sąsiadów i dzwoń na policję.

Usłyszeli kolejny jęk. Z piętra. Bez wątpienia.

Sam podszedł do jednej z szafek, otworzył szufladę, skrzywił się, gdy zaskrzypiała, nie znalazł niczego, co mogłoby mu się przydać, otworzył następną i wyciągnął długi, ostry nóż.

- O mój Boże - wymamrotała Claudia. - Sam, tylko bądź ostrożny.

- Przypuszczam, że nie miałaś okazji zorientować się w rozkładzie pomieszczeń na górze? - zapytał.

Claudia pokręciła głową.

- Okej. A teraz idź do frontowych drzwi.

Odczekał, aż zajęła wskazaną pozycję, a potem podszedł do schodów i popatrzył w górę.

Na piętrze nie paliło się żadne światło.

Ktokolwiek tak jęczał, nie wydawał się groźny, ale Sam wolał nie ufać pozorom - a to, że Claudia nie widziała

Jerome'a Coopera, nie znaczyło jeszcze, że się tam nie czai. Przytknął palec lewej ręki do warg, dając Claudii znak, żeby była cicho, i ściskając w prawej garści nóż, ruszył schodami na górę.

Czwarty stopień zaskrzypiał.

Sam przystanął, odczekał, ruszył dalej, zawahał się znowu, gdy jęknął siódmy schodek, a po chwili dotarł na półpiętro. Na dworze, za wąskim oknem, które - gdy patrzył z ulicy - wydawało się nosem na „twarzy” domu, padał deszcz, więc światło z zewnątrz na niewiele się przydawało.

Nie słyszał teraz żadnych jęków, żadnych innych oznak życia.

Znalazł się na szczycie schodów.

Korytarz na piętrze był prosty, z czworgiem zamkniętych drzwi w bocznych ścianach, dwojgiem po lewej stronie i dwojgiem po prawej.

Jęki znowu się odezwały - cichsze, słabsze niż poprzednio.

Dobiegały z lewej strony, pomyślał, zza drzwi w głębi korytarza.

Posuwając się cicho i powoli naprzód, otworzył pierwsze drzwi.

Prowadziły do łazienki, pchnął je na oścież, rozejrzał się w prawo, w lewo, w górę i w dół, zrobił dwa kroki, żeby sprawdzić, co jest za nimi, po czym wszedł do środka i odsunął zasłonę prysznicową, zaglądając do pustej wanny.

Wycofał się na korytarz, gdzie znów panowała cisza, i podszedł do drzwi naprzeciwko.

Jednoosobowy pokój z wąskim tapczanem, dwudrzwiową szafą i plakatami na ścianach. Pierwszy plakat reklamował film z lat siedemdziesiątych, który Sam pamiętał: „Człowieka, który spadł na Ziemię” z Davidem Bowiem ukazany z profilu. Na ścianie naprzeciwko wisiały dwa inne plakaty z Bowiem, jeden z okresu Ziggy'ego Stardusta, a drugi z piosenkarzem w przebraniu Chudego Białego Księcia.

Pokój Jerome'a, odgadł Sam, otwierając szafę i szybko przebiegając wzrokiem jej zawartość. Znalazł jedną parę dżinsów, jedną białą bawełnianą koszulkę i parę znoszonych adidasów, co sugerowało, że Cooper wyprowadził się z domu na dobre, a nie tylko wybrał się do Seattle i na Florydę, żeby szantażować siostrę.

Spojrzał jeszcze raz na plakaty, zastanawiając się przez parę sekund nad potencjalnym znaczeniem uwielbienia, jakim cherlawy młodzieniec o złośliwych oczkach darzy ikonę rocka.

Coś kołatało mu się po głowie, jakieś nieokreślone wspomnienie.

Teraz nie pora, żeby o tym myśleć, uznał. Trzeba ruszać dalej.

Drugi pokój po tej stronie korytarza był w tej chwili pusty, ale ewidentnie zamieszkały. Nieduże dwuosobowe łóżko starannie zasłano i przykryto staroświecką beżową kapą z grubo plecionego płótna. Dwie sosnowe szafy i także komoda, pomalowana na biało toaletka z dużym okrągłym lustrem na stojaku, kilkoma słoikami i tubkami kosmetyków oraz pudełkiem chusteczek higienicznych na blacie - Sam wiedział, że wróci tu i przyjrzy się rzeczom Roxanne Lukki dokładniej, ale jeszcze nie teraz.

Wcześniej chciał sprawdzić ostatni pokój.

Pokój, skąd dobiegały jęki.

Albo ktoś w środku potrzebował pomocy, albo tylko się przyczał.

Sam przystanął przed drzwiami, ścisnął mocniej nóż w garści, nadstawił ucha. Nic.

Nacisnął klamkę.

Drzwi były zamknięte na klucz.

Przykucnął, zajrzał przez dziurkę od klucza. Dostrzegł tylko niewyraźne szare kształty, ale ostry zapach, który czuł, gdy badał własne rany, stawał się tu coraz bardziej oszłamiający i groźny.

Telefon do biura szeryfa był już dtugo opóźniony. Znowu rozległy się jęki, głośniejsze niż wcześniej. Męski głos, przepełniony bólem. Ktoś potrzebował pomocy, natychmiast. Sam użył noża, żeby otworzyć zamek. Usłyszał i poczuł trzask złamanego ostrza. Ale drzwi się otworzyły. I Sam po raz pierwszy zobaczył Franka Luccę.

#### E PI STOLA CALA NI EN AWISTNIKA

Na początku przebieranki były tylko dla niej. Dla Jewel, białej suki-czarownicy. Robiłem to, żeby sprawić jej przyjemność, bo bałem się, że się wścieknie, jeśli odmówię. Wszystko, byle uniknąć bólu. Później, kiedy zaczęło mnie kręcić całe to malowanie i reszta, uprawialiśmy je dalej, razem z innymi rzeczami, takimi naprawdę chorymi też, ale tylko we dwoje, bo powiedziała, że staremu by się to nie spodobało. A jeszcze później, kiedy zachorował - bo ona nie chciała go oddać do szpitala i powiedziała, że sama będzie go „pielęgnować” - to kurde... Ale wtedy zaczęła robić te rzeczy także jemu i wszystko już zupełnie wymknęło się spod kontroli. Nasze życie w ścianach tego domu było jak „Zwariowane melodie” pomieszane z „Rocky Horror Show”. Tylko wcale nie do śmiechu.

64

- Dobry Boże.

Straszliwy szok - tylko tak dało się opisać to, co poczuł Sam. I ogromną litość.

Jego teść był w swoim czasie kawałem sukinsyna, ale teraz wyglądał gorzej, niż gdyby odsiadywał wyrok od dwudziestu lat do dożywocia w więzieniu hrabstwa Cook.

- Claudio! - zawołał Sam, wychylając się za drzwi. - Zadzwoń na pogotowie, kochana. Potrzebna jest karetka.

Potem powoli wszedł do pokoju.

Frank Lucca siedział na wózku inwalidzkim, z nagim wychudzonym tułowiem, ramionami skrepowanymi bandażami i nieruchomymi, może sparaliżowanymi nogami. Nie był niczym okryty i nie miał żadnego ubrania z wyjątkiem poplamionych i śmierdzących białawych szortów. Nie miał w ogóle włosów na głowie, nawet brwi. Twarz była popielata i lekko opuchnięta, z rozjątrzonymi ranami na nosie, policzkach i wargach. Oczy, przekrwione i ciemne, jak u Claudii, patrzyły na Sama błagalnie. Nie odezwał się ani słowem.

Całe jego ciało - o ile Sam zdołał się zorientować - było pokryte bliznami i otwartymi ranami. Mnóstwo szram, większość biegła pionowo albo ukośnie przez tors, przy czym największe zagęszczenie znajdowało się na piersiach.

A jedno z dławiących, wstrząsających uczuć, które bombardowały Sama, gdy po raz pierwszy przyglądał się ojcu Grace, wiązało się z podejrzeniem, że kiedy podda dokładniejszym oględzinom własne rany, może znaleźć podobieństwa...

Ale to była tylko jedna z potraconych strun, które razem zaczęły wybrzmiewać dziwnie znajomym, budzącym grozę akordem.

Myśli układały się w coraz dłuższe ciągi, spajając oderwane ogniwa w logiczny łańcuch.

Grana przez Bowiego postać z jednego z plakatów, czyli pijący dzin kosmita, który spadł na Ziemię, nazywał się Thomas *Jerome* Newton - a Sam przypomniał to sobie tylko dlatego, że dziewczyna, z którą chodził na studiach, miała hopla na punkcie Bowiego. Ziggy Stardust, pomyślał, był

wcześniejszym wcieleniem niż kosmita - choć akurat chronologia się nie liczyła. Liczyło się natomiast coś innego, dziwnego i mrożącego Samowi krew w żyłach: połyskujące stroje i buty na wysokich obcasach, jakie nosiła ta postać.

Podobnie ubierał się chudy srebrzysty anioł bez skrzydeł, zauważony przez Mildred.

Miał buty, w których wyglądał, jakby chodził „na półpię-trze”, jak się wyraziła.

„Chryste Panie”.

- Proszę pana - zwróci! się po raz pierwszy do teścia, choć nie by! pewien, czy ten jest w ogóle w stanie mówić.

- Sam? - zawołała z dołu Claudia. - Karetka już jedzie. - Głos jej zadrżał, jakby wahała się, czy zadać pytanie. - Czy to po mojego ojca?

- Tak - odkrzyknął Sam. - Lepiej przynieś tu jakiś koc. Następny jęk, okropny w swojej bezradności, wyrwał się

Frankowi Lukce z gardła, a z oczu popłynęły mu łzy.

Sam wyciągnął z kieszeni chusteczkę, przykląkł na linoleum obok wózka inwalidzkiego i delikatnie wytarł starszemu mężczyźnie policzki.

Nigdy by nie pomyślał, że taki dzień w ogóle nadejdzie.

- Już dobrze - powiedział łagodnym tonem. - Jestem Sam Becket, mąż Grace. Pomożemy panu.

Claudia weszła do pokoju z niebieskim kocem, który wypadł jej z rąk, gdy ujrzała ojca, okrutnego prześladowcę z koszmarów młodości, zredukowanego do obecnej postaci.

- Tato - wykrztusiła i też się rozplakała.

Frank Lucca wpatrywał się w nią i zamilkł, gdy własne łzy uwięzły mu w gardle. Wygląda!, jakby skamieniał na widok dawno utraconej córki.

- Rozetnij mu więzy - powiedziała Claudia.

- Jasne - odparł cicho i spokojnie Sam, wyciągając komórkę i wybierając funkcję aparatu fotograficznego - jak tylko zrobię parę zdjęć.

- Materiały dowodowe - rzekła ze zrozumieniem.

- Właśnie - potwierdził.

Najpierw jednak musiał zadać dwa pytania.

- Kto panu to zrobił?

Czekali, żeby się przekonać, czy starszy mężczyzna w ogóle może mówić.

- Moja żona - odezwał się słabym głosem Frank Lucca. - Roxanne. Sumowały się kolejne fakty. Cała masa podejrzeń, niepo-partych dowodami, wciąż niesamowitych, lecz układających się we wzór, który był dla Sama znacznie bardziej przekonujący niż zwyczajne domysły. Pora na drugie pytanie.

- Czy może mi pan powiedzieć - zapytał - czy pańska żona znęcała się kiedykolwiek nad swoim synem?

Zdawało się, jakby oczy Lukki zapalały na wspomnienie koszmarów, które widziały.

A potem starszy mężczyzna znowu przemówił, jednym słowem:

-*Monstro.*

Potwór.

#### EPISTOŁA CALA NIENAWISTNIKA

Tak więc wszystko sprowadza się do tego. Tysiące zadr i urazów, które narastają przez lata niczym czyraki na mózgu i pękają pojedynczo za każdym razem, gdy odbija szajba. A potem nagle masz go przed sobą. Tego jednego człowieka, swój doskonały cel.

Uosobienie i wzór wszystkiego, czego Jewel uczyła mnie nienawidzić. Samuel Lincoln Becket.

Całe mnóstwo pretensjonalnej arogancji bije z tego drugiego imienia niczym smród od gnoju.

Drugie imiona są, według Jewel, ważne i właśnie dlatego ochrzciła mnie drugim imieniem swojej ulubionej postaci, zagranej przez Bowiego.

Powiedziała, że nie podoba



jej się pierwsze imię, Thomas, bo pochodzi od apostoła, który nie uwierzył Jezusowi, a imię Jerome wywodzi się od świętego Hieronima, który przetłumaczył Biblię na łacinę (i według niej jest to także jedno z dalszych imion Clarka Kenta).

Ale przede wszystkim Jewel miała świra na punkcie Bo-wiego.

Przede wszystkim po prostu ma świra.

65

Zaraz po zrobieniu kilku zdjęć Frankowi Lukce i uwolnieniu biedaka z bandaży Sam zostawił go pod opieką Claudii i zadzwonił do Grace, żeby przedstawić jej sytuację.

- Zdaje się, że twoja macocha to niezła wariatka - podsumował. - Chociaż przypuszczam, że jej syn jest jeszcze gorszy.

Grace nie mogła w to wszystko uwierzyć.

- Naprawdę uważasz, że Jerome może się okazać tym zabójcą?

- Nie mam na razie żadnych dowodów - powiedział Sam - ale zamierzam objąć nasz dom policyjnym nadzorem, na wypadek gdyby chłopak postanowił złożyć następną wizytę.

- Teraz na pewno tego nie zrobi, zwłaszcza jeśli słusznie podejrzewasz - odparła Grace, a potem się zawahała. - Chociaż jeśli matka powiedziała mu, że ty i Claudia zjawiliście się w jej domu, to może się zdenerwować.

- Tak czy inaczej - zauważył Sam - lepiej dmuchać na zimne.

Następnie wykonał telefon do biura szeryfa, a później do Martineza.

- Dużo się tutaj dzieje - przerwał Samowi Martinez, gdy tylko usłyszał jego głos. - Parę godzin temu do naszego biura przyszedł Eddie Lopez.

- To nie nasz sprawca - powiedział Sam. - Na osiemdziesiąt procent, może nawet więcej.

Szybko zrelacjonował partnerowi ostatnie wydarzenia i wyraził nadzieję, że w wyniku rozmowy, którą może właśnie w tej chwili odbywają szeryf hrabstwa Cook i komendant Hernandez, zakres uzgodnionej współpracy pozwoli mu zdążyć na samolot do domu o ósmej wieczorem.

- Przyjmą ode mnie wstępne zeznanie, sfotografują moje rany...

- A właściwie jak się czujesz, stary? - wpadł mu w słowo Martinez. - Mówiłeś, że to „zadrapania”.

Sam starał się nie myśleć o potwornym bólu rozoranego ciała.

- Trochę jodyny i się zagoi. - Z pewnym wysiłkiem skoncentrował się znowu na pracy. - Znalazłem zdjęcie Coopera i poproszę, żeby ci z biura szeryfa przesłali je komendantowi, więc się o nie upomnij.

- Dobra - odparł Martinez. - A jak tam Claudia?

- Roztrzęsiona, ale zaopiekuje się ojcem aż do przyjazdu karetki. - W Miami Beach - ciągnął dalej - wydano nakaz aresztowania Jerome'a Coopera, a w hrabstwie Cook - Roxanne Lukki.

- Fajna rodzinka - skwitował Martinez.

- Znalazłeś Mildred? - spytał Sam.

- Jeszcze nie, bo zjawił się Lopéz i nie miałem czasu. Ale teraz przynajmniej nie musimy jej pokazywać zdjęć drugiej ofiary. Wystarczy, żeby zidentyfikowała samego Coopera.

- Mildred jest świadkiem, bo widziała ich razem na Washington - powiedział Sam. - Musimy jak najszybciej ją znaleźć.

- Dobra - powtórzył Martinez.

Sam słyszał już wycie syren w Melrose Park, jeszcze raz z wdzięcznością pomyślał o poczciwej starszej pani, która obdarzyła go zaufaniem.

- Spróbuj zadzwonić na jej komórkę - doradził. - Nie chciałbym, żeby się wystraszyła.

## EPISTOŁA CALA NIENAWISTNIKA

Myślę, że Jewel najbardziej lubiła, kiedy we dwoje się wybielaliśmy. Jeśli byłem „grzeczny”, po ogoleniu nacierała mnie talkiem, a później kazała, żebym pomógł jej też się wybielić i dopilnował, żeby nie ominąć żadnego skrawka skóry, i przyznam, że tego najbardziej nienawidziłem, bo musiałem dotykać jej intymnych miejsc, i nawet teraz, jak o tym myślę, to aż mnie skręca.

Kiedy wyszła za Franka, przez jakiś czas było nam lżej, a przypuszczam, że wybrała go dlatego, że miał własny dom, chociaż z drugiej strony, mnóstwo facetów ma takie zwyczajne stare domy jak on, więc tak do końca nigdy nie zrozumiałem, jak Jewel może znieść życie ze starym, łysym i brzydkim facetem o owłosionym cielsku. Przypuszczam, że po prostu faceci w typie Chudego Białego Księcia nawet nie raczyli na nią spojrzeć. No i oczywiście zbliżyło ich to, że Frank miał podobne poglądy na temat rasy - zwłaszcza że jedna z jego zdradzieckich córek wyszła za czarnego Żyda. Wiem, że stary czasem dawał jej po twarzy - i może jej się to podobało, a sam nigdy nie byłem pewien, czy bardziej go za to nienawidzę, czy szanuję, bo Bóg mi świadkiem, że nie odważyłem się nigdy zrobić Jewel czegoś takiego.

Kłopot w tym, że Frank często grał z kumplami w scopone, wychodził popołudniami i zawsze wracał dopiero nad ranem, narąbany jak stodoła. Wcale by mi to nie przeszkadzało, gdyby nie to, że właśnie jak go nie było, Jewel zmieniała się w białą czarownicę i chciała się bawić w przebieranki ze swoim chłopcem.

Talk już jej nie wystarczał. Zapragnęła eksperymentów z prawdziwymi wybielaczami skóry, próbowała wszystkiego od starego dobrego chloroksu, przez kwas chlorowodorowy aż po cholerny ług, a wszystko to bolało tak bardzo, że naprawdę myślałem, że zaraz umrę.

Jednej nocy wciąż wrzeszczałem z bólu, kiedy Frank wrócił do domu i dostał szału, jak zobaczył, co zrobiła, i wtedy właśnie dostał drugiego wylewu.

I potem robiła to nam obu.

Nie jestem pewien, czy mama jest złą rasistką.

Czy zwyczajną wariatką.

Jak ja.

- Robię to, bo bardzo cię kocham - mawiała mi czasem, kiedy byłem młodszy, po tym jak mnie pocięła albo wychłostała, a następnie oblała tym swoim cholernym wybielaczem, doprowadzając mnie do płaczu albo czegoś gorszego.

Naprawdę mnie kochała. Nigdy w to nie wątpiłem.

66

- Mam tylko chwilkę - powiedziała Claudia do Grace przez telefon, podczas gdy sanitariusze zajmowali się ich ojcem, a Sam na parterze rozmawiał z dwoma detektywami z hrabstwa Cook - ale muszę wyjaśnić, dlaczego cię okłamałam.

- Właściwie nie skłamałaś - odrzekła Grace. - Sama założyłam, że wracasz do męża.

- Ale to było właściwie kłamstwo - obstawała przy swoim Claudia. - Po prostu czułam, że tym razem powinnam sama podjąć walkę, posprzątać własny bałagan.

- Mogłaś mi to powiedzieć, siostrzyczko.

- Nie puściłabyś mnie tam za żadne skarby.

- Może i nie - przyznała Grace.

- Chciałam spojrzeć tacie prosto w oczy, powiedzieć jemu i Roxanne, jaki Jerome naprawdę jest. - Claudia zniżyła głos. - Ale na Boga, Grace, gdybyś go tylko zobaczyła, gdybyś na własne oczy zobaczyła, co ta okropna kobieta ojcu zrobiła... i proszę, nie myśl, że zapomniałam mu winy

z przeszłości. Nie, nie zapomniałam. Ale nikt nie zasługuje na coś takiego.

Grace milczała, czekając, aż fakt, że ojciec najwyraźniej był torturowany przez swoją żonę, przeniknie w pełni do jej świadomości i wywoła silną reakcję, jaką powinna, jak sądziła, odczuć jako córka.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. A przynajmniej nic poza abstrakcyjnym, rozmytym poczuciem litości i odrazy, jakie budzą czytane w gazetach reportaże o przemocy. Właściwie sytuacją ojca niewiele się przejęła. I zdaje się, że to odkrycie wpłynęło na nią silniej niż szokujące informacje o Franku, sprawiając, że poczuła wstyd, ale też złość, bo winę za to ponosił ojciec, a nie ona: to przez niego dawno temu przestała się o ojca troszczyć.

Szukała właściwej odpowiedzi, słów, które mogłyby pomóc siostrze, ale na myśl cisnęło jej się tylko jedno, więc bez ogródek zapytała:

- Zadzwońska już do Daniela?

- Jeszcze nie - odparła Claudia. - Ale niedługo to zrobię.

- Nie zwlekaj z tym zanadto, siostrzyczko - ostrzegła Grace, bo nie chciała, by siostra dalej cierpiała. Wciąż było mnóstwo ludzi, na których jej zależało, których wciąż kochała.

#### EPISTOŁA CALA JMIENAWISTNIKA

Wreszcie zrozumiałem, że muszę się stamtąd wydostać albo kompletnie zwariuję. A może nawet umrę. Co byłoby chyba lepsze.

O ucieczce nie mogło być mowy bez pieniędzy, a znałem tylko jeden pewny sposób na ich zdobycie, tylko jeden swój talent. Zacząłem więc wykorzystywać to, czego nauczyła mnie Jewel o przebierankach, do własnych celów, składając jednocześnie osobisty hołd Ziggy'emu, i postanowiłem,

że będę się sprzedawał każdemu, kto zaoferuje odpowiednią cenę. Zmieniłem imię, bo tak czynią artyści estrady, i zrobiłem to etapami. Zacząłem od odjęcia dwóch pierwszych liter rzeczywistego imienia i przezwałem się *Rome* - Rzym, bo to zdawało się fajnie pasować do wyuzdania, orgii i takich klimatów. A potem przeczytałem o jednym rzymskim cesarzu, tym skończonym wariacie Kaliguli, który posuwał własne siostry i kazał zabić mnóstwo ludzi.

I właśnie tak stałem się Cal, a Roxy zyskała imię Jewel.

Ale tylko u mnie, w Epistole. Ona sama nie ma pojęcia, jak ją przezywam, i wiem na bank, że wcale by jej się to nie spodobało.

Nie chcę nawet myśleć, co by mi zrobiła, gdyby się dowiedziała.

Właśnie kiedy czytałem o Kaliguli, odkryłem, że jego matka miała na imię Julia - co nie pasowało do Roxanne ani trochę, bo to imię z klasą i zbyt proste - ale potem zacząłem się nad tym zastanawiać i przypomniało mi się, jak to ludzie mówią, że diament jest najtwardszym minerałem na ziemi, więc przyciąłem „Julię” do „Jewel”, co idealnie do niej pasuje.

O „Calu” też nic nie wie.

Ostatnimi czasy dla wszystkich klientów jestem Cal.

Tabby nie był pierwszym, któremu to imię się spodobało, o ile mnie pamięć nie myli.

Próbowałem być zwyczajnym Jerome'em, kiedy starałem się naciągnąć przybraną siostrę na forszę.

A tak dla ścisłości, te pieniądze miały być nie tylko dla mnie. Miały być też dla Jewel. Może i boję się mamy jak diabli, ale nie zawsze jej nienawidzę, a zdaję sobie sprawę, jak musiała się nameńczyć, opiekując się tym starym niedołącznym przykiem, więc może, pomyślałem sobie, gdybym zdobył dość kasy, mógłbym dać nowe życie także jej.

To nie moja wina, że wychowano mnie w nienawiści.

Nie tylko do „tych” ludzi, ale też do Grace i Claudii.  
Uznałem, że pora, żeby jedna z nich zapłaciła za moje parszywe życie.  
A Becket nie powinien był robić mi tego, co zrobił przed ich domem.  
Cał Nienawistnik tego nie daruje.

67

Mildred była tego wieczoru w lepszym humorze.

Jedna z jej znajomych - która od czasu do czasu dostarczała sporo smakowitych kanapek na koniec dnia - przyszła wcześniej, żeby się przywitać, i zapytała, czy Mildred zechciałaby wpaść do jej kawiarni około szóstej, bo personel już sobie pójdzie, co znaczy, że tym razem sama będzie musiała zamknąć lokal.

- Szczerze mówiąc, twoje towarzystwo sprawiłoby mi przyjemność - powiedziała kobieta.

Kiedy indziej Mildred rzuciłaby może jakąś cierpką czy wręcz cyniczną uwagę - a prawie na pewno pomyślałaby tak w skrytości ducha - ale dosyć lubiła tę miłą osobę, a wzięwszy pod uwagę nerwową atmosferę ostatniego tygodnia, pomyślała, że byłaby głupia, gdyby odmówiła. Teraz właśnie tam szła.

68

- Naprawdę myślę, że powinniście wrócić do domu - powiedziała Grace parę minut po siódmej wieczorem. Niedawno, tuż po kolejnym telefonie z Chicago, wykąpała i położyła dziecko spać. - Sam jedzie już na lotnisko i około północy będzie w domu.

- Zostaniemy do jego powrotu - oświadczył David.

- Nie, nic z tego - odparła, bo wiedziała, że teść napraw-

dę źle się czuje, a podczas wcześniejszej rozmowy Saulowi wyrwało się, że ma zamówienie na krzesła, które powinien jutro skończyć, poza tym bardzo jej ulżyło, że Sam i Claudia oboje mają się dobrze, ale padała z nóg. - Widziałeś radiowozy, więc wiesz, że absolutnie nic mi nie grozi, a szczerze mówiąc, jestem skonana.

- Dlatego myślę, że powinniśmy zamówić kolację - zasugerował Saul.

- No dobrze - uległa Grace. - Ale potem wracacie do domu. - Przyłożyła dłoń do pomarszczonego czoła Davida. - Stanowczo za ciepłe.

- W czerwcu w Miami - powiedział - zawsze jest ciepłe.

- Ale tutaj jest chłodno - odparła. - Saul, powiedz ojcu.

- Przecież wiesz, że to nic nie da.

- Co chcielibyście zjeść? - zapytał David.

- Ty wybierz. - Grace wyciągnęła zza opiekacza kolekcję ulotek z ofertą dań na wynos.

- Nie jestem szczególnie głodny - przyznał.

- Aha - powiedziała.

- Czyli że Claudia wraca do domu? - David zmienił temat.

- Tak, jak tylko Frank znajdzie się pod właściwą opieką.

- Czy na pewno dobrze zniesie, że tak go zostawicie? -zapytał Saul.

- Nie wiem - odparła.

Znowu czekała na jakieś wewnętrzne szarpnięcie, wyrzuty sumienia czy skrupuły, na wewnętrzny głos, który nakazałby jej polecieć do Chicago i zaopiekować się starym, chorym ojcem.

Ale wciąż nic takiego nie czuła.

69

Dzięki szeryfowi Sam nie napotkał problemów, gdy zgłosił się do odprawy na lotnisku O'Hare'a później niż zwykli pasażerowie.



Przeszedł szybko przez terminal numer trzy, ignorując odświetnie udekorowany flagami pirs i większość stoisk z jedzeniem, kupił sobie kubek czarnej herbaty, połknął parę tabletek tylenolu, przeszedł przez kontrolę, a potem ruszył prosto do odpowiedniego wyjścia. Nie zwalniając kroku, zadzwonił jeszcze raz do domu.

- Nie mogę się doczekać, kiedy cię znowu zobaczę - oświadczył Grace. - Ucałuj ode mnie dziecko.

- A co z jego mamą?

- To inny rodzaj pocałunku - powiedział. - Kocham cię, Gracie.

Prawie wszyscy pasażerowie byli już w samolocie, ale Sam zadzwonił jeszcze szybko do Martineza.

- Znalazłeś Mildred?

- Wybrała się na kolację, uwierzysz? - powiedział Martinez. -

Zadzwoniłem do niej i wysłała mi esemesa. Za jakiś czas mam ją stamtąd osobiście odebrać.

Dopiero gdy znalazł się na pokładzie i usiadł, Sam zdał sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczony. Głowa bolała go od ciosu ciężką połączaną lampą, którą zdzieliła go Roxanne Lucca - później nie znaleźli na niej żadnych odcisków palców, nic dziwnego - a paskudna pamiątka w postaci długich, głębokich zadrapań na piersi zostanie mu, jak przypuszczał, jeszcze na długo.

- Mamy dziś wieczorem szczęście - oznajmił Samowi jeden ze stewardów, sympatyczny młody mężczyzna imieniem Azam, gdy czekali na zgodę na start. - Wcześniej było kilka problemów technicznych, więc musieliśmy zmienić samolot na 767.

Sam przypuszczał, że gdyby nie był tak zmordowany, już wcześniej zauważyłby, że fotel jest trochę wygodniejszy niż ten, w jakim siedział podczas poprzedniego lotu, ale gdy wielki odrzutowiec ruszył przez płytę lotniska i wjechał na pas startowy, zmęczony umysł Sama z uporem wracał do sadystycznych skłonności, które Roxanne przekazała, jak sądził, swojemu synowi. Ją samą trzeba było jeszcze złapać, ale wcześniej czy

później musiało to nastąpić. Sam ufał w sprawność organów ścigania na tyle, by być tego pewnym, podobnie jak faktu, że postawią jej zarzuty bezprawnego pozbawienia wolności, pobicia, czynnej napaści z użyciem broni i prawdopodobnie jeszcze inne.

Co do Jerome'a Coopera, to może po części należało mu współczuć jako jednej z ofiar Roxanne, chociaż jeżeli odziedziczył po niej brutalne upodobania, które przyjęły w jego wydaniu jeszcze potworniejsze rozmiary...

Na razie Sam dysponował jedynie poszlakami.

Były więc plakaty w sypialni i drugie imię postaci granej przez Davida Bowiego - nawet nie tej, którą zdawał się przypominać z wyglądu młody mężczyzna, opisany przez Mildred Bleeker.

Rany na piersi Sama i całym ciele Franka Lukki przypominały te znalezione na zwłokach obu mężczyzn na Florydzie - lecz w Illinois w obu wypadkach zadała matka, nie syn.

Odór wybielacza.

Gdyby Sam nie wiedział, że Jerome przebywał w okolicach Miami dzień przed znalezieniem drugich zwłok - a Claudia ostatni raz widziała Coopera na wyspie Bainbridge w poniedziałek poprzedzający zabójstwo Sanjiva Adaniego, co oznaczało, że miał dość czasu, by dotrzeć do Miami w samą porę, aby popełnić także to morderstwo, jeśli podróżował samolotem, pociągiem, a nawet autokarem... - a więc gdyby nie te okoliczności, wszystkie owe cholernie słabe poszlaki wskazywałyby raczej na Roxanne niż na Coopera.

Ale Sam założyłby się o ostatniego centa, że to on.

Uśmiechnął się do siedzącej po prawej bizneswoman, po czym wyrwał przez okno po lewej i postanowił w duchu zrobić sobie przerwę w pracy. Pomyślał więc o domu, o Grace i Joshui.

O wychowywaniu syna w tym strasznym świecie.

Dziób boeinga uniósł się w niebo.

Sam już spał.

70

Mildred wciąż czuła się całkiem nieźle.

Znowu była w domu, na swojej ławce.

Zdażyło się już ściemnić, ale zdawało się, jakby wszystkie jej lęki wyparowały.

Mili ludzie mają niekiedy taki wpływ na innych, o czym warto pamiętać.

Zdać sobie sprawę, że mimo długich lat spędzonych poza nawiasem społeczeństwa istnieją miejsca, do których ona nadal może się wślizgnąć, i ludzie, którzy rzeczywiście chcą spędzić z nią trochę czasu.

Żołądek miała pełny, na niebie wschodziły gwiazdy, a muzyka na Ocean Drive zdawała się dziś wieczorem odrobinę mniej hałaśliwa, fale oceanu także były łagodne i wiedziała, że wkrótce zaśnie.

Przypomniała sobie wcześniejszy telefon od przyjaciela Samuela i uznała, że jeśli sprawa jest rzeczywiście ważna, wkrótce sam ją tutaj znajdzie.

Jeśli przyjdzie, to przyjdzie...

71

Cał czekał.

Ten akurat plan mu nie leżał. Jeszcze nigdy w życiu nie zrobił nic takiego. To, co planował, było złe. Gorsze niż to, co uczynił Kocurowi i temu pierwszemu facetowi, bo w sumie tamci byli głupi, prosili się o kłopoty i je dostali.

„Ona też się o to prosi”.

Przypuszczał, że jest w tym trochę prawdy. Bo zawsze była w pobliżu i gapiała się na niego tym swoim osądającym wzrokiem jak jakaś nemezis - to słowo podobało mu się od chwili, gdy pierwszy raz przeczytał je w czasopiśmie i sprawdził w słowniku, z którego dowiedział się,

że Nemezis była boginią zemsty, i nigdy by nie pomyślał, że kiedykolwiek znajdzie dla niego użytek, ale chociaż w odniesieniu do tej staruchy budziło śmiech, Cal tak właśnie o niej myślał. Nemezis.

Ale już nie na długo.

Dziś wieczorem było dość spokojnie, wokół kręciło się mało ludzi, a on przygotował się na podjęcie takiego ryzyka, wiedział, że będzie musiał być szybki jak kobra...

Tylko jedna para po prawej, jakieś dwadzieścia metrów od ławki, gdzie wśród swoich tobołków leżała bezdomna -to stare, śmierdzące ptaszysko. I mężczyzna po lewej, w średnim wieku i z brzuszkiem, spacerujący promenadą, jakby miał mnóstwo czasu.

Cal chętnie by go zamordował.

Ale musiał się powstrzymać.

Długo i intensywnie zastanawiał się, jak zrobić to najlepiej.

Tym razem inaczej, nie przez uduszenie. To było dosyć łatwe, kiedy tamci szli przodem, nie spodziewając się ataku, tylko seksu albo czegoś po seksie. Ale ona leżała.

Wyobraził sobie jej szyję, starą i pomarszczoną.

Wolałby w ogóle się do niej nie zbliżyć, a co dopiero dotykać.

Para z prawej sobie poszła, ale cały czas w okolicy kręcili się jacyś ludzie, choć nikt nie podchodził zbyt blisko ławki starej kobiety, bo dla większości bezdomni są czymś wstydlwym, więc ludzie trzymają się od nich z daleka, chyba że chcą się z któregoś z nich ponabijać albo może zostawić im ukradkiem dolara. I to Calowi odpowiadało.

Grubawy facet wciąż był obok, zatrzymał się i patrzył na ocean.

Zasługiwał na śmierć.

Jeśli wkrótce się nie ruszy, Cal może zmienić zdanie i jednak go zabić.

Mężczyzna poszedł piaszczystą drogą dalej, w stronę plaży.

Cał rozejrzał się dookoła. Włożył rękawiczki. Wyciągnął nóż sprężynowy. Wysunął ostrze.

72

W domu na wyspie Bay Harbor Grace właśnie wywołała Saula z kuchni, gdzie David siedział i wpatrywał się myślami beczynn timer w nietkniętą miskę rosółu z kurczaka, który podgrzała dla niego kilka minut temu, ponieważ nie miał apetytu ani na sushi, które zamówił Saul z restauracji, ani na jajko na miękko, które mu zaproponowała.

- Chcę, żebyś zaraz odwiózł tatę do domu - powiedziała do Saula. - Bez względu na to, co mówi, jestem pewna, że ma gorączkę.

- Na pewno masz rację - odparł Saul. - Ale znasz tatę.

- Jeśli oboje się uprzemy, będzie musiał posłuchać - powiedziała. - Nie tylko że martwię się o niego, ale nie chciałabym, żeby zaraził jeszcze Joshuę.

- Może wyślę ojca do domu taksówką - zaproponował Saul - i zostanę tutaj.

- A zamówione meble same się wykończą? - spytała Grace.

- Jeśli rozmawiacie o mnie - zawołał David z kuchni -to jeszcze się nie wykończyłem!

- Po prostu wolelibyśmy, żebyś wrócił do domu. - Grace stanęła w drzwiach. - I położył się do łóżka, gdzie twoje miejsce.

- Moje miejsce jest tutaj - odparł David - póki nie wróci Sam.

- Sam na pewno by nie chciał, żebyś się rozchorował -zaprotestowała Grace. - Policyjne radiowozy przejeżdżają obok co dziesięć minut, na dodatek mam Woody'ego i przez cały czas będę trzymać przy sobie telefon, na wypadek gdyby

Jerome Cooper włamał się przez okno. - Spostrzegła, jak w oczach Saula wzbiera niepokój. - Czego na pewno nie zrobi.

73

Mildred śniła o Donnym.

Piękny sen, w którym trzymając się za ręce, spacerowali po South Beach i oboje byli młodzi, jej lśniące włosy ciemną peleryną opadały na ramiona, a Donny puścił jej dłoń i objął ją ramieniem, tuląc mocno do siebie...

Ale to nie jego ramię.

-Ani mru-mru!

Nie jego głos.

-Ani piśnij, starucho, albo tak cię załatwię, że pożałujesz.

Mildred zbudziła się przerażona.

Czyjaś dłoń zaciskała się na jej ustach, ciężar żylastego mężczyzny, zbyt ciężki, by była w stanie się bronić.

Wiedziała, kto to jest.

Jej anioł śmierci. Przyszedł po nią.

„Pomóż mi, Donny” - zawołała w myślach.

- Nie powinnaś była tak się na mnie gapić - powiedział jej. - Nie powinnaś była zjawiać się tam, gdzie nie trzeba.

Mildred poczuła, jak ostrze przecina lekki koc, a potem warstwy poliestru, starej wełny i bawełny, i gdyby mogła, broniłaby się jak lwica, bo życie jest cenne, ale choć wyglądał na chudzielca, ten anioł okazał się silny, a ona była tylko słabą starą kobietą...

I może wysłał ją prosto do Donny'ego.

Ale jak to bolało, dobry Boże, jak bolało.

„Poczekaj na mnie, Donny”.

74

Jakiś czas temu obudzono Sama. Podawano pasażerom posiłek. Z zaskoczeniem stwierdził, że jest dosyć głodny.

Pierś nadal bolała, ale z głową było lepiej, co stanowiło dobry sygnał, bo wstrząs mózgu wyłączyłby go z pracy na dzień albo dłużej, a jeśli kiedykolwiek trafiła się sprawa, którą Sam Becket pragnął doprowadzić do końca, to właśnie ta.

Nie przypominał sobie, by do dzisiaj kiedykolwiek miał ochotę skorzystać z telefonu pokładowego, ale ten boeing miał aparaty przy każdym fotelu, a jemu zachciało się znów porozmawiać z Grace.

Połączenie z satelitą się nie powiodło.

Później, pomyślał i ułożył się znowu do drzemki.

75

David uległ wreszcie ich presji oraz niezaprzeczalnemu faktowi, że czuł się parszywie.

- Mam wrażenie, jakbym cię zawiódł - wyznał przy drzwiach.

- Jesteś chory - powiedziała Grace, po czym zwróciła się do Saula: -

Dopilnuj, proszę, żeby od razu położył się do łóżka.

- Tak jest, pani doktor - zapewnił Saul.

- A ty nie zapomnij dokładnie za nami zamknąć - przypomniał David.

Saul wcześniej przeszedł z nią przez cały dom, sprawdzając każde okno i upewniając się, że drzwi na taras są zamknięte na klucz.

- i nie zapomnij o telefonie - dodał David.

- Także tym komórkowym - dorzucił Saul.

- Błagam, przestańcie wreszcie - poprosiła Grace. - Takim gadaniem z każdego zrobilibyście kłębek nerwów.
- Jeśli się denerwujesz - zasugerował Saul - to mogę...
- Idźcie już - powiedziała i otworzyła drzwi.

76

Kiepski obrazek, ten tutaj.

Nieodczowny z praktycznego punktu widzenia i znacznie mniej makabryczny niż poprzednie, ale naprawdę zły. Zwłaszcza w jego świadomości.

Bo właściwie gdy Cal ją zostawił, wyglądała tak samo jak wtedy, gdy przyszedł.

Ot, stara bezdomna, śpiąca na ławce.

Wolałby zaciągnąć ją na wydmy, zrobić to tam i ukryć ją w kępach wysokich traw, nie tak na widoku, ale po drodze coś mogłoby pójść nie tak, a poza tym nie zważając na zakazy, niektórzy wałęsali się po wydmach i mogliby się na nią natknąć. Zresztą i tak nikt nie chodził po parku, sprawdzając, czy śpiący włóczędzy żyją, czy nie.

Oprócz gliniarzy, oczywiście, od czasu do czasu.

Takich jak Becket.

Tuż po tym, jak ją załatwił, Cal wymył nóż w oceanie, a później wetknął go z powrotem za pas szortów i schował pod koszulką.

Miał dziś w nocy więcej do zrobienia.

Znacznie więcej.

77

Pokusa, żeby wziąć Joshuę z kołyski i zanieść ze sobą do łóżka, rzadko była większa.

Tylko że mały prawdopodobnie obudzi się jeszcze późno w nocy, więc nie byłoby fair niepokoić go teraz, bo potrzebo-



wał snu - ona zresztą też, jak przypuszczała. Grace stłumiła więc tę chęć i tylko pochyliła się, całując jego piękną główkę, po czym wyszła z pokoju. Aby położyć się w swoim - aż nazbyt pustym - łóżku.

Naszedł ją obraz Franka Lukki.

Wyobraziła go sobie starego i cierpiącego, tak jak opisała go Claudia. Dając w ten sposób do zrozumienia, że jest prawie niemożliwością, by nadal go nienawdziła po tym, co wycierpiał.

Wzięła poduszkę Sama i wtuliła się w nią, wdychając jego zapach.

Wypchnęła z myśli starego ojca.

Próbowała natomiast pocieszyć się tym, że gdy się obudzi, Sam będzie już w domu.

78

Cal znowu czekał, już od dłuższego czasu. Wystarczająco długo, by zobaczyć przejeżdżające radiowozy.

I upewnić się na tyle, na ile to możliwe, że Sama Becketa nie ma w domu, pewnie pracuje do późna w nadziei, że złapie podwójnego zabójcę.

Teraz potrójnego.

Ostatnim razem przyszedł tutaj jako Jerome. Cherlawy syn Roxanne Cooper. Jej chłopiec do bicia. Mniej niż człowiek. A Samuel Becket skopał mu tyłek. Nie powinien był tego robić. O nie.

Teraz Cal, syn Jewel, trzymał w obleczonej w rękawiczkę dłoni mielone mięso wymieszane z trzema sproszkowanymi tabletkami rest-ezee, co, jak wykalkulował, powinno starczyć, by zamknąć temu wrednemu, warczącemu niskopiennemu kundlowi mordę na dobre.

Od tyłów domu dzieliła go jedynie niska furtka, a potem był tylko ogrodzony taras ze specjalną klapą dla psa. Otwór prowadził prosto do środka domu.

Tatko gliniarz powinien był bardziej uważać.

Przebrzydły kundel ujadał za każdym razem, gdy obok przejeżdżał radiowóz, więc teraz ktoś mógł się jeszcze wkurzyć, ale nikt nie będzie traktował szczekania poważnie.

Coś sprawiło, że lokalnych gliniarzy postawiono w stan najwyższej gotowości. Ostatni wóz patrolowy przejechał tędy parę minut temu. Poprzedni dziesięć minut wcześniej. A piętnaście minut przed nim jeszcze jeden. Cal postanowił poczekać, aż następny radiowóz wykona okrążenie, i zaraz potem ruszyć do akcji.

W domu była tylko ona i dzieciak. Cal nie mógł być tego bardziej pewien. Odkąd tu czatował, za oknami przesuwał się pojedynczy cień.

Kobieta.

Siostra Grace.

Przypomniał sobie potępiające spojrzenie, jakim patrzyła na niego podczas obu jego wizyt. Suka.

Powinna wiedzieć, co się stało z ostatnią kobietą, która patrzyła na niego w ten sposób - wtedy szybko zmieniłaby nastawienie.

Chciał tylko trochę szacunku i dziesięć patyków.

Prawdopodobnie zgodziłby się na pięć, gdyby padła taka oferta.

Ale Becket go kopnął.

Grace obudziła się po raz kolejny, gdy Woody zaczął szczekać, co powtarzało się jak w cholernym zegarku, odkąd David i Saul wyszli, co najmniej raz na piętnaście minut, i zaczęła się wręcz zastanawiać, czy nie poprosić uprzejmie policjantów, żeby może ograniczyli częstotliwość patroli do dwóch na godzinę.

Ale przypuszczała, że ponieważ poziom przestępczości na wyspach należy do najniższych na całej Florydzie, skwapliwie zgodzili się pomóc. A skoro Sam, jako jeden z nich, poprosił o patrole, to raczej nie przejmą się jej życzeniami.

Zresztą musiała przyznać, że lepiej pomęczyć się trochę w nocy, niż ryzykować, że gdzieś w pobliżu może być ktoś taki jak Jerome...

Westchnęła, wstała z łóżka, poszła znowu sprawdzić, czy Joshua się nie obudził.

Malec spał spokojnie, tylko pozazdrościć.

Grace podeszła do okna, zobaczyła tylne światła czarno-białego radiowozu, który właśnie powoli się oddalał, i poczuła się jeszcze pewniejsza.

O co zresztą w gruncie rzeczy chodziło.

- Idź spać! - zawołała ściszym głosem do Woody'ego na parterze.

Przestał szczekać.

Grace wróciła do łóżka.

„Sam wkrótce tu będzie”.

Znowu zasnęła.

Cał umiał się cicho poruszać.

Lata praktyki, przemykania na paluszkach obok pokoju, gdzie akurat przebywała matka.

Nie zawsze mu się udawało, bo Jewel potrafiła usłyszeć spadające piórko z odległości pierdolonych dwudziestu metrów.

Czarownica.

Ale dzięki temu nauczył się być bezszelestny.

79

Dzwonienie było na tyle głośnie, że obudziłoby umarłego. Jeden telefon leżał na nocnej szafeczce, a aparat bezprzewodowy na poduszce obok Grace.

- Tak? - powiedziała do drugiego z nich, wciąż zaspana.

- Kochanie, strasznie przepraszam - usłyszała głos Sama. - Nie chciałem cię budzić.

- Nic nie szkodzi - zapewniła. - Jesteś na lotnisku?

- Nadal w powietrzu. Zamienili nam samoloty i w tym są telefony, więc skorzystałem z okazji.

- Jak długo jeszcze będziecie lecieć?

- Jakaś godzinę.

- Musisz być wykończony. - Grace zdążyła się dobudzić i była szczęśliwa, że go słyszy. - Nie mogę się ciebie doczekać. Gdyby nie Joshua, wskoczyłabym do samochodu i przyjechała po ciebie na lotnisko.

- Jak nasz przepiękny chłopczyk? - spytał Sam.

- Kiedy ostatnio sprawdzałam, cudownie. Rozkoszne niewiniątko, z rączkami rozłożonymi na boki, wiesz? - Przeciągnęła się leniwie. - Zajrzeć do niego teraz, powiedzieć, że tatuś dzwoni?

- Jasne - powiedział Sam.

- Zaraz przejdę. - Wstała z łóżka. - Czy to nie jest horrendalnie drogie?

- Jakieś pięć trylionów dolców za sekundę - odrzekł - ale kto by liczył?

Wyszła z ich sypialni.

Weszła do pokoju dziecinnego.

- O mój Boże. - Telefon wypadł jej z ręki na podłogę.

- Grace? - Głos Sama był cichy, odległy.

- O mój Boże!

- Grace, na litość boską, co się dzieje?

Świat zdawał się jej jeszcze bardziej odległy niż głos męża lecącego jakieś dziesięć tysięcy metrów nad ziemią. Wirował wokół niej, gdy padła na kolana, sięgając po aparat, a potem poderwała się i pobiegła jak szalona na schody, na parter, do kuchni, do „nory”, znów na korytarz, z powrotem na piętro, na wypadek gdyby się pomyliła, zwariowała, gdyby okazała się największym głupcem świata, na wypadek gdyby popełniła błąd.

- Nie ma go.

Słowa niepojęte, wyrywane z bólem gdzieś z głębi serca.

- Został porwany, Sam!

80

Dzieciak leżał w wiklinowym koszu, który Cal kupił wcześniej w sklepie dla turystów w Surfside i przymocował do tylnego siodełka „Daisy” niebieską smyczą i białym plastikowym paskiem.

Teraz był cicho, dosyć milutki maluch i ładny jak na brązowe dzieci, przynajmniej po ciemku, i nie krzyczał nawet, kiedy obcy wziął go z kołyski - póki Cal nie przykrył mu dłonią ust, bo wtedy próbował narobić mnóstwo hałasu, oczywiście, ale nikt nie usłyszał - nawet pies, który spał teraz snem pazerne gołodomora, i dobrze tak kundlowi. Cal nie wiedział i nie dbał o to, ile tabletek rest-ezee to dla takiego małego psa za dużo, ale dzieciak uspokoił się w koszu, a Cal czytał gdzieś, że niemowlaki lubią ruch, a mamy i tatusiowie czasami biorą wrzeszczące bachory do samochodu, żeby je uciszyć, więc może i jemu z tym dzieciakiem się poszczęści.

Najdłuższa jazda jego życia ledwie się zaczęła, był tego pewien. Nie zbaczał z Collins, bo chociaż na tandemie aleja zdawała się bez końca, nogi bolały go od pedałowania, a plecy i barki, które sobie nadwreżył, gdy zajmował się Kocurem, wciąż dawały się we znaki, i tak była to prostsza i łatwiejsza droga niż kluczenie bocznymi uliczkami. Zaryzykował, zakładając, że nikt go nie zauważył - i spójrzmy prawdzie w oczy, tak właśnie było, bo w przeciwnym razie już by go capnęli: radiowozy i może nieoznakowane samochody odcięłyby mu drogę ucieczki. Ale nie widział ani policyjnych wozów, ani żadnych innych oznak nocnego życia, więc zamierzał dojechać Collins aż do Sześćdziesiątej Trzeciej, a potem skrócić w Alton - wtedy przynajmniej poczuje, że dokądś zmierza.

W tej chwili największy problem, oprócz bólu, polegał na tym, że Cal miał za dużo czasu na rozmyślanie o tym, co robi.

I co zrobił wcześniej tego wieczoru.

Ponieważ wszystko to - nie mógł zaprzeczyć - uczynił z premedytacją. Co oznaczało, że wiedział teraz bez cienia wątpliwości, którym mógłby się pocieszać, że stał się złym człowiekiem.

I kiedy tak pedałowiał, czując na twarzy ciepłe nocne powietrze, zaczęło mu się zbierać na płacz.

Kiedy upora się z tym, będzie musiał znów się ukarać. Tym razem rany będą głębsze. Głębsze niż te, które zadał do tej pory czy to sobie, czy komukolwiek innemu.

Kiedy się z tym upora.

Kiedy skończy.

81

Krzyki w jego głowie. Krzyk Grace i jego własny.

A Sam mógł zrobić tylko jedno: wykonać z samolotu parę marnych telefonów.

Ręce mu się trzęsły i głos także, i ciało od zewnątrz i w środku.

Starał się panować nad sobą i ledwie mu się udawało.

Najpierw telefon do Departamentu Policji w Bay Harbor, bo Joshua został porwany na ich terenie i trzeba było wszystko zrobić jak należy, a wiedział, że może się po nich tego spodziewać, wiedział, że zrobiliby to dla każdego porwanego dziecka, a dla syna jednego ze swoich tym bardziej. Sprowadzą FDLE i Zespół do spraw Porwań Osób Nieletnich, a jeśli Jerome Cooper postąpi zgodnie ze znanym schematem, nawiąże kontakt i zażąda okupu, to do akcji wkroczy również FBI. Skoro zaś Sam usłyszy choć drgnienie wahania w głosie osoby, do której się dodzwoni, to wykona

wszystkie te telefony osobiście, wyciągnie z łóżek wszystkich agentów specjalnych, śledczych i detektywów i sprowadzi ich do Miami Beach. Ale na razie musi działać zgodnie z procedurą.

A jedną z rzeczy, do których pragnął być w tej chwili zdolny, było wyrzucenie ze swojego policyjnego łba wszystkich cholernych statystyk, ponieważ fakty przedstawiały się tak, że czterdzieści pięć procent porwanych dzieci traci życie w ciągu pierwszej godziny od uprowadzenia, siedemdziesiąt cztery procent w ciągu trzech godzin, dziewięćdziesiąt jeden w ciągu dwudziestu czterech godzin, a w ciągu pierwszych siedmiu dni ten odsetek wzrasta do dziewięćdziesięciu dziewięciu.

Krzyki w jego głowie.

Telefon do Bay Harbor został wykonany - i Sam nie usłyszał żadnego wahania, żadnego zagubienia, tylko jednoznaczną i stanowczą gotowość pomocy, więc teraz dzwonił do JUartineza, bo jurysdykcja i procedury to jedno, ale Alejandro Martinez był jego zaufanym przyjacielem i cholernie dobrym detektywem i jeśli można było posunąć sprawy jeszcze choćby o krok dalej, Martinez zrobi to bez mrugnięcia okiem.

Jeszcze co najmniej trzydzieści minut w powietrzu.

Czekał na połączenie.

„Nie bój się, Joshuo” - powiedział w myślach swojemu słodkiemu maleńkiemu synkowi. - „Tatuś już do ciebie leci”. Martinez odebrał swoją komórkę. Miał przygnębiony głos, jakby już wiedział.

- Mam złe nowiny - oznajmił bez wstępów. - Ktoś, przypuszczam, że Cooper, dorwał Mildred.

Następna rana w rozdzieranym sercu Sama.

- Al, ja mam gorsze - powiedział przyjacielowi.

W kolejce pasażerów lotu o dziewiętnastej trzydzieści z Chicago, którzy właśnie wysiedli z samolotu i mijając pełną desperatów palarnię, szli przez pirs D Międzynarodowego Portu Lotniczego w Miami, znalazła się wysoka, szczupła blondynka w białym kostiumie.

Miała do przejścia spory kawałek drogi, nawet bez konieczności odbioru bagażu, i przez cały czas obawiała się, że z przodu wyrośnie nagle mundurowy. Wcześniej tego samego bala się na lotnisku O'Hare'a, ale przypuszczała, że albo Becket i Claudia nadal są związani, albo uderzyła go w głowę mocniej, niż myślała, albo też jej przestępstwa nie zasługują na pilne zawiadomienie portów lotniczych, w przeciwieństwie do tego, co zdaje się spotykać złoczyńców w telewizji, a może po prostu gliniarze w Melrose Park lub w hrabstwie Cook spartaczyli robotę.

Sama też się nie popisała, gdy zapłaciła za bilet ze swojej karty bankowej, ale nawet gdyby miała przy sobie dość gotówki, żeby wyłożyć ją na kontuar, wzbudziłaby od razu większe zainteresowanie, później zaś, skoro już raz skorzystała z karty, uznała, że równie dobrze może wyjąć pieniądze z bankomatu. Wszystko to oznaczało, że najpóźniej do jutra rana dowiedzą się, że jest w Miami, ale tym zamierzała się martwić dopiero później.

Kiedy już znajdzie Jerome'a.

Może nigdy nie zadałaby sobie trudu, by znów go wyśledzić, i na pewno nie przyjechałaby ratować mu tyłka, gdyby Claudia nie wróciła do Melrose Park tylko po to, by poinformować ją i Franka o jego bezmyślnych próbach szantażu.

Najwyższy czas, by położyła kres tym bezsensownym wygłupom, zanim chłopak wpakuje się w prawdziwe kłopoty i trafi znów za kraty.

Każdy może się na coś przydać, nawet jej żalosna starsza pasierbica.



Frank zawsze mówił, że jest słabszą z jego dwóch córek.

Ale Claudia przynajmniej dobrze wyszła za mąż, w przeciwieństwie do siostry.

Roxanne doskonale rozumiała, dlaczego Jerome nienawidzi Sama Becketa. Chociaż na szczęście zdawało się, że czarny Żyd nie jest aż takim świetnym gliniarzem, skoro nie odczytał Jerome'owi jego praw, gdy tylko ten wetknął swój dumny nos za drzwi jego domu.

Ale gdyby jej syn miał chociaż jedną szarą komórkę w tej pustej mózgowicy, to ona nie musiałaby więzić własnej pasierbicy ani napadać na cholernego detektywa policyjnego, ani tym bardziej opuszczać domu i lecieć na drugi koniec kraju.

Ścigana, i to w jej wieku.

Jezu, będzie musiał się gęsto tłumaczyć.

83

Grace odchodziła od zmysłów. Każda komórka jej ciała zdawała się nawoływać, żeby wybiegła na ulicę i szukała syna, nawet gdyby oznaczało to wtargnięcie do każdego domu, mieszkania, sklepu, każdego magazynu, garażu i pokoju hotelowego w Miami, na Florydzie... w całym kraju!

- Oni mogą być wszędzie - przekonywała mężczyźni i kobiety w mundurach i w cywilu, którzy zalali jej dom i niewiele brakowało, by go jej odebrali. Kiedy to mówiła, chodziła nerwowo tam i z powrotem po korytarzu i kuchni, jej głos zdawał się głośniejszy i wyższy niż zwykle, ponieważ musiała przemówić im do rozumu, żeby pojęli, że powinni być tam, na mieście, a nie tkwić tutaj beczynnici. - Potrzebujemy blokad drogowych, potrzebujemy...

- Robimy wszystko, co w naszej mocy, pani Becket - zapewniła jedna z policjantek, ostrzyżona krótko nieznaną w granatowym garniturze i o jasnych oczach.

- Nie, nieprawda - odparła Grace jadowitym tonem - ponieważ gdybyście robili, moje dziecko byłoby tutaj, ze mną.

Do domu weszli następni ludzie i potoczyła po nich wzrokiem, ale nikt nie trzymał w ramionach Joshuy, więc byli dla niej gorzej niż beużyteczni. A jedyną pożyteczną rzeczą, na jaką ktoś z nich się zdobył, było zawieszenie biednego strutego Woody'ego do weterynarza, a Grace bardzo żałowała stworzenia, ale przynajmniej ktoś się nim teraz opiekował, podczas gdy jej synek był sam, zdany na łaskę i niełaskę złego człowieka.

- Musicie pozwolić mi go poszukać - nalegała.

- Mnóstwo ludzi już to robi, proszę pani - zapewnił łagodnym tonem któryś z nich.

Nie rozpoznała go, ale był w granatowym mundurze policjanta z Bay Harbor i w głębi duszy Grace doskonale wiedziała, że funkcjonariusz nie ponosi żadnej winy, w tej chwili jednak chciała odepchnąć go, okładać pięściami jego szczerą, przyjazną twarz, nawrzeszczyć na niego.

Tylko że oczywiście nie ponosił żadnej winy, podobnie jak członkowie patrolu, którzy nie przybyli do domu dokładnie wtedy, gdy Jerome Cooper wsunął przez drzwiczki dla psa mięso ze środkiem usypiającym. I mimo rozdarcia gdzieś w głębi duszy uświadamiała sobie, że to oni są temu winni, ona i Sam, a przede wszystkim Sam, bo jeśli ktokolwiek powinien zdawać sobie sprawę z zagrożenia, to właśnie on...

Nakazała sobie przestać.

Ponieważ w rzeczywistości winna była tylko jedna osoba.

Dlaczego tak się uparła, dlaczego tak nalegała, żeby zostać sama?

Dlaczego nie pozwoliła Saulowi zostać, mimo że wielokrotnie to proponował? Dlaczego nie uległa odruchowi, żeby wziąć Joshuę ze sobą do łóżka? Dlaczego nie spędziła każdej sekundy w tym samym pokoju co jej niewinny synek, dopóki Sam nie wrócił, a Cooper nie został aresztowany?

Wmówiła sobie, że nie ma żadnego realnego zagrożenia, że Jerome nie może być podwójnym zabójcą, że bez względu na to, czy nim jest, czy nie, nie wróci tutaj, bo prawdopodobieństwo aresztowania byłoby zbyt wysokie.

Ale Sam widział to inaczej. Sam - który wiedział więcej niż ona o złu tego świata i jego podstępach - załatwił policyjny patrol i zadzwonił do ojca i brata, bo rozumiał, że istnieje zagrożenie.

A jej się wydawało, że to ona wie lepiej.

Kolejni ludzie w drzwiach: wrócili David i Saul.

- Gracie - powiedział David.

Rzuciła się z płaczem w znajome, kochane ramiona, lecz szybko znów się odsunęła, ocierając oczy.

- Jesteś chory. Nie powinieneś tu być. - Zwróciła się do Sau-la: - Nie powinieneś mu być na to pozwolić.

- Daj już spokój - przerwał David. - Są jakieś wieści? Pokręciła głową, zauważyła, jaki Saul jest blady, znów naszły ją wyrzuty sumienia, ale odepchnęła je, koncentrując się na ważniejszych sprawach.

- Nie chcą pozwolić, żebym go szukała.

- Mają rację - rzekł z przekonaniem David. - Musisz być tutaj.

- Muszę być tam, szukać syna.

- Musisz być tutaj - powtórzył Saul. - Na wypadek gdyby Cooper zadzwonił.

Wiedziała, że ma na myśli żądanie okupu, bo tak właśnie postąpił Jerome, kiedy zjawiał się tu poprzednim razem - i poczuła przypływ palącego wnętrzości gniewu, że Claudia sprowadziła na nich to nieszczęście.

- Nie zadzwoni - odparła, tłumiąc złość.

- Nie możesz tego wiedzieć - zauważył David.

- Każdy może odebrać telefon - oświadczyła. - A ja chcę być z Joshuą.

Zadzwonił telefon. Wszyscy skamienieli.

Grace nie czekała na polecenia, podeszła szybko do aparatu, który wisiał na ścianie w kuchni przy drzwiach, i chwyciła słuchawkę.

-Tak?

- Gracie, to ja - oznajmił Sam. - Wylądowałem, jadę prosto do domu.

- Nie, nie wracaj do domu - powiedziała. - Musisz szukać Joshuy.  
- Lepsi ode mnie już się tym zajmują - odparł, z trudem zachowując opanowanie - a ja dołączę do nich tak szybko, jak będę mógł, ale teraz jadę do domu, do ciebie.

Grace zauważyła, że wszyscy na parterze obserwują ją, wytyczając słuch, więc odwróciła się do nich plecami, stanęła w kącie kuchni przy kojcu Joshuy, żałując, że nie może przeniknąć przez ścianę, uciec od nich, uciec od własnego wstydu.

- Sam, tak mi przykro - szepnęła.

- Zwariowałaś? - odparł. - Dlaczego ma ci być przykro?

- Dopuszczałam do tego, że zabrał naszego synka - powiedziała.

84

*12 czerwca*

Dziesięć minut po północy, już w czwartek, zaszyty pod pokładem „Dzieciny” Cal usłyszał świergoczący dzwonek telefonu komórkowego. Bez sprawdzania wiedział, że to ona, ponieważ nikt inny nigdy nie dzwonił.

Wzdrygnął się na myśl o usłyszeniu głosu Jewel.

Ale z drugiej strony pragnął z nią porozmawiać.

Żałosne.

- Tak, mammo?

- Co ty, kurwa, wyprawiasz, Jerome? - zaatakowała go Roxanne Lucca.

Cal poczuł, jak krew ścina mu się lodem, bo ona naprawdę była wiedźmą. Inaczej skąd by wiedziała? A potem ogarnęła go przemożna potrzeba wypowiedzenia się, prośby o pomoc, bo to, co uczynił, go przerastało, zdał sobie teraz sprawę. Rzecz w tym, że nie wiedział, co dalej robić, i aż do tej pory zdawało mu się, że nieważne, czy go złapią, ale to nie była prawda,

wcale. Bo wszystko, co uczynił, było naprawdę straszne, a teraz bardziej bał się tego, co zrobią z nim w więzieniu i jak wykonają na nim karę śmierci, niż lękał się Jewel i jej kary.

- Kto, kurwa - ciągnęła - jest tak durny, żeby szantażować rodzinę gliniarza?

Co znaczyło, że Jewel zna tylko część prawdy.

- Potrzebuję cię, mamó - powiedział, cały drżąc. Słowa wyrwały mu się z ust, zanim zdążył się powstrzymać,

a nie był wcale pewien, czyjej potrzebuje, wiedząc, że Jewel jest jak trucizna, że jest źródłem tego całego zła, ale teraz już to chlapnął i nie mógł przewinąć taśmy do tyłu.

- Powiedz, gdzie jesteś - nakazała - to do ciebie przyjadę.

„Nie mów jej”.

- W Miami - odparł.

- Ja też - oznajmiła Roxanne. - A teraz powiedz mi, kurwa, gdzie!

Wciąż była na cholernym lotnisku, czekała w gorącym, wilgotnym nocnym powietrzu w kolejce do taksówek. Jechała do syna kretyna. Ścigana, do kurwy nędzy.

85

Sam wrócił do domu na wyspie.

Dwoje odchodzących od zmysłów rodziców pod jednym dachem.

Na dworze gwiazdy i księżyc znowu zniknęły za ciemną masą chmur, w których warzyła się następna czerwcową burza, ale prawie wszyscy mieszkańcy ich półkolistej uliczki byli teraz na nogach. Oszołomieni, wstrząśnięci, pełni dobrych intencji ludzie przeszukiwali swoje ogródki i garaże, wpuszczali policjantów do domów.

Sam wyszedł z Grace na taras, starając się ukryć przed nią fakt, że lustruje wzrokiem ciemne wody przy brzegu.

- Myślisz, że nie robiłam tego już z pięćdziesiąt razy? -zapytała Grace przez ściśnięte gardło.

Oboje odwrócili się do siebie, przytulili, a potem znów odsunęli jedno od drugiego.

- Jeśli coś się stanie...

- Ćś. - Sam uniósł dwa palce, przytknął je do jej warg. Grace spojrzała mu w oczy, odczekała, aż dłoń opadła.

- Jeśli Joshui stało się coś złego - podjęła - gorszego niż to, to nie będę cię winić, jeżeli mnie zabijesz.

- Zasnęłaś - powiedział Sam. - Myślałaś, że z nim wszystko w porządku, i zasnęłaś.

- Jak mogłam? - spytała zagubiona.

- Obudziłaś się i zajrzałaś do jego pokoju. - Sam zdawał sobie sprawę, że mówi bardziej racjonalnie, niż czuje, wiedział, że musi to dla niej zrobić. - Tak jak patrole policyjne, które pilnowały domu, a on i tak się zakradł. - Pokręcił głową. -Tych funkcjonariuszy też mamy zabić?

- Oni nie są jego matką.

- Ja jestem ojcem - powiedział Sam. - To ja zainstalowałem te przeklęte drzwiczki dla psa. - Po raz kolejny, odkąd usłyszał krzyk Grace przez telefon, przypomniał mu się pierwszy syn, Sampson. Zacisnął zęby i odesłał wspomnienie z powrotem. - Jestem jego tatą i nie było mnie tutaj.

- Z powodu mojej rodziny - odparła.

Sam ujął jej dłonie, ścisnął je mocno, poczuł, jakie są zimne.

- Będziemy się tak dalej obwiniać? Czy może spróbujemy zrobić wszystko, żeby odzyskać syna?

- Ty już jednego straciłeś. - Zdawało się, że nie była w stanie się powstrzymać.

- I właśnie dlatego nie stracę drugiego - odrzekł Sam.

- Zaufałeś mi, powierzyłeś mi Joshuę.

Jego uścisk był mocniejszy niż kiedykolwiek, oczy ciemniejsze, bardziej żarliwe.

- I to się nigdy nie zmieni - zapewnił.

Było prawie wpół do drugiej, kiedy Roxanne dotarła na przystań Flamingo.

Upłynęło jeszcze pięć minut, zanim znalazła łódź.

Zobaczyła go na pokładzie, siedział przygarbiony od strony doku. Czekał na nią.

Wstał.

- Do kroćset fur beczek! - rzuciła. - Kapitanie Cooper.

- Witaj, matko - powiedział Cal i wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wejść na pokład.

- Cóż za maniery - zauważyła. - Mój syn, nieudolny szantażysta.

A potem trzasnęła go z całej siły w twarz.

- Skąd o tym wiesz? - Cała piekły oczy i policzki, ale nie przejmował się tym, tego właśnie chciał. - Skąd wiedziałaś, że jestem w Miami?

- Twoja siostra, Claudia, mi powiedziała - wyjaśniła Roxanne. - Złożyła mi wizytę, żeby się na ciebie poskarżyć. Jakbym tego właśnie jeszcze potrzebowała w swoim parszywym życiu.

- Ależ między innymi dlatego to zrobiłem. Dla ciebie. Żebyś mogła zostawić starego, wyjechać ze mną.

- Gówno prawda - skwitowała Roxanne. - Zaraz chyba narobisz w gacie, tak się mnie boisz.

- Myślę - odparł Cal, ważąc słowa - że bardziej boję się samego siebie. Nawet w ciemności oczy matki były niczym noże.

- Co jeszcze zrobiłeś, do kurwy nędzy?

- Musisz mi pomóc - powiedział Cal. Krążąca po niebie czapla wydała krzyk.

- Jestem twoją matką - przypomniała Roxanne. - A teraz gadaj.

Drugi hałaśliwy krzyk ptaka został zagłuszony, gdy przez niebo przetoczył się grzmot pioruna.

- Zejdźmy pod pokład, to ci powiem.

Do domu na wyspie przyjechał Martínez, jego twarz zdawała się ściągnięta w wyrazie niepokoju, a zarazem powziętego z całą determinacją postanowienia, żeby się nie rozklejać.

Wyszedł z Samem na taras; Grace była na piętrze i pomagała Saulowi przekonać Davida, żeby odpoczął chwilę w pokoju Cathy. Deszcz jeszcze nie padał, ale niebo błyskało i mieniło się niemal fluorescencyjnym blaskiem, a na wschodzie grzmiało.

- Największa obława w Miami Beach od czasów Cunanana - zauważył Martinez.

Którą zresztą większość funkcjonariuszy uważała za nieudaną, ponieważ zabójca Gianni Versace popełnił samobójstwo, zanim zdążono go aresztować. Czego w głębi duszy spodziewali się zarówno Sam, jak i Martinez po Jeromie Cooperze.

Chcieli tylko, żeby Joshua najpierw bezpiecznie powróci! do domu. Martinez miał jedną względnie dobrą wiadomość.

- Mildred jest w szpitalu. W Miami General.

- Chyba mi mówiłeś, że ją zabił - powiedział Sam.

- Niezupełnie.

Sam nie miał więc aż tylu powodów, by znienawidzić Jerome'a, jak myślał.

- Co jej zrobił?

- Pchnął nożem - odparł Martinez. - Na ławce Mildred, po zmroku. -

Umilkł na chwilę. - Nie wiadomo jeszcze, czy biedaczka z tego wyjdzie.

Sam przyswajał sobie przez chwilę te informacje, układając sobie w głowie nowy obraz sytuacji.

- To czemu właściwie tkwimy tutaj beczynnie? - zapytał.

- Ty musisz tu zostać.

- Nie kiedy mój syn jest w rękach cholernego mordercy.

- Grace cię potrzebuje, człowieku.



- Grace potrzebuje w tej chwili przede wszystkim jednego - odparł Sam. -  
Żebyśmy sprowadził Joshue do domu.

88

Cal rozumiał, że każdej matce byłoby trudno przyjąć napór aż tylu  
wiadomości. Nawet Jewel.

Oswoić się z myślą, że syn jest wielokrotnym mordercą.

A teraz także porywaczem.

Że uprowadził dziecko policjanta.

- Czekaj, ustalmy najpierw jedno - powiedziała. - Zrobiłeś to dla  
pieniędzy?

Cal zobaczył w jej oczach niedowierzanie i coś jeszcze, coś  
mroczniejszego i głębszego, co wywoływało w nim wewnętrzne drżenie.

- Nie dla pieniędzy - odparł. - Nie tym razem. Z zemsty. Znajdowali się  
teraz pod pokładem „Dzieciny” i chętnie

przynajmniej by usiadł, ale ona wciąż stała, garbiąc się trochę, bo była  
równie wysoka jak on. Może nie tak silna fizycznie, ale obdarzona  
jadowitą złośliwością, której nigdy nie potrafiłby dorównać.

Zresztą nawet nie próbował.

- Gdzie dziecko? - zapytała Roxanne.

- Jeśli ci powiem - odezwał się Cal - musisz mi obiecać...

Zdzieliła go na odlew, srebrny pierścionek na jej prawej dłoni rozciął mu  
nos.

- Co zrobiłeś z cholernym bachorem?

- A jak myślisz? - odparł.

Wciąż stał, nie kulił się ze strachu. To przynajmniej było coś nowego, coś,  
z czego mógł czuć się dumny.

- Zabiłeś małe dziecko?

Już nie noże w jej oczach, ale sztylety.

- Zabiłeś ich dziecko?

I jednak nie tego samego wzrostu co on. Wyższa. Cal wiedział, co teraz nadchodzi.

- Kładź się - poleciła matka.

- Nie - zaprotestował.

- Kładź się - powtórzyła.

I pchnęła go obiema rękami tak mocno, że uderzył głową w drzwi i „Dziecina” się zakołysała.

- Kładź się - rozkazała Jewel, biała czarownica.

A Cal wierzył do tej pory, że tego właśnie pragnie: kary, biczowania, piekącego bólu chłostanego ciała. Teraz wiedział, że jest inaczej.

A nóż wciąż tkwił zatknięty za pas, schowany pod koszulką.

- Kładź się, kurwa, ty imbecyłu! - wrzasnęła matka.

- Sama się, kurwa, połóż! - wybuchnął Cal Nienawistnik. I wyciągnął nóż.

I wbił jej ostrze między żebra, w serce.

89

Martinez był wcześniej w biurze, popracował na Adobe nad zdjęciem Coopera i przerobił je na przybliżoną podobiznę srebrzystego kołosa z opisu Mildred. Do ukierunkowania pościgu potrzebowali twardych dowodów, rzeczywistego tropu, który naprowadziłby ich na prawdopodobne miejsce pobytu sukinsyna. Właśnie w celu ich zdobycia jechali teraz z Samem chevroletem do Hot-Hot-Hot i Menagerie, dwóch klubów, gdzie Cooper mógł poderwać mężczyznę, z którym widziała go Mildred. Bo może zabójca był tam stałym gościem, może ktoś go znał i może ta prozaiczna, żmudna detektywistyczna praca dokądś ich zaprowadzi.

W pierwszym klubie trafili na życzliwych ludzi, ale nikt nie rozpoznał podejrzanego.

W Menagerie nastrój już siadał, nikt wprawdzie nie okazywał wrogości, ale większość była zbyt pijana, odurzona albo

po prostu zmęczona, by wysilić szare komórki. Poza tym trafili na innego barmana niż ten, który pracował poprzedniego dnia nad ranem.

Sporo czasu zajęło im dotarcie do kierownika, żeby poprosić o adres drugiego barmana.

- Ale go tam nie zastaniecie - powiedział im facet. - Jest na urlopie. Mówił mi, że idzie do domu zdrzemnąć się dwie godzinki, a potem jedzie na lotnisko.

- Dokąd poleciał? - spytał Martinez.

Sam ruszył już do drzwi wyjściowych, bo nie miał wątpliwości, że to martwy trop, a nie chciał trwonić ani minuty więcej.

Wszędzie roilo się od czarno-białych radiowozów, sunących powoli ulicami: cały kwiat policji Miami Beach szukał Coopera, każdego chudego młodego faceta w srebrzystym przebraniu lub nie, poruszającego się pieszo, samochodem, autobusem czy rowerem tandemem. Wszystkim przyświecał jeden cel i jedno pragnienie: znaleźć Joshuę Becketa całego i zdrowego.

- Dokąd teraz? - spytał partner, dołączając do niego na chodniku.

Pierwsze krople deszczu zaczęły znaczyć betonowe płyty i bębniły o dach samochodu na tyle głośno, że można się było spodziewać cięższej ulewy. Sam miał wrażenie, jakby mózg mu obumierał, ale siłą woli zmusił go do dalszej pracy.

Na mieście było już dość policjantów, tyle że szukali po omacku.

Nadal potrzebowali jakiegoś ukierunkowania.

- Z powrotem do Satin. - Do klubu, gdzie do niedawna pracował chłopak Adaniego. - Może tam Cooper był częstszym gościem.

- A potem wyciągniemy z łóżka Lopeza - zaproponował Martinez, wsiadając do samochodu. - Pokażemy mu zdjęcia, tak na wszelki wypadek.

196

Trzecia nad ranem, a na przystani Flamingo nic już Cala nie czekało.  
Nic oprócz strachu.

Nigdzie zresztą nic go już nie czekało. Bo teraz dopuścił się najgorszej zbrodni na świecie. Matkobójstwa.

Prawdopodobnie użyje kiedyś tego słowa w Epistole, pomyślał, bo podobało mu się jego brzmienie, ale zostawił swoje zapiski w zasyfionej norze na brzegu, a nie było mowy, by kiedykolwiek tam wrócił.

Przypuszczał, że ostatecznie gliniarze - a może też policyjni psychologowie, lub nawet jakiś spec od sporządzania profiliów psychologicznych w FBI - będą wczytywać się w jego słowa, co mu wcale nie przeszkadzało. Zawsze chyba w skrytości ducha pragnął, żeby Epistolę czytano, żeby analizowano jego zapiski, ba, nawet je podziwiano.

Może pewnego dnia, jeśli przeżyje, Cal zacznie od nowa i znów coś napisze.

Ale na razie mógł tylko siedzieć na schodkach „Dzieciny”. Krople deszczu spadały na jego grzeszną głowę, gdy starał się nie myśleć o martwej matce pod pokładem.

Zastanawiał się, co byłoby gorsze.

Pójść do piekła od razu czy trafić tam po wstrzyknięciu pieprzonej trucizny za wielokrotne zabójstwa.

„I nie zapominajmy o dziecku”.

„Dziecku gliniarza”.

Jewel nazwała go imbecylem.

Całkiem słusznie.

Nie pokazał jej dzieciaka, stanął okoniem.

Piekło, uznał, jest może jedynym, co powstrzymuje go od natychmiastowego samobójstwa.

Chociaż chyba powinien przynajmniej zaplanować, jak to zrobi.

Ale nie teraz, nie teraz. Miał jeszcze coś do zrobienia.

91

W kuchni Becketów wciąż kręcili się funkcjonariusze policji, gotowi do monitorowania i śledzenia połączeń telefonicznych. Teraz wśród nich była Mary Cutter, koleżanka Sama przysłana przez Alvareza, żeby pomóc w podtrzymaniu matki malca na duchu, ale na razie czuła się zbędna, niepotrzebna.

Grace siedziała samotnie, skulona na kanapie w „norze”, z telefonem obok.

W prawej dłoni ścisnęła ulubionego pluszaka Joshuy, małego niebieskiego misia, którego trzymała przy twarzy, blisko nosa, tak że czuła zapach synka, więc gdyby zamknęła oczy...

Kołysała się w przód i w tył, w przód i w tył.

Panowała nad sobą jedynie na tyle, żeby przestać, gdy ludzie zaglądali do pokoiku, by zaproponować herbatę, ramię, na którym mogłaby się wyplakać, rozmowę, coś do jedzenia.

- Nie, dziękuję - odpowiadała za każdym razem, a potem prosiła o zamknięcie drzwi.

Gdy tylko odchodzili, znów zaczynała się kołysać.

Nie przynosiło jej to pociechy, ale czuła taki przymus wewnętrzny.

Burza zdawała się jeszcze pogarszać nastrój Grace, potęgując lęki z każdym grzmotem, bo gdzieś tam, w tej zawierusze, było jej dziecko z człowiekiem, który może wygląda zupełnie zwyczajnie, ale okazał się kimś gorszym niż szantażysta czy nawet porywacz, który prawie na pewno jest mordercą, bestią...

Claudia dzwoniła jakiś czas temu, ale Grace poprosiła Saula, żeby to on z nią porozmawiał.

Po prostu nie mogła tego zrobić.

Choć nie winiła Claudii za to, co się stało.

Nie wolno jej tak myśleć, nie wolno...

Nie mogła rozmawiać ani z nią, ani z nikim innym, czy to z Mary Cutter, czy Cathy, która prawdopodobnie zadzwoni rano z Kalifornii; zresztą Grace zamierzała utrzymać ją w błogiej nieświadomości, aż będzie po wszystkim.

Aż Sam wróci do domu z Joshuą.

92

Klub Satin był zamknięty i nie zastali Eddiego Lopéza w domu.

- Nie ma sensu szukać go dziś w nocy - uznał Sam. Poszli do parku Lummus, do domu Mildred, teraz miejsca przestępstwa.

Jej ławka zniknęła: została odłączona od podstawy i przewieziona do laboratorium lekarza sądowego, teren wokół otoczono taśmą, a na straży stało dwóch funkcjonariuszy.

Nie było tu nic, co pomogłoby im znaleźć Joshuę. Na dodatek brak wszelkich wieści o obecnym miejscu pobytu Roxanne Lukki.

- Powinieneś wrócić do domu - powiedział Martinez do Sama.

- Jeszcze nie - odparł Sam.

Rozpacz ścisła mu serce niczym zimna stalowa obręcz.

- Nie mamy już gdzie szukać - próbował go przekonać przyjaciel.

- Musimy szukać wszędzie - upierał się Sam.

- Cała masa ludzi już to robi - przekonywał Martinez. - Powinieneś być w domu, człowieku. Przy Grace.

- Łodzie - powiedział Sam.

Dwa martwe ciała, dwie łódki. Logiczne.

- Powinniśmy przeszukiwać łodzie! - rzucił niecierpliwie.

- Różni ludzie już też to robią - wyjaśnił cierpliwie Martinez, mimo że mówił to Samowi już wcześniej. - Przeszukują każdą przystań, każdy dok, każde kotwicowisko. Ale to musi potrwać.  
Sam wolałby osobiście roznieść w drzazgi każdą pływającą na Florydzie jednostkę.  
Dławiąca frustracja rozsadzała mu pierś.  
- Zanim wrócę do domu, chciałbym zrobić jeszcze jedno - powiedział.  
Chciał odwiedzić Mildred.

93

Tuż po czwartej Cal drgnął i się obudził.  
Wciąż siedział na schodkach na pokładzie „Dzieciny”.  
Pod pokładem leżały ludzkie zwłoki.  
Sztorm jeszcze bardziej się zbliżył, deszcz padał równomiernie, ale na razie nie zmienił się w ulewę, w ciszy na przystani odgłosy upadających na wodę kropli działały niemal kojąco, jachcik kołysał się lekko i...  
Syreny.  
W oddali.  
„Jeszcze nie po mnie”.  
Trzeba się wziąć do roboty.  
„I wiele mil od snu mnie dzieli”\*.  
Wydawało mu się, że to z jakiegoś wiersza, na który natrafił dawno temu podczas jednego z okresów intensywnego czytania, kiedy pochłaniał poezję, gazety, opowieści biblijne, „Playboya”, napisy na kartonach płatków śniadaniowych, należące do Jewel „National Enquirery” i numery „Reader's Digest”, gazetki z programem telewizyjnym, wszystko, co wpadło mu w ręce...  
Wstał i uderzył głową we framugę drzwi.

**\* Robert Frost, „Przystając pod lasem w śnieżny wieczór”, przełożył Stanisław Barańczak.**

- Kurwa mać! - rzucił. Czas wziąć się w garść. Miał dużo do zrobienia.

94

Mildred leżała na oddziale intensywnej terapii, tym samym, na którym Sam spędził mnóstwo godzin w zeszłym roku.

Pielęgniarka powiedziała mu, że organizm Mildred walczy.

W łóżku, w szpitalnej koszuli, wyglądała zupełnie inaczej. Jeszcze drobniejsza bez wielu warstw ubrania, ale mimo kruchości nie tak wyniszczona, jak można by się spodziewać.

Silna kobieta.

Zastanawiał się, jak Mildred zareaguje, jeśli przejdzie przez najgorsze i obudzi się tutaj, pod szpitalną opieką. Pamiętał, że zwierzyła mu się, iż od śmierci Donny'ego nie może wytrzymać w murach budynków.

Ludzie w tych akurat murach byli przyjaźni i życzliwi, robili wszystko, by ocalić jej życie, ale Sam nie wiedział, czy Mildred zdoła poczuć wdzięczność czy choćby ulgę, czy też zirytuje się lub wręcz rozzłości, że została uwięziona.

Miał nadzieję, że nie będzie się za bardzo bała.

A przede wszystkim, że starczy jej woli życia.

- To ja, Samuel - powiedział i lekko uściśnął jej prawą dłoń. - Bądź silna.

Maszyny, do których ją podłączono, pikały cicho, pracując bez zakłóceń.

- Concord grape już na ciebie czeka, Mildred - zapewnił. - Cała butelka.

Bylebyś tylko stąd wyszła.

Teraz zebrało mu się na łzy.

Wyszedł więc pośpiesznie z pokoju, zanim się rozplakał.



95

Za dziesięć piąta David zszedł na parter. Grace usłyszała jego kroki i przestała się kołysać, zanim otworzył drzwi.

- Powinieneś spać - powiedziała.

I mimo to nagle zdała sobie sprawę, że David jest jedyną osobą, z którą może w ogóle rozmawiać.

- Już spałem - odparł.

- Przypuszczam, że nie bierzesz pod uwagę powrotu do domu, żeby się tam porządnie wyspać?

- Słusznie przypuszczasz. Poklepała kanapę.

- Przyłączysz się?

- Możliwe, że zarażam - ostrzegł.

Tysiące błyskawicznych myśli przeleciało niczym ptaki o ostrych dziobach przez jej głowę, a wszystkie prowadziły do jednej, która kłuła ją w samo serce. Najgorsza z myśli. Że może już nigdy nie będzie musiała się martwić, że Joshua zarazi się grypą czy jakąkolwiek inną chorobą.

- Usiądź ze mną - powiedziała. - Proszę. W drzwiach pojawił się Saul.

- Wyglądasz gorzej niż ja, synu - zauważył jego ojciec.

- Mogę się do was przyłączyć? - spytał Saul.

Druga osoba, której obecność Grace nie przeszkadzała.

- Chodź - zachęciła go.

We troje siedzieli na kanapie, nie odzywając się zbyt często, nie tuląc do siebie, tylko ich ramiona stykały się lekko. Drobną pociechą, na bardzo krótką chwilę.

96

Cal znowu wypływał po ciemku z przystani. Znowu Cal Marynarz.

Kiedy opuszczał marinę, zwędził następny ponton. Poszło jak z płatka: dwoma ruchami noża przeciął cumę, tak że zostało dość linki, by przywiązać ją do knagi „Dzieciny”.

Knaga-laga.

„Dobra nasza”.

Aktywność policji na lądzie stawała się coraz głośniejsza, słyszał coraz więcej syren i wyobrażał sobie, że gdyby został na brzegu, widziałby teraz radiowozy jeżdżące tam i z powrotem, krążące po Miami Beach i samym mieście, może też jeżdżące po dużych i małych przystaniach, wszyscy policjanci w stanie gotowości, wszyscy szukający dzieciaka gliniarza i samego porywacza...

Ale on nie zamierzał schodzić na ląd przez dłuższy czas, może nigdy. Płynął na północ.

Padło coraz mocniej, chociaż burza nie nadciągnęła jeszcze nad jego głowę. Mimo to brzmiała groźnie, gromy i błyskawice przecinały niebo wszędzie dookoła, grzmoty i głębsze, potężniejsze łoskoty, błyski niczym dziesięć tysięcy aparatów z fleszami rozjaśniały niebiosą.

„Tam na pewno się nie wybieram”.

Cał ostrożnie prowadził „Dziecinę” między bojami na ciemnych falach, okrążył wyspę Belle, przepłynął przez kanał i minął Sunset Islands, cały czas starając się nie przekraczać dozwolonej prędkości trzydziestu mil na godzinę, żeby nie ściągać na siebie niepotrzebnie uwagi.

Może będzie tak płynął, aż wyczerpie się paliwo.

Może wypłynie przez przesmyk przy Haulover prosto na otwarte morze, a potem będzie dryfował po tej wielkiej starej wannie Atlantyku, aż zagłodzi się na śmierć.

Tyle że raczej mu na to nie pozwolą.

Nie ma tak dobrze.

Przepłynął znowu pod wschodnim mostem Grobli Julii Tuttle, tak samo jak z Kocurem na pokładzie, chociaż dzisiaj woda była bardziej wzburzona, i zobaczył inną łódź, która płynęła w jego kierunku z naprzeciwka

przez Kanał Moleya. Wnętrznosci mu się przewracały, gdy „Dziecina” podskakiwała na falach, i jednocześnie ścisnęła się ze strachu, że może ta łódź to po niego, może już go ścigają...

Ani Straż Przybrzeżna, ani gliniarze... przynajmniej na razie. Tylko stary kuter rybacki, wracający do portu albo wypływający wcześniej na połów; właściciel wyraźnie pilnował własnego nosa i „Dziecina” wkrótce przepłynęła bez przeszkód pod Siedemdziesiątą Dziewiątą, okrążając łukiem Normandy Isle. Cal zdążył poznać te wody dosyć dobrze i pomyślał, że chyba będzie za nimi tęsknił, bo fajnie by było spędzić tu niewinnie trochę czasu, pływać całymi dniami po zatoce i znacznie dalej, może połowić ryby albo nawet nauczyć się nurkowania, a na mapie widział, że tuż przy Miami Beach jest sporo zatopionych statków, a nawet wrak cholernego samolotu, który zламаł się na pół po jakiejś tropikalnej burzy. Chociaż zdawał sobie sprawę, że większość wraków zatopiono specjalnie po to, by stworzyć sztuczne rafy, co w jego przekonaniu było znacznie mniej ekscytujące, niż gdyby zatoneły, spłonęły czy rozbiły się przez przypadek...

Skoncentruj się, powiedział do siebie, mijając ostatnią groblę przed Haulover i jeszcze bardziej zmniejszając prędkość, żeby na pewno utrzymać się między bojami, bo już się zbliżał do przesmyku, a tam woda była jeszcze bardziej wzburzona niż wczoraj w nocy i fale waliły w kadłub z impetem, ale „Dziecina” radziła sobie świetnie i Cal kochał ją za to, że tak dobrze się o niego troszczy, kochał ją bardziej - pomyślał, czując, jak miłość rozpiera mu serce - niż kogokolwiek z ludzi, włącznie z Jewel.

A potem najgorsze było już za nim, wypłynął na szeroki, wolny ocean i wypowiedział to słowo na głos:

- Wolny.

A potem znowu, jeszcze głośniejsze, przeciągając samogłoski.

- Woolnyyy...

A później wyłączył silnik.

Ale jeszcze nie opuścił kotwicy, jeszcze nie nadeszła pora.

Tu, na otwartym powietrzu, z błyskającym dziko niebem nad głową, poczuł się lepiej i teraz pomyślał sobie, że Boga chyba jednak nie ma, bo gdyby był, to w tej właśnie chwili powinien uderzyć w niego piorunem

lub zmienić „Dziecinę” w cholerną pływającą pochodnię - chociaż z drugiej strony, może Bóg czeka tylko na odpowiedni moment, a jeśli tak; jeśli to właśnie się zdarzy, a Cal zdąży coś zauważyć i poczuć, to chyba przede wszystkim będzie to wdzięczność. Na razie jednak był tylko ocean i rozbłyskujące niebo, cała reszta natomiast dzięki sztormowi nie miała chwilowo znaczenia, pozwalając Calowi wierzyć, że są tylko on, „Dziecina” i nowy ponton na początku podróży. A teraz miał też trochę gotówki, bo wyjął z portmonetki Jewel ponad sto dolców, no i jej telefon komórkowy, więc gdyby zechciał...

Wątpił, czy uda mu się z tej gotówki jakoś skorzystać.

Czy to w więzieniu, czy w piekle.

Ale zamierzał użyć jej telefonu zamiast własnego.

Gdy tylko poczuje się dostatecznie silny.

Teraz nikt nie mógł mu pomóc, nie został mu już nikt na całym tym zasranym, pełnym udreń świecie.

A to wszystko *przez nich*.

Głównie przez Becketa.

Chociaż nie przez dzieciaka. Biedny brzdąc.

Ale Calowi wydawało się, że przynajmniej spodobała mu się przejażdżka na „Daisy”.

Już żadnych przejażdżek na „Daisy” dla Cala.

Boże, ale był teraz zmęczony, chętnie znowu by się zdrzemnął.

Resztki rest-ezee podał dzieciakowi, bo nie mógł ryzykować, że mały zacznie się drzeć na całe gardło w porcie jachtowym.

Od tamtej pory nawet nie pisnął.

Cal musiał zrobić jeszcze tylko parę rzeczy, zanim wykona telefon.

„Wiele mil od snu". Zmierzał donikąd.

97

Telefon zadzwonił, właśnie gdy Sam wchodził do domu.

- Ja odbiorę! - zawołała Grace już w przedpokoju, bo przed chwilą usłyszała podjeżdżającego chevroleta i wiedziała, że to samochód Martineza.

Sam wracał z pustymi rękami.

Grace odwróciła się, przepchnęła obok Davida i Saula, wbiegła z powrotem do pokoiku i chwyciła telefon.

- Halo?

- Przykro mi - odezwał się męski głos. Natychmiast go rozpoznała.

- Jerome - powiedziała i zaczęła dygotać.

Sam, tuż za nią, dał znak, żeby zachęciła Coopera do rozmowy, po czym po cichu wyszedł z pokoju do kuchni i podniósł drugą słuchawkę, podczas gdy dwójka policjantów przy stole zaczęła namierzać dzwoniącego.

- Nie planowałem zabrania chłopca - zwrócił się Jerome do Grace. - Nie w...

- Gdzie on jest? - Jej głos był wysoki i ostry. - Co z nim zrobi...

- Jeśli chcesz go odzyskać - odparł Jerome - to się zamknij.

- Dobrze.

Miała wrażenie, jakby jej umysł rozszczepił się i skupił na dwóch punktach ogniskowych. Większość uwagi skoncentrowała na Cooperze, czekając, co powie, i pragnęła sięgnąć przez linię telefoniczną i fizycznie wyciągnąć mu prawdę z gardła, ale jednocześnie pozostała świadoma tego, co dzieje się w domu, i zauważyła, że wszedł Martinez, ogarnął szybko sytuację i bez słowa przemknął do kuchni.

- Pamiętasz małego Mojżesza? - zapytał Jerome Cooper.

Natychmiast na myśl przyszło jej sitowie... a potem trupy na wodzie.

- Wzięłeś go na łódź - powiedziała.

- Mówiłem, żebyś się zamknęła - powtórzył Jerome i w słuchawce zatrzeszczało od zakłóceń.

- Przepraszam. - Wstrzymała oddech.

- Jesteś bliżej prawdy, niż myślisz - oznajmił Jerome. I rozłączył się.

Grace krzyknęła, rzuciła telefon na kanapę i odepchnawszy mundurowych, wbiegła do kuchni. Po minie Sama natychmiast się zorientowała, że rozmowa trwała zbyt krótko.

- Za mało czasu - potwierdził jeden z funkcjonariuszy przy stole.

- Na łodzi - rzekł Sam i chwycił Grace za lewą rękę. - Joshua jest na łodzi.

- To nie on to powiedział, tylko ja. - Grace wyszarpnęła dłoń. -

Powiedział: „Pamiętasz małego Mojżesza”.

- Jest na łodzi - powtórzył Sam z posępną i absolutną pewnością.

- Połączenie było złe. Są zakłócenia.

- Burza - wyjaśnił.

Nawałnica jeszcze się nie przetoczyła.

- „Bliżej, niż myślisz”.

- O świcie mogą wystartować helikoptery Miami-Dade i Straży Przybrzeżnej - oznajmił Martinez.

- Niech ktoś mi załatwi łódź - polecił Sam. - Na już.

- Jest za ciemno - zauważyła Mary Cutter.

- Myślisz, że będę czekać na światło? - odpowiedział pytaniem Sam.

- Chyba nie masz wyboru, synu - wtrącił się David z korytarza. - Przy takiej burzy i...

- Drew Miller ma motorówkę. - To były słowa Grace. Ich sąsiad, trzy domy dalej.

Sam był już w połowie drogi do drzwi. Grace tuż za nim.

Odwrócił się, żeby ją przytulić.

- Nie ma sprawy - powiedziała. - Idę z tobą.

98

Cal za bardzo się bał znowu spojrzeć na dziecko.

Było zupełnie nieruchome i ciche, kiedy otworzył klapę i wyciągnął kosz z bakisty. Patrzyło z takim wyrzutem, że po prostu musiał odwrócić wzrok.

Pomyślał, że powinien sprawdzić mu puls.

Jeśli jeszcze go miało.

Nie „miało”, tylko „miał”. On.

Cal nie był pewien, co dzieciak w tym wieku może znieść. Wiedział, że maluch przeżył wyjęcie z kołyski, a potem całkiem nieźle przetrwał długą jazdę na rowerze - w każdym razie na tyle dobrze, że nadal żył - ale później Cal podał mu sproszkowaną tabletkę rest-ezee i schował kosz do bakisty. Pomyślał o dostępie powietrza i uznał, że dzieciak będzie mógł oddychać, ale nie wiedział tego na sto procent, nie wiedział, czy powietrza było dostatecznie dużo...

„Gdzie dziecko?” - zapytała go wcześniej Jewel.

I powiedziała by jej, gdyby tylko dała mu szansę.

Ale ona zamiast tego strzeliła go w twarz.

- Ja nie chciałem - powiedział teraz na głos Cal. I odważył się zerknąć jeszcze raz na małego. Ten nie ruszał się.

Cal znów odwrócił wzrok.

- Przykro mi - dodał. - Naprawdę przykro.

99

Motorówka sąsiada nosiła nazwę „Smagana Wiatrem”. Byli na pokładzie we trójkę, wszyscy nosili kapoki i najlepsze obuwie do żeglowania, jakie udało im się znaleźć w szafach

Becketów i Drew Millera. Martinez uparł się nie mniej niż Grace, że też popłynie. Przyda się dodatkowa para oczu, powiedział i nikt nie oponował, chociaż gdy Miller zaproponował, że stanie za sterem, Sam podziękował mu, ale odmówił, bo nie chciał narażać cywila na niebezpieczeństwo.

- Pokryjemy wszelkie ewentualne szkody - zapewnił go.

- Myślisz, że to dla mnie ważne? - odparł Miller. - Po prostu znajdź swojego syna.

W nagłym odruchu uczucia, niemal miłości, Sam uściskał go serdecznie, a potem Miller pokazał im, jak obsługiwać przyrządy, pomógł odcumować łódź i poszedł.

- Właśnie dzwoniła Riley - poinformował Sama Martinez, gdy ruszyli. - Chciała ci przekazać, że jedzie z nią Alvarez i mnóstwo naszych ludzi też wypływa w morze. - Uśmiechnął się posępnie. - Istna Dunkierka.

- Super - powiedział Sam.

Czas na podziękowania przyjdzie później.

- Ostrożnie - ostrzegła go teraz Grace.

Żadne z nich nie znało się na żeglarstwie, chociaż wiele lat temu Grace planowała kupno niedużej łodzi, lecz później straciła na to ochotę po przerażającym epizodzie, którego dotąd nie była w stanie zapomnieć.

Bóg jeden wiedział, że byłaby teraz zdolna przeżyć gorsze rzeczy, byle tylko odzyskać Joshuę całego i zdrowego.

- Musisz płynąć między tymi bojami - poinstruował Martinez. - Nie znam się na tym za bardzo, ale wiem, że jest tu płytko, a jak uderzymy o dno, to donikąd nie dopłyniemy.

- Wy dwoje po prostu obserwujcie wodę - poprosił Sam.

Ani Grace, ani Martinezowi nie trzeba było tego przypominać.

Rzęsista ulewa ograniczała widoczność, wymuszając na nich jeszcze większą koncentrację, a sporadyczne błyski na niebie rozświetlały ciemną wodę, która zdawała się wtedy na parę sekund zmieniać w półprzezroczyste srebro, tak że mogli się lepiej przyjrzeć wzburzonym falom wokół motorówki.



Mieli dwie latarki i mały szperacz, który dostali od jednego z patroli, a także lornetkę pożyczoną przez Drew Millera, ale wszystkie te cząstkowe źródła światła były zbyt słabe i często raczej oszukiwały oko. Sam ostrożnie wprowadził „Smaganą Wiatrem” na wody Indian Creek, a za każdym razem, gdy Grace spostrzegła błysk fali, jej serce przepełniała radosna nadzieja, kiedy jednak przyglądała się dokładniej, widziała tylko białą pianę i czarną wodę.

„Jesteś bliżej, niż myślisz” - powiedział Cooper.

Chociaż niewykluczone, że była to z jego strony tylko gra psychologiczna. Może nawet kierowała nim perwersyjna chęć, by ich tu wywabić, a Joshua wciąż pozostawał na lądzie.

Ale Grace w to nie wierzyła.

- Mojżesza znaleziono w rzece - przypomniała.
- Myślisz o Miami River? - zapytał Martinez.
- Po prostu obserwujcie wodę - upomniął ich Sam.

100

Cal ukończył wszystkie przygotowania.

Deszcz zelżał, zamiast rześzystych strug z nieba spadały znów duże krople, a Calowi wydało się, że nie jest już tak ciemno jak przed chwilą.

Z przodu, daleko na horyzoncie, zaczynało świtać.

„Prosto aż do poranka”.

Raz, dawno temu, Jewel zabrała go do kina na „Piotrusia Pana”, jeszcze w Peorii, zanim przenieśli się na północ stanu w poszukiwaniu lepszego życia. Nawet w tych wczesnych czasach była dziwna, ale w Chicago jej się pogorszyło.

Pamiętał, jak bardzo mu się podobał film Disneya, i tamtego popołudnia wyobrażał sobie, że Jewel jest prawie normalną mamą.

Ale skończyło się jeszcze przed wieczorem, o ile sobie przypominał.

- Hej, mamó - powiedział teraz.

Nie do końca pewien, czy mówi do zwłok pod pokładem, czy do świtu majaczącego w dali.

Niebo nie było dla Jewel, bez dwóch zdań.

Nagle uświadomił sobie, że może na niego czekać tam, w piekle. To, co czuł, nabrało zupełnie nowego wymiaru.

To nie był strach.

Teraz to była prawdziwa trwoga.

101

W wąskich kanałach dookoła wyspy La Gorce nie było ciemno i głucho, za to całkiem sporo świateł i aktywności widzieli też z przodu, przy Grobli JFK, i dalej, w zatoce Biscayne.

- To nasi ludzie. - Martinez słuchał radia policyjnego ze słuchawką przytkniętą do prawego ucha. - Ale na razie niczego nie zauważyli.

- Czyli że nie ma sensu płynąć w tę samą stronę - uznał Sam.

Burza ustępowała, deszcz prawie minął, kiedy Sam obrócił „Smaganą Wiatrem” szerokim łukiem i nagle impuls, by rozpędzić motorówkę, byle jak najszybciej dotrzeć do Joshuy, stał się trudny do opanowania, ale zdrowy rozsądek zwyciężył i Sam płynął nadal powoli i spokojnie, ponieważ bez względu na warunki pogodowe, gdziekolwiek był teraz ich piękny synek, Sam nigdy by sobie nie darował, gdyby wzburzył choć jedną dodatkową falę, która naraziłaby Joshuę na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

- Na oceanie - odezwała się nagle Grace, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć warkot silnika. - Zabrał go na pełne morze.

- Możliwe - powiedział Sam. - Albo mógł...

- Na oceanie - obstawała przy swoim.

- Popłyniemy tam - zapewnił - ale powoli.

- Ja to wiem, Sam! - krzyknęła na całe gardło. - Nie wiem skąd, ale wiem.

Sam obejrzał się na nią. W świetle latarki Martineza jej oczy były niemal dzikie.

- Lepiej weź kurs na ocean, stary - poparł Grace jego partner, który przez lata nauczył się, podobnie jak Sam, ufać intuicji kobiety.

Radio zatrzeszczało i podniósł je znowu do ucha, marszcząc brwi i wyteżając słuch.

- Co? - zapytał Sam.

- Podejrzana aktywność na przystani Flamingo kilka godzin temu. -

Martinez mówił szybko, żeby nadażyć za komunikatem dyspozytora. - Zakłócenie porządku na cumującym tam jachcie.

- O której? - zapytał Sam.

- Około drugiej w nocy - Martinez słuchał dalej - i zdarzyło się to nie po raz pierwszy. - Jego ciemne oczy błysnęły gniewem, ponieważ świadek musiał być cholernym idiotą, że nie zgłosił tego wcześniej. - Łódź jakiś czas temu wypłynęła w morze - oznajmił. - To stary biały jacht, baka o nazwie „Dziecina”.

- 'Gdzie jest ta przystań? - chciała się dowiedzieć Grace.

- Na południe od wyspy Belle - odparł Martinez. - Jeśli to on, to sukinsyn mógł przepływać tuż obok nas, kiedy zadzwonił.

Może pod ich samymi nosami, pod Groblą Broad albo jeszcze bliżej, pod Kane Concourse, a potem pod Collins Avenue, przez Haulover i dalej, na otwarty ocean.

- Mógł popłynąć na południe, a nie na północ - zauważyła Grace.

Sam pokręcił głową.

- Nie prześlizgnąłby się przez Government Cut, bo musiałby minąć stację Straży Przybrzeżnej.

Usłyszeli nowy odgłos.

Hałaśliwy warkot, który powitali z radością.

- Helikopter. - Martinez spojrzał w niebo.

- Pamiętasz, jak, według Millera, rozpędzić tę cholerną motorówkę? - krzyknął Sam przez ramię.

- Po prostu pchnij dźwignię gazu do przodu. - Martinez pochylił się w przód i wskazał palcem drążek. - Im dalej ją popchniesz, tym szybciej popłyniemy.

Grace zamknęła oczy i odmówiła szybko modlitwę.

Sam pchnął dźwignię do oporu.

Motorówka wyrwała z rykiem silnika do przodu.

102

Helikopter brzmiał w uszach Cala jak gniew niebios. Już niedługo. Nie wiedział, jak to się skończy, ale wiedział, że się skończy. Strach znowu minął, bo nie ma sensu walczyć z czymś, co jest człowiekowi pisane.

Niektórym pisana była śmierć.

A jeśli w piekle miał spotkać Jewel, to przynajmniej wiedział, że prawdopodobnie nie będzie mu tam gorzej niż przez większość życia na ziemi.

Nie wróci do pierdła - tyle postanowił.

Nie ma mowy!

103

Wody w kanale Haulover były bardziej wzburzone, niż się spodziewali.

Sam prowadził motorówkę z nadmierną prędkością, a Grace i Martinez trzymali się mocno, gdy fale kołysały łódką, uderzając o burty, ale trójka przyjaciół na pokładzie nie troszczyła się już o własne bezpieczeństwo.

Myślami skupieni byli na celu, który, jak modlili się z nadzieją, znajdował się gdzieś na oceanie; jego ciemny bezmiar zaczynał odcinać się od jaśniejszych szarości nieba tuż przed świtem.

Słyszeli teraz dwa helikoptery, oba coraz głośniejsze, i widzieli ich światła: jedno na wprost przed nimi na wschodzie, a drugie jeszcze dalej na północ.

Radio znów zaskrzeczało i Martinez przycisnął je do prawego ucha, wyęzając słuch.

- Zauważyli jacht! - zawołał.

- Gdzie? - odkrzyknął Sam, gdy z rykiem silnika wpłynęli na wody Atlantyku.

- A co to? - Grace puściła się relingu i z lornetką przy oczach, pochylona do przodu, z walącym sercem wpatrywała się w dal. - Prosto przed nami.

- To on! - krzyknął Martinez. - Nie ma innej możliwości.

Widzieli go wszyscy troje. Mały biały jachcik parę mil przed nimi, zwrócony dziobem na wschód.

Zdawał się stać w miejscu, kołysząc się tylko na falach. Motorówka nadal pędziła naprzód na pełnym gazie.

- Zaczynj zwalniać, człowieku - upomniał Sama Martinez.

- Zwolnij! - krzyknęła Grace.

Sam przesunął już dźwignię w tył, a łódka natychmiast zareagowała. '

„Już po ciebie płyniemy, synku”.

Zdawał sobie sprawę, że z północy i południa zbliżają się inne łodzie, widział światło i ruch na wodzie, słyszał odgłosy nadciągającej pomocy i ciągłe trzaski radia.

- Może powinniśmy zostawić to Straży Przybrzeżnej - zaproponował Martinez, choć doskonale wiedział, że Sam się nie zgodzi.

104

„Dziecina” tylko dryfowała. Donikąd już nie dopłynie.

Stary jachcik widział dużo życia, pomyślał Cal. I śmierci. Nie zawinie więcej do żadnego portu. Nadeszła pora.

Byli teraz ćwierć mili od jachtu i Sam zredukował prędkość motorówki prawie do zera.

- Al, przejmij ster! - zawołał, ściągając buty.

- Co ty, kurde, robisz, człowieku? - Martinez podszedł i położył ręce na kole.

- Idę po syna. - Sam był już przy burcie i wychodził za reling.

- Sam, nie wiem... - Grace złapała go za ramię.

A potem puściła, bo nagle z krystaliczną jasnością uświadomiła sobie, że jeśli nie on, to ona sama wyskoczy za burtę.

- Błagam, bądź ostrożny - ostrzegła. - Potrzebuję was obu. Martinez podniósł wzrok na helikopter. Był już niemal dokładnie nad ich głowami, widać było jego biało-zielone oznakowania.

- Jeśli zamierzasz skoczyć, to lepiej zrób to teraz, stary. I Sam skoczył.

Był w połowie drogi do wody, gdy świat stanął w płomieniach.

Fala uderzeniowa wstrząsnęła jego ciałem i zadudniła w głowie, rozchodząc się przez ocean i powietrze, wciągając go na długie, straszne chwile pod powierzchnię, zanim wynurzył głowę, krztusząc się i plując słoną wodą.

Zobaczył gwiazdy na niebie, wszędzie ogniste gwiazdy.

Wcale nie gwiazdy.

- Joshua! - wrzasnął.

Ogłuszony eksplozją nie słyszał nawet własnego głosu.

- Sam! - krzyknęła Grace.

- Jezu - powiedział Martinez, czując, jak motorówka kołysze się i huśta pod nimi, i nagle zaczął się zastanawiać, czy to na pewno koniec, czy nie powinien zawrócić i zabrać Grace jak najdalej stąd.

A potem łódź zaczęła się uspokajać.

W powietrzu zawisła dziwna, ciężka cisza.

- Nic nie widzę! - zawołała Grace, bo dym zasnuł wszystko niczym gęstą mgłą.

- Sam! - krzyknął Martinez.

Dym rozproszył się trochę na wietrze. Oboje stali przy burcie, wypatrując oczy, usiłując coś zobaczyć.

- Jezu Chryste - wymamrotał Martinez. Bo jacht zniknął.

Części, odłamki i szczątki stateczku i Bóg jeden wie czego jeszcze wciąż opadały powoli niczym niesamowity deszcz, osiadając na powierzchni wody.

- Joshua! - wrzasnęła Grace. - Sam!

Nagle ruszyła do przodu, wdrapując się na reling, próbując zejść do wody.

- Nie! - Martinez chwycił ją w pasie. -Puszczaj!

- Nie mogę tego zrobić. I wtedy zobaczył.

- Tam! - krzyknął. - On jest tam!

Grace znieruchomiała, też widząc Sama. Jego ciemna głowa wynurzyła się, usta otworzyły się szeroko, gdy nabierał powietrza, a potem znowu zanurkował.

Martinez uświadomił to sobie pierwszy.

- O Boże - wymamrotał.

Bo nurkować nie było już bezcelowe.

- Joshua - powiedziała Grace prawie szeptem, tuż zanim się osunęła, zgięta w pół.

Martinez ją przytrzymał. Od dawna już tak nie płakał.

Sam wynurzył się po raz piąty, serce rozsadzała mu rozpacz i gniew. I zobaczył to, zanim dyspozytor przekazał przez radio informację z helikoptera.

- Ponton na północnym wschodzie.

„Mały Mojżesz”.

Unosił się przez chwilę na falach, nabierając powietrza w płuca i oczyszczając oczy z soli. Stracił orientację, zaczął się gorączkowo więc i obracać w wodzie.

- Gdzie on się podział?! - wrzasnął.

- Tam! - Głos Martineza był zachrypnięty, ale na tyle donośny, że Sam usłyszał go mimo warkotu helikoptera i szumu fal. - Po lewej od ciebie, człowieku!

Na „Smaganej Wiatrem” Grace usłyszała jego głos, po-dźwignęła się z pokładu, otrząsnęła, zobaczyła ponton i Sama, który był niemal tuż przy nim.

- O mój Boże - szepnęła. - Boże, błagam.

Sama piekły oczy, a rany na klatce piersiowej paliły z bólu. Najlepszy ból w jego życiu.

Był prawie na miejscu. Jeszcze dwa wyrzuty ramion i prawa dłoń dotknęła gumowej powłoki, a później czegoś w rodzaju rączki. Chwytał się jej.

- Joshua, jestem tu, synku!

Podciągnął się do góry, wiedząc, że musi być bardzo ostrożny, żeby nie wyrzucić łódeczki do góry dnem. Zaczął się znowu zsuwać, usłyszał, jak Grace krzyknęła ze strachu, zdołał się utrzymać, ścisnął mocniej uchwyt. Zobaczył wiklinowy koszyk.

Z Joshua w środku.

Nigdy w życiu nie widział nic piękniejszego. Ciemne oczy synka były szeroko otwarte. Maluch popatrzył spokojnie na ojca.

- Dzięki ci, słodki Jezu - powiedział Sam. I wgramolił się do pontonu.

106

- Twardy z niego dzieciak - orzekł z podziwem jeden z lekarzy Miami General.



Zatrzymali malca w szpitalu na obserwację, szczególnie że doktor David Becket, którego opinie szanowali, gorąco nalegał, żeby zachowali daleko posuniętą ostrożność, ale o dziwo, Joshua zdawał się szybko powracać do siebie pomimo antyhistaminy, którą Cooper wprowadził do jego organizmu, i nie wiadomo jak długiego czasu spędzonego w pontonie. Rodzice nigdy nie byli tak wdzięczni losowi za ciepłe noce na Florydzie. Jerome Cooper zniknął wraz z „Dzieciną”, a najbardziej prawdopodobna hipoteza, przyjmowana przez wszystkich zaangażowanych w pościg, mówiła, że zapewne postanowił zakończyć swoje parszywe życie razem z jachtem i - zainspirowany przypuszczalnie wyczynami młodocianego Bombowego Gangu - wepchnął kawał szmaty do zbiornika z benzyną, a potem go podpalił.

Wśród resztek łodzi wkrótce znaleziono jeden makabryczny dowód: ludzkie szczątki, które wciąż czekały na oficjalną identyfikację. Kawałek kobiecego palca z pomalowanym na biało paznokciem pozwalał sądzić, że Roxanne Lucca - która, jak było teraz wiadomo, przyleciała z Chicago do Miami na krótko przed Samem - znajdowała się na pokładzie wraz z Cooperem, kiedy jacht wyleciał w powietrze.

Matka i syn zaginęli i uznano oboje za zmarłych.

Nikt na świecie - o ile Becketowie wiedzieli - nie opłakiwał ich odejścia.

- Tak się cieszę, że Jerome nie żyje - powiedziała Grace Claudii przez telefon w czwartek wieczorem, dzwoniąc z oddziału pediatrycznego. - Bo inaczej bałabym się tego, co Sam by mu zrobił.

Połączenie na linii: Miami General i szpital Westlake w Melrose Park, gdzie Claudia wciąż starała się choć trochę pomóc ich ojcu.

- Jestem przekonana, że Sam zostawiłby sprawę wymiarowi sprawiedliwości - zapewniła Claudia.

- A więc nie byłabym pewna własnej reakcji - uściśliła Grace.

- Żałuję, że mnie tam z wami nie ma - westchnęła Claudia.
- Nie sądzisz, że już czas wrócić do domu, siostrzyczko?
- Jeżeli Dan jeszcze mnie zechce.
- Po prostu wróć do niego i sama się przekonaj.

107

*20 czerwca*

Mildred czuła się znacznie lepiej.

Sam robił, co w jego mocy, żeby prawie codziennie ją odwiedzać, a ojciec zastępował go, ilekroć syn nie mógł się stawić.

- To wyjątkowa starsza dama - ocenił Mildred David.
- Zdaje się, że ty też przypadłeś jej do gustu - zauważył Sam.

Od porwania minęło osiem dni, a Grace upiekła dwa świąteczne kurczaki na piątkowy wieczór, podczas gdy Saul zapalił szabasowe świece, bo zgodnie z rodzinną tradycją Becketów wypadała akurat jego kolej. Teraz, po kolacji, zmywał w kuchni naczynia, Grace zaś poszła na górę, żeby po raz piąty, odkąd usiedli do stołu, zajrzeć do Joshuy.

Starszy ojciec i syn byli na tarasie, a Woody - który doszedł do zdrowia w niecały dzień po własnych ciężkich przeżyciach - leżał zadowolony na drewnianej podłodze u stóp Sama.

- Czy Mildred wspominała, jakie ma plany, kiedy wypiszą ją ze szpitala? - chciał się dowiedzieć David. - Nie pragnie chyba wrócić do poprzedniego życia.

- Myślę, że trudno nam będzie jej to wyperswadować - powiedział Sam.
- A może raczej powinniśmy zaproponować - rzekł zamyślonym głosem ojciec - jakąś możliwą do zaakceptowania alternatywę.

Sam był zaintrygowany.

- Jaka alternatywę?
- Daj mi jeszcze trochę czasu - poprosił David.

108

*23 czerwca*

W następnym poniedziałek rano zadzwonił do Sama do biura Elliot Sanders.

- Uznałem, że powinieneś to usłyszeć ode mnie osobiście - powiedział.
- Co znowu? - Bez względu na to, jak ceniał doktora, Sam przekonał się przez lata, że telefony od lekarzy sądowych rzadko bywają powodem do radości.
- Na pokładzie „Dzieciny” były zwłoki tylko jednej osoby - oznajmił Sanders. - Jest jeszcze od groma rzeczy, które trzeba będzie przebadać i zanalizować, ale każdy strzęp ciała, kawałek kości i uzębienia, który przetrwał eksplozję, należy do matki.
- Żadnego śladu po samym Cooperze? - spytał Sam. Nie była to pierwsza wiadomość od chwili prawdopodobnej śmierci zabójcy, która zepsuła detektywom humor. Zaledwie kilka dni temu Martinez odkrył, że Cooper miał już na koncie odsiadkę, ale jego akta zawieruszyły się na skutek głupiego błędu w pisowni - bo gdyby Sam znalazł te więzienne papiery tuż po pierwszej wizycie Jerome'a w ich domu, to wystąpiłby natychmiast o nakaz aresztowania i może życie drugiej ofiary zostałoby ocalone, a Joshua nie zostałby porwany.
- Błąd człowieka, kurna - zirytował się Martinez.
- Raz na jakiś czas musi się zdarzyć - odparł Sam spokojnym głosem, ale bynajmniej nie uspokojony w środku.
- Taa - przyznał Martinez. - Raz na jakiś czas człowiek wdepnie w gówno. Denerwujące było też to, że twarde, niepodważalne dowody winy Coopera jako sprawcy zabójstw nadal

brakowało. Ustalili, że „Dziecinę” sprzedano mu w Wil-mingtonie w Karolinie Północnej, a świadek, który zgłosił zakłócenie porządku na jachcie, zidentyfikował także mężczyznę, którego kilkakrotnie widział na przystani, jako Jerome'a Coopera.

- Nie ulega najmniejszej wątpliwości - ciągnął teraz przez telefon Sanders - że Cooper znajdował się na łodzi przed wybuchem, ale po prostu nie mamy żadnego dowodu, że nadal był na pokładzie, kiedy jacht wyleciał w powietrze.

Sam miał wrażenie, jakby przed oczami tańczyły mu widma.  
Srebrne anioły śmierci.

- Ale to nie jest jeszcze ostateczne słowo, racja? - zapytał.

- Nie, oficjalnie nie - odparł Sanders - ale już się nie zmieni. - Zamilkł na chwilę. - Przykro mi, Sam. Chciałbym mieć dla ciebie coś bardziej konkretnego.

- Ja też - przytaknął Sam.

109

*29 czerwca*

- Sukinsyn musi być martwy - powiedział Martinez prawie tydzień później.

Choć nawet gdy to mówił, nie był wcale pewny, czy to prawda.

Po prostu chciał, żeby tak było.

Zaginiony na morzu, uznany za zmarłego.

Coopera widziano, gdy wypływał „Dzieciną” z przystani Flamingo, i był prawie na pewno osobą, która wetknęła szmatę do zbiornika paliwa - a prawdopodobieństwo, że wtedy wyskoczył za burtę i uciekł, zdawało się bardzo małe, ponieważ eksplozja nastąpiła zapewne, gdy tylko żywy płomień zetknął się z oparami z otwartego zbiornika. Panowała poza tym powszechna zgoda, że gdyby jakimś cudem udało mu się przeżyć,

to przy obecności tak wielu łodzi, na pewno ktoś zauważyłby, jak Cooper odpływa. A jeśli w ciągu kilku następnych godzin spróbował wyjść na ląd, prawdopodobnie ujęto by go i postawiono w stan oskarżenia.

Prawdopodobnie.

- Potrzeba nam - powtórzył teraz Sam - ciała. Stracił rachubę, ile razy już to mówił.

Nie tylko ze względu na nich. Także na rodzinę Adanich i drugą, wciąż bezimienną ofiarę.

- Ocean jest dosyć spory, człowieku - przypomniał Martinez.

- Ale to za mało - powiedział Sam. - Stanowczo za mało.

110

*1 lipca*

Wciąż nie znaleziono drugich zwłok, ale w śledztwie w sprawie zabójstw nastąpił wyraźny przełom, gdy niejaki José Ricardo, kierownik hoteliku przy Collins Avenue w South Beach, odkrył, że jeden z jego pracowników na własną rękę odnajmował pomieszczenie na tyłach budynku.

Lokator był nieznany, gotówka trafiała z kieszeni do kieszeni, pracownik został wylany z roboty.

Ale lokator pozostawił stosik zeszytów wypełnionych notatkami.

- Miałem zamiar wyrzucić je do śmieci - powiedział Ricardo funkcjonariuszom Departamentu Policji w Miami Beach, którzy przybyli na jego wezwanie - potem jednak przyjrzałem się im dokładniej i uznałem, że może będziecie nimi zainteresowani.

Sam Becket i Alejandro Martinez byli więcej niż zainteresowani.

Notatki zabójcy wypełniały pięć i pół zeszytu i nosiły wspólny tytuł:

„Epistoła Cala Nienawistnika”.

Narratorem był prawie nierozpoznawalny osobnik; trudno przychodziło skojarzyć go ze słabym młodym mężczyzną, który zjawił się trzy tygodnie temu w domu Becketów, ale bez cienia wątpliwości chodziło o Jerome'a Coopera, a jego sadystyczna matka rasistka występowała najczęściej jako „Jewel”, chociaż raz czy dwa została otwarcie wspomniana jako Roxanne czy Roxy.

Sam Becket też został wspomniany.

I nienawiść, jaką żywił do niego „Cal”.

„Epistoła” miała się stać przedmiotem drobiazgowych badań jeszcze na długi czas. Co na pewno - Sam i Martinez wiedzieli to aż za dobrze - sprawiłoby samemu szaleńcowi niekłamaną przyjemność.

111

*5 lipca*

Claudia i Daniel byli w Chicago od trzech dni. Zatrzymali się w hotelu Hyatt Regency. Sam i Grace przylecieli na lotnisko O'Hare'a.

Brownleyowie przyjechali, bo Frank wkrótce miał być gotów do opuszczenia szpitala, a ani Claudia, ani Daniel, pogodziwszy się, nie mogli znieść dłuższej rozłąki. Odpowiedni zakład opieki został już wybrany, a dom w Melrose Park - już nie miejsce przestępstwa - wystawiony na sprzedaż.

Grace i Sam przyjechali na święto Czwartego Lipca, zameldowali się w tym samym hotelu i wspólnie z Brownleyami oglądali pokaz sztucznych ogni na Navy Pier.

David i Saul zostali w domu, by opiekować się Joshua, a David cierpliwie prowadził negocjacje z Mildred Bleeker, usiłując przekonać ją, by zamieszkała z nim na okres rekonwalescencji po wypisaniu ze szpitala.

- Negocjacje pokojowe na Bliskim Wschodzie byłyby łatwiejsze - oświadczył David Samowi w zeszłym tygodniu.

- Twarda sztuka z tej naszej Mildred - odrzekł Sam. - Przecież cię ostrzegałem.

- Dumna z niej kobieta. Szanuję taką postawę.

- I może to właśnie sprawi, że jednak się zgodzi - powiedział Sam.

- Duma? - Ojciec popatrzył na niego z powątpiewaniem.

- Miałem na myśli twój szacunek - wyjaśnił syn.

Grace zobaczyła Franka po raz pierwszy od ponad siedmiu lat.

Część zadawnionej nienawiści odtajała pod wpływem współczucia dla jego bezradności.

- To nie takie złe uczucie - zwierzyła się później Samowi. - Pozbyć się trochę goryczy.

- Biedny staruszek - uzalił się Sam.

- Może jednak nie przesadzajmy.

Wszyscy czworo poszli zamknąć dom.

Ze ścian w pokoju Jerome'a zdjęto plakaty.

Mimo to zostało dość rzeczy, by Samowi i Claudii ciarki chodziły po plecach.

W całym domu nie było niczego, co któraś z sióstr chciałaby zabrać na pamiątkę. Miały wystarczająco wiele złych wspomnień z pierwszego domu rodziny Lucca, by starczyło na całe życie.

- Może już stąd pójdziemy? - zaproponował Daniel, kiedy skończyli. -

Nie wiem jak wy, ale ja chętnie napiłbym się czegoś mocniejszego.

- Niezły pomysł - zgodził się Sam.

- No to na co jeszcze czekamy? - zapytała Grace.

## NOWA EPISTOŁA CALA NIENAWISTNIKA

Patrzyłem, jak wchodzi do mojego domu.

Jedna wielka szczęśliwa rodzina.

Jedna z tych, co doprowadzały Jewel do szewskiej pasji.

A jakiś czas później zobaczyłem, jak detektyw Becket ściska dłoń faceta z agencji nieruchomości.

Przybijali umowę, jak przypuszczam.

Kiedy wyszli, żadne z nich nie obejrzało się za siebie.

Znak NA SPRZEDAŻ pojawił się na podwórzu niecałe dwie godziny później.

Zabrali mi dom, ograbili mnie z moich rzeczy.

Tak samo jak zagarnęli albo zepsuli wszystko inne.

I zmusili mnie do zniszczenia jedynej rzeczy, która mi została.

Cholernie brakuje mi „Dzieciny”. I „Daisy”, skoro już o tym mowa.

Czytałem któregoś dnia, że Jerome Cooper zaginał i uważa się, że utonął.

Cooper nie żyje, to prawda.

Ale Cal Nienawistnik przeciwnie.

Cal ma się świetnie.

Cal umie zmienić wygląd.

I zarobić dość grosza, żeby się utrzymać.

Cal Nienawistnik ma swoje plany. Wróci za jakiś czas i odbierze, co jego.

No i się odegra.

Możesz być tego pewien, Samuelu Lincolnie Becket.